Borowski – Sejm i kasa • Petersburg – zbrodnia i chwała

PRZEKRÓJ

№ 02 / 3003 • 12 stycznia 2003 • cena 3.50 zł
/w tym 7% VAT/

Mam się ZASTRZELIĆ?

Lew Rywin

ISSN 0033-2488
Indeks 371424 • Y-9013-C

Twoja firma na tym zyska
do 50 godzin bezpłatnych połączeń

Nokia 6310i
49 zł
netto

Sony Ericsson
T68i
49 zł
netto

Nokia 6510
49 zł
netto

Do podanych cen należy doliczyć podatek VAT w wysokości 22%. Powyższe ceny telefonów obowiązują dla planów taryfowych Idea Meritum 200 i 250.

Masz REGON?
Ta oferta jest dla Ciebie

Masz małą firmę. Przed Tobą pracowity sezon.
W zimowej ofercie Idei Meritum otrzymasz:
• do 50 godzin bezpłatnych połączeń,
• do 50% tańsze połączenia z 6-cioma osobami,
• taryfę malejącą, w której po drugiej minucie płacisz 30% mniej.
To wyjątkowa okazja! Kup telefon z promocyjną aktywacją już dziś!

Idea Meritum. Stworzona dla ludzi biznesu.

Oferta Idea Meritum dostępna jest we wszystkich punktach sprzedaży sieci Idea.
Informacja Handlowa Idea Meritum: 0 801 100 501.
Koszt połączenia: 1 jednostka taryfikacyjna wg cennika TP S.A.
www.idea.pl

IDEA
MERITUM

W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY:

...o przyznaniu Leszkowi Millerowi i Günterowi Verheugenowi przez tygodnik „Wprost" tytułu Ludzie Człowieka Roku 2002, bo mimo długiego artykułu wyjaśniającego nie rozumiemy tego tytułu. Tym bardziej że Leszek Miller to już Człowiek Lat, skoro w zeszłym roku też dostał Człowieka Roku.

...o trudnej roli ekspertów, którzy mają pomóc prezydentowi Kwaśniewskiemu w podjęciu decyzji, czy ma podpisać ustawę o biopaliwach, bo cokolwiek zrobią, znajdzie się ktoś, kto oskarży ich o stronniczość, a my nie chcemy uczestniczyć w tej niezabawnej grze.

...o znikaniu z kablówek w całym kraju obcojęzycznych programów, których nadawanie wymaga – w myśl prawa wprowadzonego w listopadzie przez Sejm – podpisania z nadawcą odpowiedniej umowy. Bo znowu trzeba by pisać o braku wyobraźni posłów, którzy uchwalają nierealne terminy realizacji ustaw, lekceważąc przy tym zwykłych ludzi.

...o unieważnieniu przez Ministerstwo Obrony przetargu na cywilną obsługę żywienia wojsk lądowych, kiedy się okazało, że wbrew oczekiwaniom cywile nie zeszli poniżej 16,38 złotego, które armia wydaje dzisiaj dziennie na żołnierza. Bo nie wiemy, czy firmy cywilne takie drogie, czy chciały złożyć hołd polskiemu szeregowcowi, żywiąc go trochę lepiej?

PRZE KRÓJ

RACZKOWSKI *na Czwartek*

WYMYŚLIŁ I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI

FOT. J.PITMAN/AP

MYŚL TYGODNIA

Czuję się gladiatorem powietrza, a narty to moje miecze!

SVEN HANNAWALD
– skoczek narciarski

spis prawdziwych treści
s. 18

powiększenie

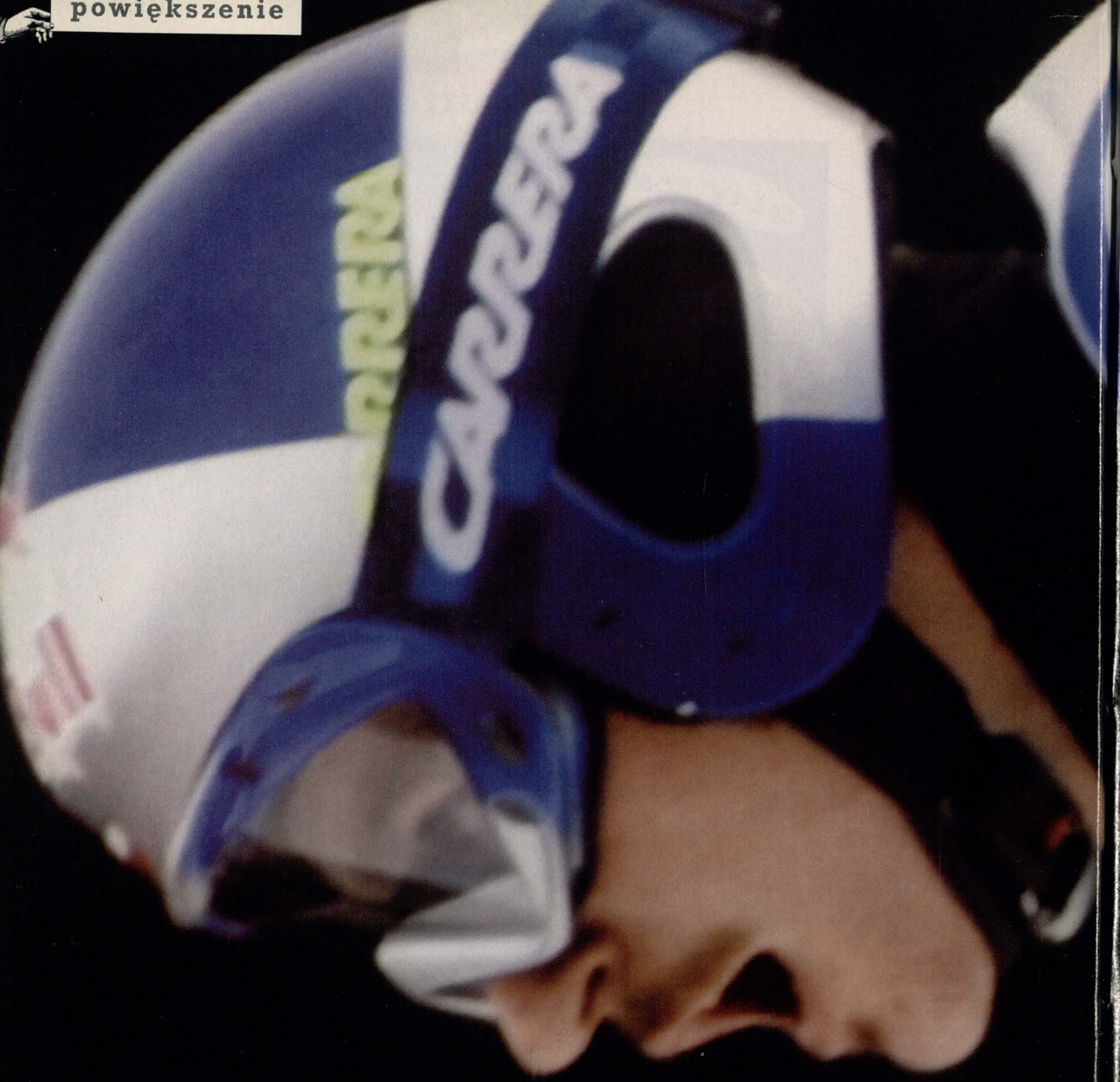

FOT. AP

CZY MAŁYSZ NAS WYKOŃCZY?!

MICHAŁ WÓJCIK

Pierwszy konkurs zepsuł Polakom święta. Drugi osłodził noworocznego kaca. Po trzecim konkursie polscy kibice nic nie rozumieli. Czwarty pozwolił nam nie popełnić samobójstwa. Turniej Czterech Skoczni wygrał Fin Janne Ahonen. Dla nas pocieszające może być tylko jedno. Jego główny rywal Sven Hannawald też nie wygrał. Był drugi

Jeszcze przed czwartym konkursem wszystko było jasne. Tylko trzęsienie ziemi w trakcie zjeżdżania ze 143-metrowego rozbiegu w Bischofshofen rewelacyjnego Fina Janne Ahonena mogło mu odebrać zwycięstwo. Nie było jednak trzęsienia, nie było złego wiatru, nie przeszkadzał kombinezon – Fin został triumfatorem całego turnieju. Ale nie to było ważne dla polskich kibiców. Najważniejsze było to, aby słabszego w tym sezonie Polaka nie wyprzedził jego największy rywal – Sven Hannawald.

Przed czwartym, rozstrzygającym, konkursem Małysz był dopiero piąty, Hannawald drugi. Miał nad Polakiem przewagę kilku punktów, ale w odległościach oznaczało to dość dużo – 3,5 metra. Małysz, pomstujący tak jak i Niemiec na kombinezon, musiał dokonać cudu, by wyprzedzić Hannawalda. Gdy stanął w poniedziałek na rozbiegu skoczni w Bischofshofen, nie miał tęgiej miny. Zrzedła mu jeszcze bardziej po pierwszej serii. Skoczył bowiem źle. Zajął 19. miejsce. Hannawald w tym czasie miał już zapewnione drugie miejsce i mógł spokojnie obserwować zmagania naszego zawodnika z psychiką.

Osiem milionów polskich fanów Małysza wierzyło w cud

FOT. K. ATYS

Po pierwszym konkursie w Oberstdorfie Hannawald triumfował...

FOT. REUTERS/FORUM (2)

...po fatalnej wywrotce w Ga-Pa był pewien, że to koniec szans na miejsce na podium

W roku 2003 najlepszy sportowiec Polski 2002 Adam Małysz okazał się gorszy od najlepszego sportowca Niemiec 2002 – Svena Hannawalda

FOT. K. ATYS/AG (2)

Ufff!!! Odetchnąłem z ulgą, myślałem, że zepchnie mnie z drugiego miejsca w klasyfikacji

– Sven Hannawald po swoim drugim skoku w Bischofshofen

Po drugim skoku już chciałem iść, ale mnie zatrzymali. Pomyślałem: Eeee, inni będą skakać ze 130 metrów

– Adam Małysz po swoim decydującym o trzecim miejscu skoku

Gdy w drugiej serii Polak odbił się z progu, Niemiec długo przecierał oczy ze zdumienia. Adam poszybował jak za dawnych lat i spadł na 133. metr. Tego dnia aż sześciu zawodników skakało lepiej, ale nie dalej. Dzięki temu Małysz doleciał do trzeciej pozycji w całym turnieju i razem z Hannawaldem stanął na podium.

RYWALIZACJA ODZIEŻOWA

To, że turniej będzie mrożącym krew w żyłach pojedynkiem Polaka z niemieckim żywiołem, wiadomo było od dawna. Najpierw zawodnicy zaczęli rywalizować u krawca. Szło o kombinezony. Niemcy wpadli na pomysł, że sportowe wdzianko o warstwie grubej na prawie pięć milimetrów jest lepsze od kombinezonów czteromilimetrowych używanych do tej pory. Tajemnica ta szybko się jednak wydała i odpowiednią odzież sprawił sobie również Polak. – Adam będzie latał jak latawiec – przekonywał potem trener Tajner.

Kolejny ruch znowu należał do Hannawalda. To on wpadł na pomysł, aby wcale nie skakać w kwalifikacjach. Dzięki temu leciał jako ostatni i miał psychiczną przewagę nad pozostałymi zawodnikami. Od razu dało to rezultaty. Skakał lepiej niż Polak.

Jednak osiem milionów polskich fanów Małysza wierzyło w cud. Przecież jeszcze dwa lata temu Hannawald i Martin Schmitt mogli tylko pomarzyć o takiej dynamice i kunszcie, jakie prezentował Polak. „Żeby przegrać, Polak musiałby zapomnieć na skoczni o zapięciu nart" – mówił wtedy triumfator turnieju sprzed lat Niemiec Dieter Thoma. Polak nie tylko wygrał w roku 2000 nowiutkie audi, zgarnął również do kieszeni prawie 40 tysięcy euro. Polscy kibice doskonale zapamiętali te zawody. Po zwycięstwie Małyszowi jako jedynemu zawodnikowi w historii imprezy nie zagrano hymnu (może i dobrze, bo Adam – jak żartował – „na pewno by się popłakał ze szczęścia"), zaś prowadzący galę Szwajcar Kurt Hinauer ni stąd, ni zowąd zapytał zwycięzcę, czy nie boi się, że zaraz po powrocie ktoś może mu ukraść cacko niemieckiego przemysłu motoryzacyjnego, które wygrał. Zaraz po tym incydencie w Internecie pojawił się wizerunek Hannawalda w mundurze SS.

Rok później było na odwrót. Hannawald dokonał wtedy rzeczy niemożliwej – wygrał na wszystkich czterech skoczniach: w Oberstdorfie, w Garmisch-Partenkirchen, w Innsbrucku i w Bischofshofen. To rekord, którego już nie da się pobić, można go jedynie wyrównać. Nic zatem dziwnego, że zanim skoczkowie stanęli na rozbiegu w Oberstdorfie 30 grudnia 2002, bukmacherzy za jedno euro postawione na Niemca płacili niewiele, bo tylko dwa. Tymczasem stawiając na Polaka, za jedno euro można było wygrać aż sześć.

Tuż przed najdłuższym skokiem Małysza w Bischofshofen Piotr Fijas długo szeptał mu coś na ucho. Małysz nie chce ujawnić, co to była za rada. Mówi tylko, że trener kazał mu „iść na ryzyko, bo nie ma nic do stracenia"

NIE SZŁO LECIEĆ

Pierwszy konkurs w Oberstdorfie o mały włos w ogóle nie doszedłby do skutku. 30 grudnia było 14 stopni ciepła i w promieniu dwóch kilometrów od skoczni nie leżała nawet centymetrowa warstwa śniegu. Niemieccy działacze stanęli jednak na głowie. Śnieg nawiozło 140 ciężarówek, a jego odpowiednią temperaturę utrzymywała skomplikowana plątanina rurek, w których krążyło 200 litrów schłodzonej cieczy. Inwestycja, która kosztowała 110 tysięcy euro, opłaciła się Niemcom. Ale po kolei.

Pierwsza runda skoków nie była zbyt udana dla Polaka. – Rozgrzewa się – pocieszali się polscy kibice, gdy na tablicy świetlnej ukazał się wynik: 118 metrów. – Poza tym leje – tłumaczyli naszego Adasia inni, bo rzeczywiście zaczęło siąpić i tuż przed zawodami organizatorzy musieli nacinać stok piłami łańcuchowymi, aby odprowadzać w ten sposób nadmiar wody, który zalewał cienką warstwę śniegu.

„Svenomen" skakał jako ostatni. Odprowadzony długim i głośnym: „Ziiieeeeech!" wyleciał z progu skoczni jak z procy i poszybował na rekordową odległość w pierwszej rundzie. Spazmatyczne: „Ciągniiiiij!" wykrzyczane przez 30 tysięcy ludzi przydało się: 125,5 metra. To oczywiście dało mu prowadzenie, Polak był dopiero ósmy.

Druga runda potwierdziła tylko dominację Niemca. Sven poleciał niedaleko, bo zaledwie na odległość 119 metrów, ale Polak zaspał zupełnie. Źle się odbił z progu, „trzepotał sterami", czyli nieustannie w locie poprawiał równowagę dłońmi, i wylądował zaledwie na 113,5 metra. To dało mu fatalne 13. miejsce. O ile po poprzednim konkursie w Engelbergu, gdzie był dopiero 15., nie spał do drugiej w nocy, o tyle teraz zanosiło się, że całą nockę będzie miał z głowy. Trener Tajner był załamany: „Może Adam za dużo skacze?". Sam Adam również nie krył irytacji: „Jakoś nie szło lecieć" – dukał. Tymczasem Hannawald triumfował. Dla fachowców sprawa była jasna. Przy takiej dyspozycji sukces Hannawalda w drugim konkursie jest pewny.

NIE TAKI GA-PA

Zanim skoczkowie poszybowali nad skocznią w Garmisch-Partenkirchen zwaną pieszczotliwie Ga-Pa – minęła noc sylwestrowa. W polskiej ekipie w minorowych nastrojach. Wprawdzie trener zbił kieliszek na szczęście, a psycholog naszej ekipy Jan Blecharz oberwał w głowę korkiem od szampana – niemniej 30 punktów straty do Hannawalda i 13. pozycja w rankingu turnieju nie napawały optymizmem. Ranek pierwszego dnia stycznia zapowiadał się szaro i ospale.

Było jednak inaczej. Małysz potruchtał w lasku koło skoczni i oddał trzy skoki treningowe. Szok był totalny. Leciał genialne, nie zrobił żadnego błędu, lądował telemarkiem. Oczywiście Polacy tego nie widzieli. Poranny kac milionów kibiców powoli przechodził w uporczywe rozdrażnienie.

Właściwy konkurs ruszył po południu. Najpierw Martin Hoellwarth doleciał do 121. metra. Zachwiał się jednak i upadł tuż przed linią z iglastych gałązek. Zaraz po nim Martin Schmitt dał pokaz, jak latać nie należy. Jak kłoda spadł na 111. metr i przestał się liczyć w zawodach. Inni zawodnicy również latali nierówno. Powodem był wiatr, który zmieniał się po każdym skoku. Raz ciągnął zawodników daleko, raz przygniatał im plecy i wbijał w śnieg. Trybuny jak zepsute radio to wyły, to cicho mruczały. Wszystko to wyglądało przedziwnie. Analizy zjawisk anormalnych skończyły się, gdy na rozbiegu stanął Hannawald. Dopiero co wybrany na mistrza niemieckiego sportu 2002 obiekt westchnień tysięcy nastolatek poprawił gogle, klepnął się po udach i ruszył w dół.

FENOMEN W AUREOLI

Pisk 35-tysięcznej widowni zbudziłby śpiącego niedźwiedzia. W momencie gdy Sven z prędkością 92 kilometrów na godzinę wpadał na próg skoczni, serca wszystkich Niemców biły już jak sprężyna do pianki z jajek na kogel-mogel, którą Frau Regina obiecała synkowi, jeśli szósty raz z rzędu wygra zawody w Turnieju Czterech Skoczni.

Czyścioszkowi z Hinterzarten nie dane jedbyło skosztować przysmaku. Zawartość misy wylądowała zapewne na maminych bamboszach. Obraz w telewizorze nie kłamał. Sven wprawdzie poszybował fantastycznie, bo wylądował blisko 124. metra, ale to, co działo się potem, zepsuło humor milionom od Renu do Odry. Niemiecki Orzeł w ułamek sekundy po lądowaniu przełożył ciężar ciała na jedną nartę i przez kilka metrów walczył o utrzymanie równowagi. Bliskie spotkanie trzeciego stopnia z solidną bandą było nieuniknione. Rozległo się donośne plaśnięcie i zanim Fenomen Alp doszedł do siebie, aureola z gwiazdek zakęciła mu się wokół wyśnionej złotej korony. To była klęska. Hannawald nie tylko się potłukł (jeszcze tego samego dnia wszystkie niemieckie dzienniki pokazywały, jak trze obolałe siedzenie), lecz także zachwiał swoją szansą na powtórkę sukcesu sprzed roku.

Przyczyna takiego stanu była oczywista. Hannawald chciał pokonać prawa fizyki. Ten długi chudzielec jest za wysoki, aby skakać tak daleko przy tak miękkim podłożu. Zarył jedną nartą w śnieg i stracił panowanie nad nogami. Tymczasem Adam przygotowywał się dopiero do skoku. Jak się potem okazało, wcale nie w ciszy i skupieniu, ale gawędząc z tajemniczym Polakiem na samej górze.

– Zawodników puszczał jakiś Polak, mówił mi, że to mój obiekt, że jestem jego rekordzistą i że tu zawsze dobrze skaczę – wspominał potem.

Małysz wysłuchał peanu i – tak jak proponował tajemniczy nieznajomy – doskonale odbił się od belki. Gdy doleciał na 123,5 metra, okazało się, że jest liderem. Nie dowiemy się, ile kufli piwa wystrzeliło w górę, ile wiwatów i fajerwerków gruchnęło w powietrzu. Dość powiedzieć, że w tym dokładnie momencie cieszyło się razem z nim 8830 tysięcy rodaków przed telewizorami. Wprawdzie krótko, bo zaraz przeskoczył go Primož Peterka, ale sytuacja w tabeli zmieniła się diametralnie. Polak był drugi w Ga-Pa i piąty w ogólnej klasyfikacji. Hannawald z kolei przestał się liczyć w ogóle. Nasze nastroje zmieniły się nie do poznania.

ZŁAPAŁ CZUCIE W PROGU

Gdy w sobotę polscy kibice zobaczyli w swoich telewizorach odnowioną pięknie skocznię w Innsbrucku, nikogo nie obchodziło, że zawodnicy, którzy zjeżdżają w dół, najpierw widzą przed sobą cmentarz. Leży on bowiem dokładnie w linii zjazdu. Przed remontem obiektu też się tam znajdował, ale próg skoczni był tak zadarty, że nie dało się kontemplować sensu żywota ludzkiego w czasie ślizgu w dół, bo grobowców po prostu nie było widać.

Zapowiedzi trenera Tajnera były szumne. Nasz zawodnik – wieścił poetycko – „złapał czucie w progu", a „w tej jego układance na swoje miejsce wskoczył wreszcie odpowiedni klocek". Małysz rzeczywiście był w doskonałej formie. Odzyskał swój mimowolny dobry humor. Gdy prowadzący sportową galę w Warszawie połączyli się z nim na żywo, jako ostatnie padło trudne pytanie: „Góralu, czy ci nie żal, że cię tu nie ma na gali mistrzów sportu?". Adam odpalił krótko: „Myślę, że nie".

Pierwszy skok Małysza wyglądał nieźle: 118,5 metra. Niestety, tego dnia aż czterech innych zawodników skakało lepiej. Hannawald również. Nie na tyle dobrze, żeby zagrozić Janne Ahonenowi, który umocnił się na pozycji lidera. Gdy Hannawald wylądował, patrząc z rezygnacją na tablicę, nawet nie zaciął ust w charakterystyczny dla siebie sposób. Kontemplował tylko, jak ucieka mu spod nart podium w tych zawodach.

Niestety, podium uciekło i Adamowi. W drugim skoku coś nie wyszło. Nie było zadziorności, nie było iskry, było przeciętnie. Tylko 112 metrów, co dało Polakowi dalekie szóste miejsce. W ogólnej klasyfikacji był wprawdzie piąty, ale po zawodach w Innsbrucku mało kto wierzył w jego końcowy sukces. A jednak stało się inaczej.

A co do dalszej rywalizacji Hannawalda i Małysza? Panowie odkryli w tym turnieju cząstkę swoich osobowości. Małysz, któremu wyraźnie przestało wychodzić latanie, zaczął kląć. Najpierw łagodnie i na skocznię: „Ty franco jedna!". Potem, po trzecim konkursie, już groźniej: „Jestem wkurzony, cholercia!".

Hannawald z kolei nie krył rozczarowania, ale do swoich desek ustosunkował się jednoznacznie: „Moje kochane narty".

MICHAŁ WÓJCIK

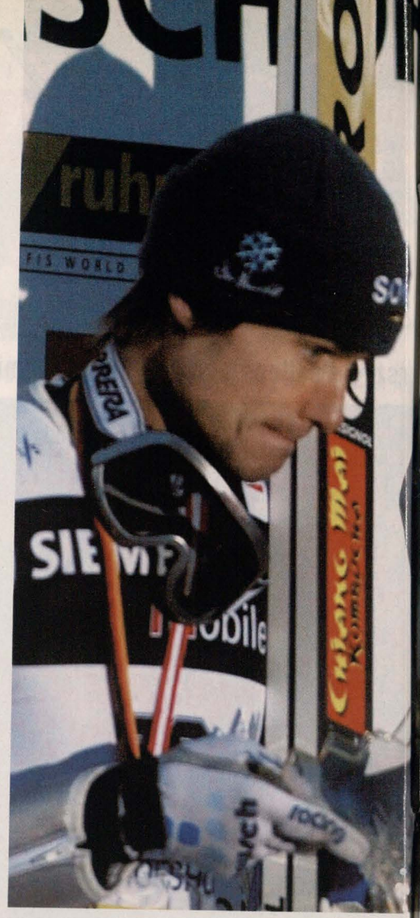

Janne Ahonen już drugi raz wygrał Turniej Czterech Skoczni. W nagrodę dostał luksusowe czarne audi warte 25 tysięcy euro

FOT. K. ATYS/AG

Polak nadal ma wielką szansę wygrać Puchar Świata. Musi jeszcze zwyciężyć w kilku konkursach

WIADOMOŚCI KRAJOWE

CZYSTKA W RZĄDZIE

To jest czyszczenie **ludzi prezydenta** – tak najczęściej opozycja komentuje rekonstrukcję rządu. Leszek Miller zdymisjonował ministrów skarbu Wiesława Kaczmarka i gospodarki Jacka Piechotę. Połączonymi resortami gospodarki i pracy kieruje Jerzy Hausner, a tekę ministra skarbu dostał Sławomir Cytrycki. Ministrem został także Lech Nikolski – zajmie się integracją europejską.

PIECZEŃ MARSZAŁKA

Politycy Sojuszu mają żal do marszałka Sejmu Marka Borowskiego za to, że nie konsultował z nimi decyzji o zawieszeniu prac nad nowelizacją ustawy o radiofonii i telewizji. Marszałek na spotkaniu z członkami klubu tłumaczył się prawie dwie godziny. „**Borowski kreuje się na gwiazdę**. Zauważył, że pojawił się jakiś ogień, na którym może upiec swoją pieczeń" – mówił PAP członek kierownictwa. Rozmowa Piotra Najsztuba z marszałkiem Borowskim po „sprawie Rywina" na s. 20.–25.

EKSPERYMENT NA STOCZNIOWCACH

To był eksperyment ekonomiczny, a nie działalność przestępcza – tak członkowie zarządu Stoczni Szczecińskiej tłumaczą, dlaczego doprowadzili do strat przekraczających 70 milionów złotych. Chcą wykorzystać przepis, który mówi, że „eksperyment gospodarczy" **nie jest przestępstwem**, o ile odbywa się za wiedzą i zgodą pracowników firmy. Jeśli uda się przekonać pracowników, że wzięli udział w eksperymencie, może uda się i prokuratora?

EKOLODZY KONTRA RZĄD

150 organizacji ekologicznych sprzysięgło się, by zablokować rządowy projekt ustawy o autostradach. Zdaniem Rafała Górskiego, prezesa Obywatelskiego Ruchu Ekologicznego, **projekt zawiesza** przeszło 20 przepisów ustawy Prawo ochrony środowiska i jest sprzeczny z konstytucją. Po rozpoczęciu budowy sąd administacyjny nie będzie mógł jej wstrzymać, nawet jeśli pozwolenie na budowę zostało wydane z naruszeniem prawa.

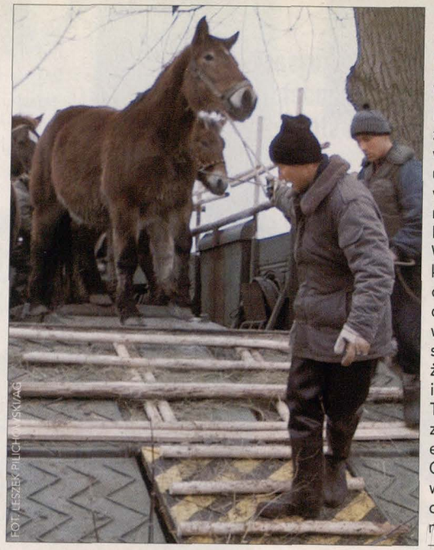

FOT. LESZEK PUCH / SKUAS

Konie zrobione w konia

Kilkadziesiąt tysięcy złotych zapłacą właściciele stada koni uwięzionych przez wodę i lód na rozlewiskach Postomii i Warty. W akcji ratowniczej, która trwała od sylwestra do ubiegłej soboty, wzięło udział blisko stu strażaków, żołnierzy, weterynarzy i policjantów. Teraz do obrony zwierząt wzięli się ekolodzy. Chcą oskarżyć właścicieli koni o niewłaściwą opiekę nad stadem.

FOT. WOJTEK JAKUBOWSKI

Oflagowali się

Protest strażaków objął już wszystkie województwa. Akcja polega na oflagowaniu budynków i samochodów. Strażacy chcą zrównania ich płac z wynagrodzeniami policjantów i określenia maksymalnego czasu służby.

FOT. MACIEJ NOWICKI/REPORTER

Darmowy korek

Od poniedziałku za przejazd 48 kilometrów autostrady łączącej Konin z Wrześnią trzeba zapłacić 10 złotych. Kierowcy tirów muszą wysupłać 37 złotych – więcej, niż kosztuje paliwo potrzebne do pokonania zmodernizowanego odcinka. Oszczędni zakorkowali równoległą drogę numer 92. Ta jest bezpłatna.

Manuela znalazła amatora

Znana z pierwszej edycji „Big Brothera" i „Maratonu uśmiechu" Manuela Michalak (28) wyszła za mąż za Tomasza Jabłońskiego (24), z zawodu fryzjera. „Szczęka mi opadła, mózg się odłączył. Po prostu od razu zwariowałam na jego punkcie" – zwierzyła się Manuela „Super Expressowi", opowiadając o pierwszym spotkaniu z mężem podczas kręcenia filmu w Gorzowie Wielkopolskim. Tradycyjny ślub kościelny, tradycyjne wesele na ponad sto osób, a wkrótce tradycyjna podróż poślubna do ciepłych krajów. Młoda mężatka z tradycyjną szczerością zapewniła dziennikarzy, że jeszcze nie jest w ciąży. Tradycyjnie gratulujemy!

FOT. JÓZEF WOLNY/AG

KRAKÓW CZEKA NA WIERSZE

Krakowskie wydawnictwo Znak ma duże szanse na publikację najnowszych wierszy Jana Pawła II. Mimo że **w Watykanie jeszcze nie zapadła decyzja**, kto je wyda, wiadomo, że Papieżowi zależy na tym, by jego utwory po raz pierwszy zostały opublikowane – jak wszystkie wcześniejsze – w Krakowie. Ksiądz Adam Boniecki mówi, że przygotowywany właśnie zbiór to „rodzaj duchowego dziennika".

TERAZ MAJĄ BLIŻEJ

O 475 hektarów powiększyło się 1 stycznia województwo lubuskie. O taką zmianę terytorialną apelowało od zakończenia reformy administracyjnej 239 mieszkańców wsi Szumiłowo. Stary podział administracyjny powodował, że z każdą sprawą urzędową **musieli oni jechać do Boleszkowic** (odległych o 20 kilometrów), zamiast załatwiać ją w Kostrzynie, od którego Szumiłowo jest oddalone o 300 metrów.

HAFTOWANIE PIENIĘDZMI

25 tysięcy złotych przeznaczyła rządząca w województwie kujawsko-pomorskim koalicja SLD-PSL na... szarfę do sztandaru. Zastępca dyrektora gabinetu marszałka województwa Ryszard Rosiński wyjaśnił, że wydatek jest konieczny, bo „**szarfa nie może odstawać jakościowo** i wyglądem od pozostałych insygniów województwa". Opozycyjni radni wyliczyli, że zamiast haftować szarfę, można by wydać 10 tysięcy posiłków dla niedożywionych dzieci. Cel zbożny, ale co to za posiłek za 2,5 złotego?

„E.T." W WERSJI PORNO

Polski dystrybutor jubileuszowej edycji „E.T." Stevena Spielberga musi **wycofać ze sklepów** wszystkie kasety z tym filmem. Historię przybysza z kosmosu poprzedzają bowiem okraszone pikantnymi dialogami zapowiedzi filmów dla dorosłych z udziałem roznegliżowanych pań. Kosmiczna pomyłka czy kosmiczna głupota?

NAJKRÓCEJ **OSCAR DLA „EDIEGO"** – dzięki łódzkiej akcji, podczas której zbierano pieniądze na promocję filmu w USA, udało się zgromadzić niewiele ponad trzy tysiące złotych. Zawiedzeni organizatorzy postanowili zwrócić się o pomoc do biznesmenów.

ŚWINIE SKLONOWANE półtora roku temu przez Amerykanów zostały gruntownie przebadane. Analiza ich budowy, zachowania i upodobań wykazała, że są... zwykłymi świniami. I to nawet nieidentycznymi. Do rodziców są podobne, ale też nie stuprocentowo.

WIADOMOŚCI ZAGRANICZNE

HAMAS ZNOWU GROZI I ZABIJA

Państwo Izrael przestanie istnieć najdalej w ciągu 25 lat – obiecał duchowy przywódca Hamasu niewidomy szejk Ahmed Jassin, zapowiadając kolejne ataki palestyńskich zamachowców samobójców. Na wiec w Gazie z okazji 15. rocznicy powstania Hamasu przyszło 30 tysięcy Palestyńczyków. Kilka godzin później armia izraelska zaczęła **operację burzenia domów** należących do rodzin terrorystów. W niedzielę podczas palestyńskich zamachów w centrum Tel Awiwu zginęło 25 osób, a ponad sto zostało rannych.

AGRESYWNIE O NIEAGRESJI

Paktu o nieagresji z USA żądają komunistyczne władze w Phenianie. W zamian oferują **rezygnację z ambicji nuklearnych**. 12 grudnia Korea Północna wznowiła budowę bomby jądrowej, po czym, wyrzucając międzynarodowych inspektorów, zapowiedziała wystąpienie z traktatu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej.

ROPA ATAKUJE FRANCJĘ

Olej opałowy z tankowca „Prestige", który zatonął 19 listopada, dociera do zachodniego wybrzeża Francji. Rząd w Paryżu zapowiedział, że na zapobieżenie **katastrofie ekologicznej** przeznaczy 50 milionów euro.

JASKINIOWCY

Atak cyklonu Zoe wiejącego z prędkością przeszło 350 kilometrów na godzinę przeżyli mieszkańcy Wysp Salomona na południowym Pacyfiku. Przez blisko tydzień nie było wiadomo, **co się dzieje z czterema tysiącami ludzi**, bo na żadnej z maleńkich wysp archipelagu nie ma lądowiska, a podczas huraganu została zerwana łączność radiowa. Wyspiarze znaleźli schronienie w górskich jaskiniach.

„ŻYWA TARCZA" PRZECIW ARMII?

Sto tysięcy osób z całego świata zgłosiło się do władz Iraku, proponując, że staną się „żywą tarczą" podczas ataku wojsk amerykańskich – twierdzi bagdadzka prasa. **Akcję ochotników popiera rząd Saddama Husajna**, oferując im od kilku do kilkunastu tysięcy dolarów.

FOT. MINDAUGAS KULBIS/AP

Czas Paksasa

Rolandas Paksas, który wygrał niedzielne wybory prezydenckie na Litwie, mówi, że nie jest populistą ani faszystą, jak nazywają go niektórzy. Dotychczasowy prezydent Litwy Valdas Adamkus, który po pierwszej turze miał 15-procentową przewagę, w drugiej zdobył 10 procent głosów mniej niż Paksas.

FOT. YESIKKA VIVANCOS/AP

Dowodów brak

Narodzenie kolejnej trójki dzieci-klonów zapowiada sekta raelian. W ubiegłym tygodniu Brigitte Boisselier, szefowa związanej z sektą firmy Clonaid, poinformowała o narodzinach drugiej już sklonowanej dziewczynki, ale mimo zapowiedzi nie przedstawiła na to dowodów.

FOT. FERDINAND OSTROP/AP

Porywacz-szaleniec Przez dwie godziny nad centrum Frankfurtu nad Menem krążył motoszybowiec pilotowany przez szaleńca, który groził, że rozbije się o budynek Europejskiego Banku Centralnego. Policyjnym negocjatorom udało się przekonać go, by wylądował na lotnisku.

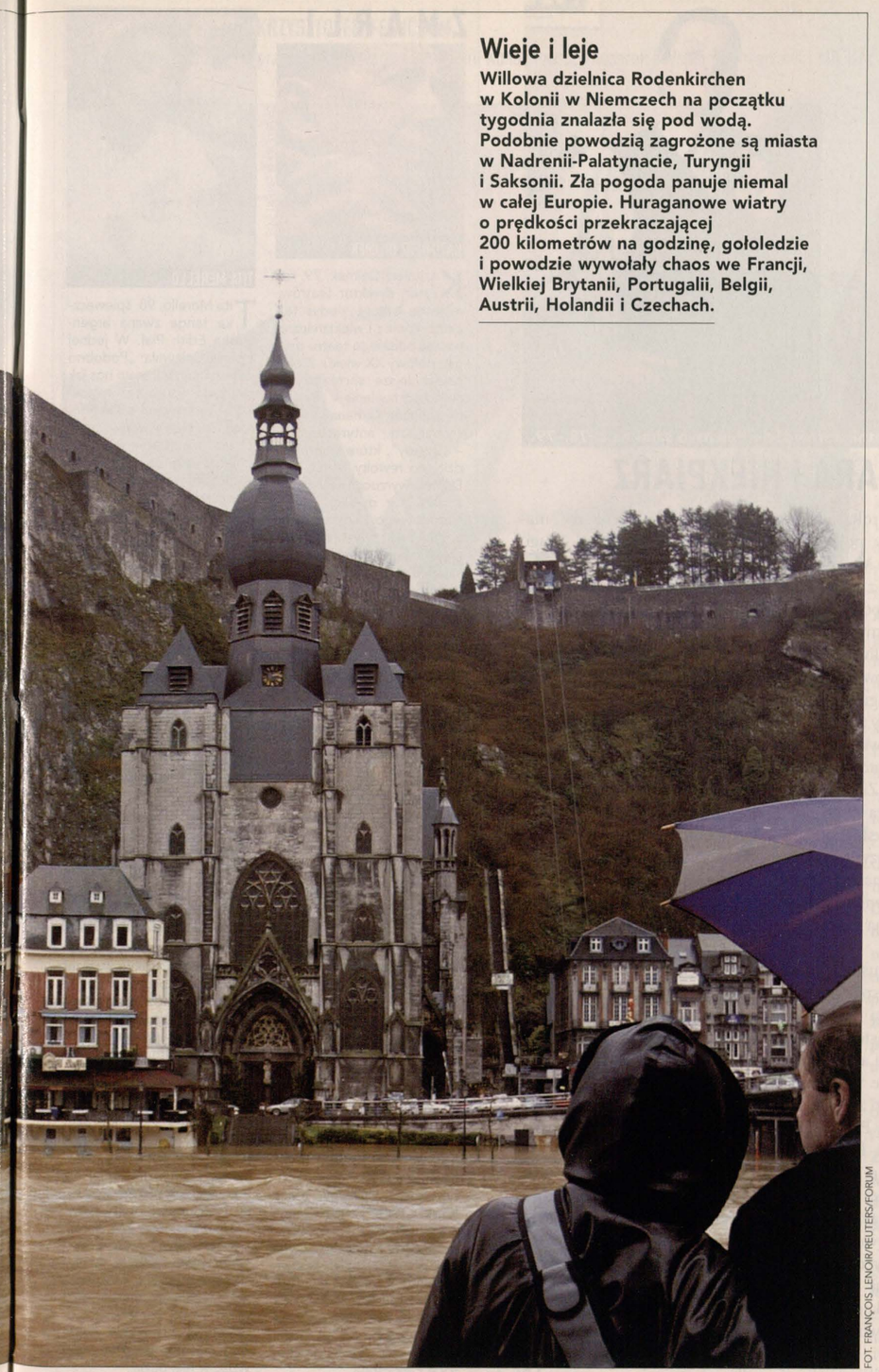

Wieje i leje

Willowa dzielnica Rodenkirchen w Kolonii w Niemczech na początku tygodnia znalazła się pod wodą. Podobnie powodzią zagrożone są miasta w Nadrenii-Palatynacie, Turyngii i Saksonii. Zła pogoda panuje niemal w całej Europie. Huraganowe wiatry o prędkości przekraczającej 200 kilometrów na godzinę, gołoledzie i powodzie wywołały chaos we Francji, Wielkiej Brytanii, Portugalii, Belgii, Austrii, Holandii i Czechach.

FOT. FRANÇOIS LENOIR/REUTERS/FORUM

ŹLE SIĘ WPYCHAŁ

Czy wpychanie się bez kolejki może rozpętać debatę na temat stanu państwa? Może, jeśli **w kolejce stoi premier** Słowacji Mikulasz Dziurinda, a wpychającym się jest zwolniony warunkowo z więzienia gangster Mikulasz Czernak. Premier złożył doniesienie o przestępstwie, Czernak gdzieś się zaszył, a oberwało się ministrom spraw wewnętrznych i sprawiedliwości za bezkarność bandytów i zwalnianie ich z więzień.

HAMBURGERÓW NIE BĘDZIE?

368 miliardów dolarów – na tyle wyceniono wartość bankructw w USA. To najwięcej w historii Stanów Zjednoczonych. W tym roku na plajtę narażone będą amerykańskie firmy zajmujące się telekomunikacją i prowadzące sieci restauracji. Ostatnio **bankructwo ogłosił** właściciel sieci Burger King, a poważne problemy ma McDonald's.

PIĄTA ŻONA ZAKAZANA

Rajem dla mężczyzn pragnących mieć więcej niż jedną żonę stał się stan Perlis na północy Malezji. Islamskie władze zniosły część przepisów ograniczających poligamię. **Istnieje jednak limit** – można mieć tylko cztery żony. Mężczyzna przed ożenkiem musi udowodnić, że stać go na ich utrzymanie.

SIEDZENIE ZA ŚMIECENIE

Ani centa nie znalazł Amerykanin Michael Brown gdy włamał się do banku w rodzinnym Marked Tree. Do domu wrócił spacerem, pocieszając się po nieudanym napadzie **zabranymi z banku cukierkami**. Aresztowano go kilka godzin później. Policję pod drzwi włamywacza doprowadziły wyrzucane przez niego na chodnik papierki po słodyczach.

BICI DEZERTERUJĄ

24 żołnierzy zdezerterowało z jednostki pod Petersburgiem, bo znęcali się nad nimi przełożeni. Poinformował o tym Komitet Matek Żołnierzy, który **walczy z brutalnością w rosyjskiej armii**. Podobne ucieczki z wojska zdarzają się coraz częściej. Rosyjskie ministerstwo obrony obiecuje, że żołnierze nie będą traktowani jak dezerterzy, ale jak dotąd nie podjęło żadnych skutecznych działań przeciwko przemocy w rosyjskim wojsku.

NAJKRÓCEJ

EMINEM zastanawia się nad przyjęciem roli w thrillerze szpiegowskim przygotowywanym przez Columbia TriStar. Jego bohaterami mają być bliźniacy-agenci.

NOWĄ METODĘ OCZYSZCZANIA wody z radioaktywnych substancji opracowali polscy uczeni. Polacy zaczęli od sprzątania własnych brudów – z reaktora w Świerku. Mocarstwa atomowe na razie się do nich nie zgłosiły.

FOT. BOGDAN KRĘŻEL (2)

Masłowska i Maciejowski są świetni, sprawdźcie Państwo sami na s. 78.–79.

NIEDRESIARA I NIEKPIARZ

DOROTA MASŁOWSKA I MARCIN MACIEJOWSKI – FELIETONISTKA I MALARZ „PRZEKROJU" – ZOSTALI LAUREATAMI NAGRODY „POLITYKI" PASZPORT 2002. GRATULUJEMY!

Minęło już pół roku od wydania „Wojny polsko-ruskiej...", a Masłowska wciąż nie schodzi z wokandy. Po serii tekstów pochwalnych, często entuzjastycznych, przyszedł czas na zgryźliwości i demaskowanie Masłowskiej jako literackiego humbugu. Do ścigania w dół dresiary z Wejherowa wzięli się nawet krytycy w randze dyplomatów. Szwajcarski rezydent Jan Zieliński napisał, że Masłowska rżnie prosto z Przybyszewskiego, ale Przybyszewski lepszy. Czy lepszy, to się okaże, na razie Masłowska w odróżnieniu od słynnego protoplasty ma lepsze poczucie humoru.

„Wojna polsko-ruska..." jest prześmiesznym i wspaniale literacko uchwyconym portretem pewnego małomiasteczkowego środowiska, a sama autorka ma z dresiarstwem tyle wspólnego ile ksiądz Jankowski ze świętym Franciszkiem. Jerzy Pilch, który nie miewa obsesji literackich, tylko całkiem inne, poświęcił obecnej przykładnej studentce psychologii aż trzy felietony w „Polityce" i z pewnością maczał palce w przyznaniu Masłowskiej Paszportu 2002 tego – nieobsesyjnego skądinąd – tygodnika. Jesteśmy wdzięczni redaktorowi Pilchowi, że tak docenił naszą stałą felietonistkę.

Zresztą wobec „Polityki" mamy w ogóle specjalne długi. Podkradliśmy jej – ale nie zabierając! – innego stałego autora, rysownika Marka Raczkowskiego, który zasila „Przekrój" pysznymi komiksami. A „Polityka" w swej wspaniałomyślności uhonorowała paszportem w dziedzinie plastyki innego naszego autora – malarza Marcina Maciejowskiego.

Młody ten człowiek, mieszkaniec Krakowa i niedawny absolwent tamtejszej akademii, błyskawicznie zrobił furorę ani nie podglądając golasów w łaźni miejskiej, ani nie używając mydła jako głównego tworzywa sztuki. Po prostu maluje obrazy. A na nich najzwyklejsze sceny z tak zwanego życia, które mogą się zdarzyć wszędzie i każdemu. Zazwyczaj opatrzone słownym komentarzem. Gdyby to rysował, zamiast malować, należałby do elitarnej grupy zawodowych satyryków obok Mrożka, Czeczota, Mleczki, Sawki. Ale Maciejowski lubi malować i robi to doskonale. I wcale nie wyśmiewa się z tak zwanej naszej rzeczywistości. On po prostu widzi i opisuje. A to już jest tak dużo, że zasługuje na specjalną wdzięczność ludzką. Większość dzisiejszych artystów – nie tylko jego pokolenia – albo nie widzi, albo nie opisuje. TN

ZMARLI

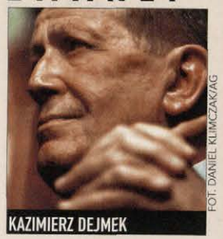

FOT. DANIEL KLIMCZAK/AG

KAZIMIERZ DEJMEK

Kazimierz Dejmek, 79, reżyser, dyrektor teatrów, minister kultury, kiedyś też aktor. Wielka i wieloznaczna postać polskiego teatru drugiej połowy XX wieku. Zrobił najsłynniejsze socrealistyczne przedstawienie – „Brygadę szlifierza Karhana" – i najsłynniejsze antyradzieckie – „Dziady", które doprowadziły do rewolty Marca '68. Dejmka wyrzucono wówczas z partii i z dyrekcji Teatru Narodowego. Zdeklarowany antyklerykał wystawił dwa najpiękniejsze widowiska pasyjno-misteryjne: „Żywot Józefa" i „Historyję o chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim". Był czułym katem, romantycznym zamordystą, nienawidził złudzeń i po staroświecku kochał Polskę. Do końca pracował; umarł, nie dokończywszy „Hamleta" w łódzkim Teatrze Nowym.

FOT. AP

TITA MERELLO

Tita Merello, 98, śpiewaczka tanga zwana argentyńską Edith Piaf. W jednej z pieśni śpiewała: „Podobno jestem brzydka, mam nos jak dinozaur, figura też wątpliwa". Wychowana w sierocińcach, zdobyła sławę w wieku 21 lat i nie straciła jej aż do śmierci. Zagrała w dziesiątkach filmów, począwszy od pierwszego argentyńskiego dźwiękowego obrazu „Tango" (1933). Przez całe długie życie nie chorowała, a zmarła, ponieważ – jak stwierdził lekarz – jej serce po prostu stanęło. Przyjaciel powiedział jej kiedyś: „W poprzednim wcieleniu byłaś chyba kurtyzaną". „W tym też przecież jestem" – odrzekła.

FOT. AP

GEORGE ROY HILL

George Roy Hill, 80, reżyser filmowy. Wyróżniał się wstrzemięźliwością – w ciągu niemal 30 lat nakręcił zaledwie 14 dzieł. Największą sławę i Oscary przyniosły mu „Butch Cassidy i Sundance Kid" oraz „Żądło", oba z udziałem pary aktorskiej Paul Newman – Robert Redford. Grali u niego Lawrence Olivier, Jane Fonda, Robin Williams, Klaus Kinski i Peter Sellers. Znany z wybuchowego charakteru. Producenci dwukrotnie zwalniali go pod koniec realizacji filmu („Hawaii" i „Thoroughly Modern Millie"), ale jego nazwiska z czołówki nie wymazywano. Od 14 lat na emeryturze, cierpiał na chorobę Parkinsona.

FOT. PRZEMYSŁAW GRAF/AG

PIOTR BUCZKOWSKI

Piotr Buczkowski, 53, poseł Unii Demokratycznej II kadencji, przewodniczący pierwszego Krajowego Sejmiku Samorządu Terytorialnego, socjolog związany z Uniwersytetem im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, profesor. Zajmował się społeczeństwem obywatelskim nie tylko naukowo. Walczył o więcej władzy dla Polski lokalnej, bo gminy – mówił – gospodarują pieniędzmi lepiej niż administracja rządowa. W roku 1997 opuścił Unię – wówczas już Wolności – by współtworzyć Stronnictwo Konserwatywno-Ludowe. W niedzielę ponad 300 osób spotkało się na zorganizowanej przez niego konferencji popierającej wstąpienie Polski do Unii Europejskiej. Miał wziąć w niej udział.

NAJKRÓCEJ **JERZY STUHR** będzie miał własny program w 2 TVP. Publicystyczno-kulturalny magazyn zastąpi na antenie „Autograf" Jacka Żakowskiego, którego Stuhr był stałym gościem. Emisja pierwszego odcinka prawdopodobnie w lutym.

PRZE KRÓJ

Z mecenasem **KRZYSZTOFEM FELUCHEM**, specjalistą od prawa procesowego z kancelarii Kunachowicz, Ślusarek i Wspólnicy, rozmawia **MICHAŁ WÓJCIK**

FOT. FILIP CWIK/NEWSWEEK POLSKA/REPORTER

Nie jest rzeczą prokuratury wikłać się w te spory – twierdzi Grzegorz Kurczuk, prokurator generalny

TEGO SIĘ NIE DA TAK ŁATWO UMORZYĆ

PROKURATOR APELACYJNY W WARSZAWIE PRZESŁUCHUJE OD KILKU DNI OSOBY ZWIĄZANE Z TAK ZWANĄ SPRAWĄ RYWINA. OD TEGO, CO USŁYSZY, ZALEŻEĆ BĘDZIE, CZY ŚLEDZTWO W SPRAWIE RYWINA ZMIENI SIĘ W ŚLEDZTWO PRZECIWKO RYWINOWI

MICHAŁ WÓJCIK: Dlaczego minister sprawiedliwości, czyli prokurator generalny, zdecydował się na rozpoczęcie śledztwa dopiero pół roku po pierwszych doniesieniach?

KRZYSZTOF FELUCH: Obowiązkiem prokuratora, jeśli dowiedział się o podejrzeniu popełnienia przestępstwa, jest niezwłoczne wszczęcie postępowania.

Minister oświadczył, że nie zrobił tego, bo nie chciał się „wikłać w polityczno-biznesowe spory". Czy to błąd w sztuce?

– Ja nie wiem, co jest politycznym sporem, a co nim nie jest. Z punktu widzenia prawa karnego sprawę należy rozstrzygnąć bez względu na aspekt polityczny.

Prokurator nie chciał „wystawić się na ośmieszenie". Cały czas cytuje oświadczenie prokuratora generalnego.

– Być może. Ale tu nie chodzi o dobre samopoczucie Grzegorza Kurczuka. Tu chodzi o działanie w zgodzie z przepisami, które obowiązują prokuratora generalnego.

Prokuratura Apelacyjna wszczęła śledztwo w sprawie, a nie przeciwko komuś. Czy to jest krok do umorzenia sprawy?

– To jeszcze o niczym nie przesądza. Postępowanie przygotowawcze w sprawie trwa do momentu postawienia zarzutu konkretnej osobie. Jeżeli prokurator uzna, że są wystarczające dowody, ma obowiązek tę osobę przesłuchać w charakterze podejrzanego. I wtedy postępowanie toczy się przeciwko konkretnej osobie.

Czy prokurator może teraz przesłuchać Lwa Rywina już jako oskarżonego?

– W zależności od zebranych dowodów może go przesłuchać jako świadka lub jako oskarżonego. Chodzi o artykuł 230. kodeksu karnego: „Kto powołując się na swoje wpływy w instytucji państwowej, podejmuje się pośrednictwa w załatwieniu sprawy za korzyść majątkową lub jej obietnicę – podlega karze pozbawienia wolności do lat 3". Na razie jednak mamy do czynienia z artykułami prasowymi – to jeszcze nie są dowody. Będą nimi materiały, które prokurator uzyska w trakcie postępowania, czyli przede wszystkim zeznania świadków.

Ale na zdrowy rozsądek w tej sprawie wszystko narusza artykuł 230. Czy jeśli nie pojawi się nic nowego, można będzie umorzyć postępowanie? Przecież szkodliwość społeczna czynu jest niewielka, skoro, jak mówi premier, ktoś „zwariował dla pieniędzy"?

– Nie wydaje mi się, żeby można było tę sprawę tak łatwo umorzyć. Padła propozycja załatwienia zmiany ustawy za 17,5 miliona dolarów. Sam ten czyn jest przez polskie prawo zabroniony. Umorzenie postępowania z powodu braku szkodliwości społecznej, biorąc pod uwagę wagę zarzutu, byłoby co najmniej dziwne.

Ale takie sygnały dawał już prokurator generalny. Najpierw nie chce się wikłać, potem boi się ośmieszyć. Czy można zweryfikować decyzję o umorzeniu?

– Wszystkie decyzje prokuratora apelacyjnego są weryfikowalne. Umorzenie postępowania można zaskarżyć, kierując zażalenie do prokuratora generalnego. Jeśli on odmówi, to zażalenie idzie do sądu i ten rozstrzyga, co dalej. Zależy to jednak od tego, czy pokrzywdzony będzie zainteresowany skarżeniem postanowienia o umorzeniu.

Czy premier w tej sprawie jest bez winy? Artykuł 304. kodeksu postępowania karnego nakłada na każdego urzędnika państwowego – czyli również na premiera – obowiązek niezwłocznego zawiadomienia odpowiedniego organu: policji, prokuratury. Premier tego nie uczynił. Popełnił wykroczenie?

– To rzeczywiście jest dziwne. Ten obowiązek wprawdzie nie jest obwarowany żadną sankcją – ale istnieje.

Z kolei artykuł 231. kodeksu karnego wyraźnie mówi, że urzędnik, który nie doniesie o popełnieniu przestępstwa, „nie dopełnia obowiązku" – i to jest karane.

– Zobaczymy, co zrobi prokurator generalny.

A wolno mu było zasłonić swoją bezczynność tym, że trwa śledztwo dziennikarskie?

– Nie znam takiej kategorii prawnej. ■

PICIE PIWA może chronić przed chorobami serca – twierdzą izraelscy chemicy – o ile tylko nie pijemy więcej niż jeden kufel jasnego pełnego dziennie. Ale wino i tak jest zdrowsze. Zwłaszcza czerwone wytrawne.

Aresztujcie mnie!

PIOTR NAJSZTUB

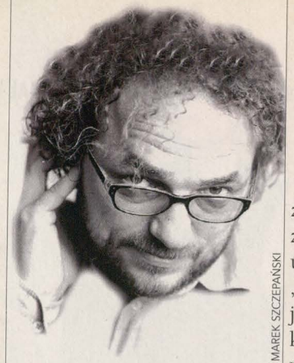

FOT. MAREK SZCZEPAŃSKI

Zatrzęsło się.
Zatrzepotało.
Zakołysało. Najpierw wielka łapówka za telewizję, potem egzekucje w rządzie. Autobus z dziennikarzami ciągle w ruchu: konferencja prasowa, oświadczenie, przyjazd na przesłuchanie, pierwsza decyzja nowego, oświadczenie, konferencja prasowa, zaskoczenie starego ministra po egzekucji. Bum! Bum! Bach! Bach!
A obok tego, w kompletnie niezasłużonym cieniu, sprawa Marka M. opisana przez „Rzeczpospolitą". Marek M. (dalej dla uproszczenia będę go nazywał „milionerem"), młody poznański bankowiec, szybko przesiadał się na coraz bardziej skórzane bankowe fotele. Ceniony przez przełożonych, został w końcu dyrektorem dużego banku.
Wtedy przyszli do niego policjanci i założyli mu kajdanki. „Milioner" ich zdaniem brał łapówki i dawał kredyty na podstawie fałszywych zaświadczeń. Kajdanki zdjęli mu dopiero w areszcie. „Milioner" kraty oglądał przez dwa miesiące. Wyszedł, kiedy prokurator uznał, że przesadził z zarzutem o łapówkarstwo. „Milioner" nie brał. Po roku refleksyjny prokurator uznał, że przesadził też z drugim zarzutem. Wspaniałomyślnie umorzył śledztwo.
„Milioner" w banku może już sobie tylko założyć konto, a nie pracować. Przez rok był bezrobotny, teraz założył firmę konsultingową. Zupełnie niesłusznie. Przecież szybko zostanie prawdziwym milionerem, może nawet założy własny bank? Kapitału nie powinno mu zabraknąć.
Ci, którzy wsadzili „milionera" do aresztu, nie mając ku temu podstaw, są funkcjonariuszami państwowymi. Państwo odpowiada za ich działania. Także finansowo. Dobre, szczodre państwo. Więc policzmy: nasz „milioner" był w trakcie obiecującej kariery bankowej. Można założyć, że dochrapałby się stanowiska prezesa dużego banku prywatnego. Zarabiałby wtedy co najmniej (z premiami) sto tysięcy złotych miesięcznie. Jest młody, więc mógłby tak zarabiać jeszcze przez około 20 lat. Gdyby go państwo polskie nie aresztowało, uzbierałoby się tego, powiedzmy, 24 miliony złotych. I o takie odszkodowanie powinien wystąpić. I je dostać. Mógłby nawet wtedy kupić samochody swoim „dobroczyńcom" z policji i prokuratury. Czego mu szczerze życzę! I mnie też proszę aresztować! Byle bez powodu.

FOT. KRZYSZTOF WOJCIECHOWSKI

Tadeusz Różewicz

dlaczego piszę?

Wiersz pochodzi z najnowszej książki Tadeusza Różewicza „Szara strefa" (Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2002)

czasem „życie" zasłania
To
co jest większe od życia

Czasem góry zasłaniają
To
co jest za górami
trzeba więc przesunąć góry
ale ja nie mam potrzebnych
środków technicznych
ani siły
ani wiary
która przenosi góry
więc nie zobaczysz tego
nigdy
wiem o tym
i dlatego
piszę

Ilustrował ANDRZEJ DUDZIŃSKI

FOT. GAMMA/BE&W, PIOTR GRZYBOWSKI/SE, CORBIS/FREE

Petersburg – miasto o dwóch twarzach: dostojna i dumna siedziba carów, a zarazem mroczne i krwawe królestwo gangsterów

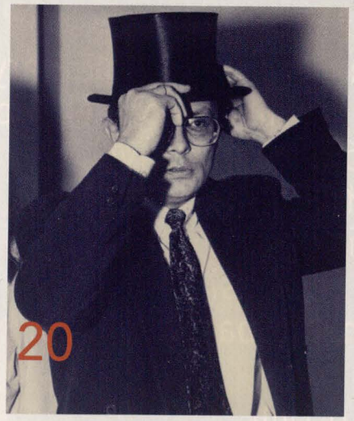

Marek Borowski – Rywina lubił, Millera lubi, ale zna tylko troszkę, a Michnika i lubi, i zna najdłużej

Teksty i charakterystyczny, łamiący się głos Joego Strummera były znakiem rozpoznawczym The Clash

NAJSZTUB PYTA...

20 I CO Z TEGO, ŻE SEJM DAJE ZAROBIĆ – rozmowa z marszałkiem Sejmu **Markiem Borowskim** po „sprawie Rywina", ale nie tylko o pieniądzach, lobbystach i nieetycznych posłach

GORĄCY DOKUMENT

26 KATASTROFA „JANA HEWELIUSZA" – DRUGIE DNO
Jeszcze gdy pływał, marynarze nazywali go **„śmiertelną pułapką"**. Jednak gdy zatonął, sądy przez 10 lat nie mogły znaleźć winnych. **Wdowy** po marynarzach szukają teraz sprawiedliwości w Trybunale Praw Człowieka w Strasburgu

CYWILIZACJA CODZIENNA

32 NIE CHCEMY BYĆ KANIBALAMI
Serce to pompka, nerka to filtr – jednak trudno **dostrzec w ciele ukochanej osoby magazyn** części zamiennych, nawet kiedy trzeba

36 DELFIN BOJOWY
Do **wojny z Irakiem** gotowa jest nie tylko armia amerykańska, lecz także specjalnie szkolone delfiny-żołnierze

38 ŻEBYŚ WIEDZIAŁ

39 KONKURS Z NAGRODAMI – część trzecia

40 INSPEKTOR GADŻET

LUDZIE!!!

42 GRY I ZAGRANIA LWA RYWINA
Kim był Lew Rywin, zanim przyszedł do Adama Michnika z propozycją 17,5 miliona dolarów łapówki za uchwalenie korzystnej dla Agory ustawy? **Kim jest teraz?**

48 JOE STRUMMER – ŚMIERĆ GLOBALNEGO PUNKA
Zapowiadało się wydarzenie: legendarny zespół **The Clash** miał zagrać w styczniu pierwszy koncert po 20 latach milczenia. Dwa tygodnie temu umarł jego lider

51 ŚWIECĄ LUB SPADAJĄ

PATRZĄC I CZYTAJĄC

52 PETERSBURG – WENECJA CZY PALERMO PÓŁNOCY?
Przed obchodami **300-lecia Petersburg** powrócił do łask moskiewskich władców. Po latach zaniedbań znów ma się stać oknem na świat, wizytówką Wielkiej Rosji. Ale na razie jest przede wszystkim jej kryminalną stolicą

64 LISTY

TYDZIEŃ – KULTURALNIE POLECAMY

66 WYDARZENIE – nowa powieść kryminalna **Jamesa Ellroya**, który dzięki morderstwu stał się pisarzem

68 FILM – „8. mila" – magnetyzm **Eminema**

70 MUZYKA – wyznanie **Johnny'ego Casha**, ikony współczesnej Ameryki

72 KSIĄŻKI – **Stefana Themersona** powieści dla odmieńców

74 KOMIKS – nowy kanon efekciarstwa

76 TELEWIZJA – najlepsze programy

ROZMAITOŚCI

78 DZIENNIKI OSOBISTE **MASŁOWSKA** i **MENTZEL**

80 WINNY **BIEŃCZYK** i KULINARNE **PIÓRO** POLSKI; jolka i krzyżówka

82 RACZEJ **RACZKOWSKI**

Już w kioskach!

ORAZ WSPANIAŁE PREZENTY:

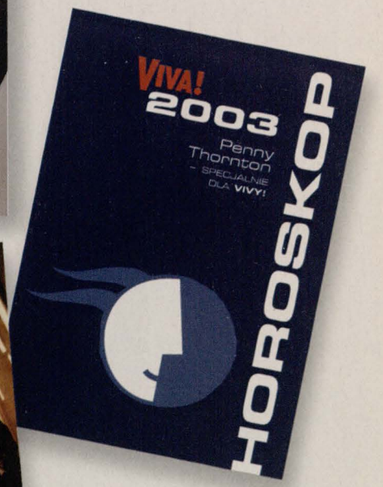

HOROSKOP NA 2003 ROK

zaczarowany plakat z filmu „HARRY POTTER I KOMNATA TAJEMNIC"

I co z tego, że

SEJM DAJE ZAROBIĆ

Ścieranie się interesów różnych grup finansowych na terenie Sejmu jest normalne. Uczciwości tej gry muszą pilnować niezależne media. Dlatego niebezpieczny jest każdy monopol – mówi marszałek Sejmu **MAREK BOROWSKI**

FOT. PIOTR MAŁECKI/FORUM

Czy zna Pan Lwa Rywina?

– Znam.

Często go Pan spotykał?

– Rywina?

Tak.

– Raczej rzadko.

Co Pan o nim myślał przed tą całą historią?

– Że to jest ciekawy człowiek, fachowiec w swojej dziedzinie. Producent na skalę wykraczającą poza skalę krajową. Człowiek z pomysłami, inicjatywami. Oczywiście, jak teraz mówię o tych pomysłach i inicjatywach, to brzmi bardzo dwuznacznie, ale tak to oceniam.

Pan go lubił?

– Rywina?

Tak.

– Lubiłem.

Jak rozumiem, zna Pan też Leszka Millera.

– Troszkę.

Co mógłby Pan o nim w dwóch, trzech słowach powiedzieć?

– To jest człowiek konsekwentny, zdecydowany i uczciwy.

A trzecia postać tego dramatu – Adam Michnik? Jak by go Pan scharakteryzował?

– Michnika znam najdłużej. To jest człowiek wybitny i ambitny. Zawsze chciał odgrywać jakąś rolę w życiu politycznym, co nie jest naganne, żeby była sprawa jasna, ja też chciałbym. Człowiek z zasadami. Dzisiaj sam decyzji nie podejmuje i chyba się do tego nie kwapi, ale bardzo chce mieć wpływ na to, co się dzieje. Czyli chce być takim demiurgiem.

Pan lubi Adama Michnika?

– Lubię.

A Leszka Millera?

– Też.

Czyli wszystkich trzech bohaterów tej historii Pan lubi.

– Tak. To znaczy, jeżeli tekst o Rywinie jest prawdą, jeżeli za tym nie kryją się jakieś przedziwne moce czarodziejskie, które być może opętały jego umysł...

Nie bierze Pan pod uwagę, że za tym kryje się może jakaś grupa z SLD?

– O tym za chwilę. Jeżeli to wszystko jest prawdą, to już dzisiaj nie mogę powiedzieć, że go tak lubię. Nie mogę tak lubić kogoś, kto chce tak korumpować.

Czy teraz, spotykając się z Adamem Michnikiem, będzie się Pan zastanawiał, czy jest nagrywany?

– To jest dobre pytanie. Natura ludzka nie jest wolna od podejrzeń. Człowiek musi manewrować pomiędzy należytą rozwagą a czujnością. Niewątpliwie możliwość nagrywania rozmów zawsze istniała. Dzisiaj jednak stała się namacalna. Adam Michnik dużo ryzykuje, ponieważ to może mu utrudnić późniejsze kontakty. Rozumiem, że uznał, że sprawa tego wymaga, że być może poniesie tego konsekwencje, ale że powinien to zrobić.

Myśli Pan, że jaka jest ta sprawa? Czego dotyczy?

– Sprawa dotyczy tego, że ktoś zaoferował pieniądze za załatwienie sprawy publicznej.

A nie dotyczy – jak twierdzą niektórzy – skompromitowania ustawy przeszkadzającej Agorze w posiadaniu telewizji?

– Oczywiście jest taka cała nadbudowa, że tu chodzi o „uwalenie" ustawy itd., ale uważam, że to są odpryski. Sprawa jest taka, że z korupcją się godzić nie można.

Ale można reagować w różny sposób. Wydaje mi się, że Adam Michnik zareagował jak szantażowany biznesmen. Doprowadzając do konfrontacji Rywina z premierem w swojej obecności, uciął szantaż, ale „spalił" sobie możliwość dziennikarskiego śledztwa. Ochronił Agorę, ale odebrał „Gazecie Wyborczej" szansę na reportaż śledczy o – być może – kulisach władzy. Nieskompromitowany Rywin mógł coś więcej powiedzieć o grupie, w imieniu której zażądał 17,5 miliona dolarów.

– Mam nadzieję, że powie prokuratorowi, ale to są tak zwane dywagacje. Żeby mówić kompetentnie, trzeba by się znaleźć w takiej sytuacji. Adam Michnik jest jednocześnie dziennikarzem i wydawcą-biznesmenem i tego ostatniego chciano przekupić. Jakby zaczął śledzić, a nie „palić", to w jakimś momencie mogłoby się okazać, że on jest w to włączony. Po wyjaśnieniu tej sprawy u premiera i upewnieniu się, że premier nie jest w to włączony, mógł co najwyżej od razu skierować sprawę do prokuratury i na tym sprawę zakończyć. Zostawić ją prokuratorowi. Dzisiaj słyszę, że ta sprawa zdominowałaby nasz rynek polityczny przed zakończeniem negocjacji, ponieważ pojawiło się w niej nazwisko premiera.

Rzeczywiście „Gazeta Wyborcza" w swoim komentarzu użyła tego argumentu, odpowiadając na zarzut zbyt późnego poinformowania opinii publicznej o całej sprawie. Z tego samego komentarza przebija ton wielkiej odpowiedzialności za państwo, pismo stawia się w roli takiego „superurzędu" obywatelskiego, który swoją politykę redakcyjną dostosowuje do sytuacji, w jakiej jest Polska.

– I to jest problem. Adam Michnik został postawiony w niezwykle trudnej sytuacji człowieka, który ma duże poczucie odpowiedzialności, może nawet za duże jak na szefa gazety. Ja jednak wolę ludzi z nadmiernym poczuciem odpowiedzialności niż bez poczucia odpowiedzialności. Więc nie wykluczam, że tu jakieś błędy popełnił, ale zrobił to w dobrej intencji. Widać, że on nie zamierzał tego ukryć, a to by było najgorsze. To znaczy...

Mamy haka.

– Mamy haka na Rywina i siedzimy cicho, a hak sobie potem wykorzystamy.

Nie dziwi Pana, Panie Marszałku, minister sprawiedliwości, który mówi, że kilka miesięcy temu odbył rozmowę z Adamem Michnikiem na temat nagranej propozycji Rywina i naczelny „Gazety Wyborczej" zapewnił go, że kończy się właśnie dziennikarskie śledztwo, więc minister wstrzymał się z działaniami resortu do jego zakończenia. To Pański kolega partyjny.

– Ponieważ pan mnie atakuje, to ja wystąpię w roli adwokata. Każdej z osób, które w tym brały udział, z wyjątkiem Rywina. Na usprawiedliwienie ministra mogę powiedzieć, że i do mnie przemawia argument o absurdalności tej propozycji, bo słowo daję, ja też nie potraktowałbym poważnie opowieści o tym, że ktoś przychodzi i mówi: 17,5 miliona dolarów za zmianę ustawy. 17,5 miliona dolarów to przecież góra pieniędzy, przecież za taką rzecz – gdyby byli chętni – to i milion dolarów by wystarczył!

Ale wróćmy do ministra sprawiedliwości.

– Ale ten minister musi mieć jakiś dowód! On rozmawia z Michnikiem, Michnik mu nie daje tej taśmy...

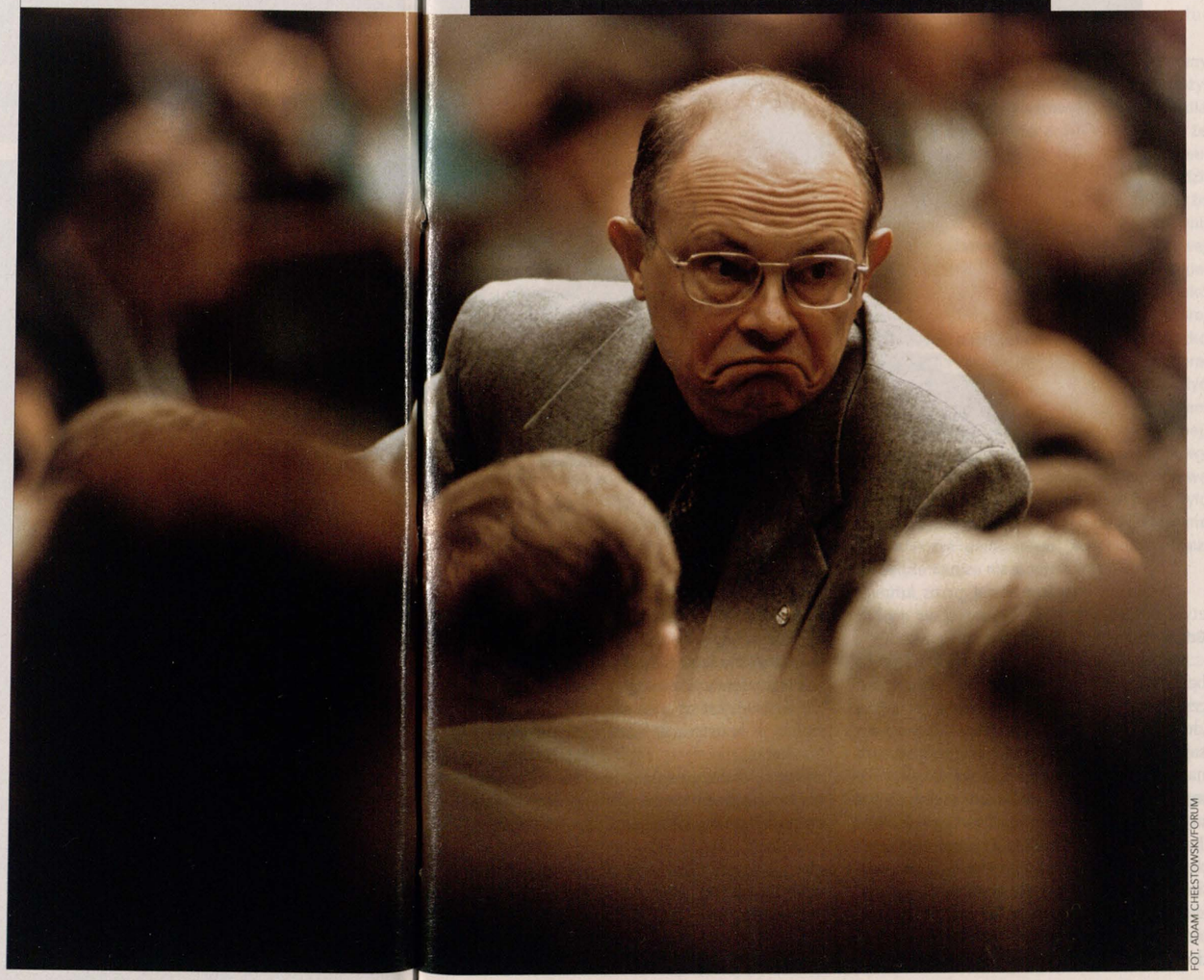

FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

Adam Michnik mówi (jak wiemy z opisu ministra): „Panie ministrze, my zaraz kończymy własne śledztwo, jak już skończymy, to wtedy pan się zajmie sprawą". Czy to nie jest niepoważne?

– Taka jest pańska ocena, ja nie chcę tego kwalifikować, rozumiem, że czekano, aż ktoś zgłosi formalne doniesienie w tej sprawie.

Może ta rozmowa jest dowodem na szczególne miejsce „Gazety" i Adama Michnika w „głowie" Sojuszu Lewicy Demokratycznej? Wy się go tak z jednej strony boicie, trochę wielbicie, trochę jest dla Was trudny – jest kimś szczególnym dla SLD.

– Nie wiem, czy tylko dla SLD.

Dostrzega Pan jakiś szczególny rodzaj emocji SLD dla Adama Michnika?

– Michnik jest jedynym redaktorem naczelnym, który tak naprawdę ma bogatą kartę polityczną. On był politykiem czystej krwi, z którym stykaliśmy się jako z politykiem. W latach 70., 80., Okrągły Stół itd. Czyli można powiedzieć, że to jest rodzaj znajomości czy rodzaj więzi inny niż z każdym innym redaktorem naczelnym. Oczywiście Michnik to jest też człowiek-instytucja, to nie ulega wątpliwości.

Niewątpliwie możliwość nagrywania rozmów zawsze istniała. Teraz jednak stała się bardziej realna. Adam Michnik dużo zaryzykował – może mu to utrudnić przyszłe kontakty

Czy w SLD panuje przekonanie, że Adam Michnik, jego sympatia pomogą Wam uwolnić się od przeszłości, przejść „na drugi brzeg"?

– Może ktoś ma takie myśli. Ja mogę mówić za siebie. SLD na swoją pozycję wybiło się samo i „Gazeta Wyborcza" raz pomagała, raz przeszkadzała podczas tych 12 lat tej naszej wędrówki politycznej. Przez długi czas rośliśmy w siłę wbrew „Gazecie". Teraz wydaje mi się, że i myśmy się trochę zmienili, i „Gazeta Wyborcza" też jakby dojrzała. Jednak chcę jasno powiedzieć: nie wiążemy naszej przyszłości z „Gazetą Wyborczą". [*Tu marszałek się zaśmiał*]. [*Marszałek nadal się śmieje*]. Oczywiście mamy stosunki osobiste, towarzyskie, żyjemy w takim kraju, że wszyscy się ze wszystkimi znają...

Ba, nawet się lubią.

– Nawet się lubią.

W zeszłym tygodniu Jerzy Wenderlich, szef sejmowej komisji kultury i środków przekazu, która zajmuje się nowelizacją ustawy o radiofonii i telewizji, ujawnił próby nacisku na niego, powiedział, że czuje się zagrożony. Powiedział mu Pan po pierwsze, że powinien wziąć się w garść, bo ma taką pracę, a po drugie, żeby w związku ze swoją pracą omijał pewne miejsca. Co to znaczy?

– Z charakteru nacisków na niego wynika, że po prostu jakieś grupy lobbystyczne chcą utrudnić pracę nad tą ustawą, a być może nawet ją uniemożliwić. Na to są różne metody. Jest zasypywanie poprawkami do ustawy, jest zgiełk medialny, jest odwoływanie się do mediów zagranicznych, do Parlamentu Europejskiego. [*Marszałek Borowski czasowo wstrzymał w ostatnich dniach prace nad nowelizacją ustawy – przyp. red.*]. Może to być też skompromitowanie przewodniczącego komisji, która się tą ustawą zajmuje. Poinformowanie na przykład obywateli, że widziano Wenderlicha na kolacji z... i tu pada nazwisko jakiejś osoby zainteresowanej konkretnym kształtem ustawy.

Miał Pan sygnały, że jadał z niewłaściwymi osobami?

– Nie, nie miałem. Jednak wokół tej ustawy toczy się taka zacięta gra, że tego rodzaju rzeczy nie są niemożliwe. I dlatego poradziłem mu, żeby był bardzo ostrożny w tym względzie. Niech na razie nie chodzi gdzieś tam, nie spotyka się pokątnie.

A Pan ma propozycje takich kolacji, obiadów?

– Proszę pana, powiem coś, co zabrzmi...

Już wiem, co Pan powie. I to zabrzmi megalomańsko. Powie Pan, że jego postawa w tym względzie jest na tyle znana, że nikt Pana w tej intencji nie zaprasza.

– To pan powiedział. Ja mogę powiedzieć tylko tyle, że nie otrzymuję takich propozycji. Jeżeli chodzi o łapówki. A jeśli chodzi o lobbing... Nauczmy się żyć z lobbingiem.

Nauczmy się żyć z naszym dzikim, nieuregulowanym lobbingiem?!

– Wiele krajów nie ma ustaw lobbingowych. Nie wiem, czy my mamy przyjąć ustawę, czy nie. W gruncie rzeczy w 90 procentach można ten problem rozwiązać poprzez odpowiednie działania przewodniczących komisji sejmowych.

Co powinni robić?

– Kontrolować tryb przedstawiania uwag, obecności konkretnych osób na posiedzeniach, zabierania głosu, kto ile razy... jakie organizacje są upoważnione do tej obecności. Żadna ustawa nie zapobiegnie spotkaniu posła z przedstawicielem koncernu, stowarzyszenia czy innej lobbującej organizacji. Przestudiowałem w tym względzie amerykańskie przepisy i wiem, że wprowadzenie ich u nas byłoby niemożliwe, nikt nie byłby w stanie tego skontrolować. W USA senator czy kongresman może się udać na obiad wydany przez lobbystę, ale musi spełnić następujące warunki: albo w tym obiedzie bierze udział członek partii przeciwnej, albo domaga się i uzyskuje prawo do zabrania głosu publicznie (podczas obiadu), albo sam płaci za swój obiad lub przychodzi z własnym. Tak jest dokładnie napisane. My tego nie wprowadzimy.

Na przykład była ustawa o biopaliwach. Typowa ustawa, gdzie od lobbingu aż gęsto, bo jedni chcieli na tym zarobić, drudzy też chcieli zarobić, ale inaczej. Trzecim nie chciało się utrudniać sobie życia. Na spotkania klubów poselskich przychodziło wielu lobbystów. Rzecz dalej sprowadza się do zwykłej rzetelności i uczciwości – czy posłowie biorą wszystkie te ekspertyzy, czytają i na końcu wyrabiają sobie swoją opinię.

Ustawa o biopaliwach jest wynikiem działalności lobbystycznej? Forsowało ją PSL reprezentujące przede wszystkim grupę przemysłowców rolnych, przetwórczych, rolników, grupa ta w większości to albo sympatycy, albo członkowie PSL-u, więc *de facto*...

– Nie wiem, czy to są sympatycy, czy członkowie PSL-u, ja to oddalam, w ogóle się tym nie zajmowałem.

Dlaczego nie? To jest ewidentny nacisk grupy, która ma w tej ustawie interes.

– Pan odwraca tę sprawę. Można powiedzieć, że na każdym wydatkowaniu pieniędzy publicznych ktoś zarabia. Zawsze można powiedzieć, że ktoś ma interes. Oczywiście wszyscy naciskają, żeby zarobić. Rzecz polega na tym, żeby procedury były przejrzyste. Jak zaczniemy przyglądać się każdej ustawie pod kątem tego, ilu członków PSL-u, SLD, PiS-u na niej zarobi, to zwariujemy.

Pamięta Pan posła, który w zeszłej kadencji Sejmu przepychał ustawę o obowiązkowym używaniu komórkowych zestawów głośno mówiących, będąc równocześnie ich dealerem? To już jest chyba naganne?

FOT. WITOLD RODZICKI/REPORTER

Marszałek Borowski uważnie słuchał wystąpienia ministra finansów Grzegorza Kołodki przedstawiającego w Sejmie projekt budżetu państwa na rok 2003

– Naganne i zresztą został przez komisję etyki za to ukarany.

Gdzie różnica?

– To było zachowanie pojedynczego posła, bezpośrednio zainteresowanego. Natomiast czym innym jest głosowanie całego klubu. Jeśli chodzi o klasyczny konflikt interesów, to on występuje od czasu do czasu. Co na przykład można powiedzieć o komisji rolnictwa, w której mamy samych rolników? Co z tym zrobić? Nie wiem. Zrobić komisję rolnictwa bez rolników? Trafi do księgi Guinnessa. To jest rola dla mediów, które to obserwują i wydobywają na światło dzienne. Jeżeli staje w komisji kwestia cen zboża, a jakiś rolnik (członek komisji) jest wielkim producentem zboża i strasznie aktywnie domaga się od rządu większych cen skupu, to jest to ewidentny konflikt interesów. Media powinny wydobyć to na światło dzienne.

Czy nie powinno się takiego posła pozbawiać mandatu? Przecież to kardynalne sprzeniewierzenie się idei posłowania!

– Dzisiaj jest to niemożliwe, wymagałoby zmian w konstytucji, choć być może będą one konieczne.

Dzisiaj mamy już różne inne kary, na przykład publiczne napiętnowanie go za to. Kiedy jego wyborcy dowiadują się, że ich poseł przedłożył interes własny nad interes publiczny, to on traci poparcie i może odpaść w następnych wyborach.

Dlaczego? Nawet Pan mówi, że posła, który się sprzeniewierzył, nie powinno się pozbawiać mandatu.

Prokurator nie może tak po prostu umorzyć sprawy, musi przedstawić społeczeństwu, co udało mu się ustalić. Osobiście chciałbym, żeby ktoś za „sprawę Rywina" beknął

– Niech pan poczeka. To partie polityczne muszą zrozumieć, że taki stan świadomości społecznej jest niezwykle niebezpieczny dla nich samych, już nie mówię o demokracji, o państwie.

Dlaczego dla nich jest niebezpieczny?

– Popatrzmy, co się dzieje u nas. Spada frekwencja wyborcza...

Wielkie rzeczy. To mniejsza grupa będzie wybierała posłów do Sejmu.

– Chwileczkę. Rzecz polega na tym, że ta legitymacja posła jest coraz słabsza. Gdyby rządzenie było takim miłym, bezkonfliktowym zajęciem jak w Szwajcarii, to proszę bardzo. Czy mnie wybierze milion, czy 10 milionów – nie ma znaczenia. Niestety, w Polsce rządzenie od lat jest związane z podejmowaniem ciężkich decyzji, trudnych decyzji, konfliktowych, które wymagają jakiejś zgody społecznej. W pewnym momencie może się okazać, że tak zwana klasa polityczna i jej pomysły już nikogo nic nie obchodzą i każda próba przeforsowania czegoś ważnego dla Polski będzie nieudana.

Politycy zaczynają powoli rozumieć, że skupienie się wyłącznie na atakowaniu przeciwnika jest zabójcze. Za jakiś czas może się okazać, że wszyscy jesteśmy w tym samym grajdole. Dlatego ta sprawa 17,5 miliona uderzyła nas jak obuchem. Po prostu u nas nikt takimi kwotami dotąd nie operował, nikt, a ich upublicznienie pogrąża nas w opinii publicznej.

A posłowie złapani na czymś wstydzą się tego?

– Wstydzą się, jeżeli chodzi o zachowanie nieetyczne, konflikt interesów.

Czy jeśli kogoś na tym się złapie, to w Sejmie otacza go jakiś swego rodzaju ostracyzm? Czy raczej wszyscy ubolewają, że dał się złapać?

– Nie ubolewają, ale ostracyzm to zbyt mocno powiedziane. Temu posłowi – o którym pan mówił w związku z zestawami głośnomówiącymi – było głupio, wszyscy, którzy z nim rozmawiali, wiedzieli, jak nieetycznie się zachował.

Czy ktoś mu nie podawał ręki?

– To jest kwestia stopniowania... Uznano, że został ukarany, więc po co mu jeszcze ręki nie podawać?

Jaką dostał karę od komisji etyki poselskiej?

– Nie pamiętam. Chyba upomnienie, naganę.

To śmieszne. To tak, jakby uczniowi wpisać karę do dzienniczka.

– Ale, proszę pana, wie pan, co jest największą karą dla posła? Tak naprawdę.

Proszę mi powiedzieć.

– To, że gazety źle o nim piszą. Wtedy wraca do swojego okręgu i tam się musi tłumaczyć.

Wróćmy do sprawy Rywina i łapówki. Wiemy dotąd, że Rywin przyszedł do Michnika, złożył mu propozycję zmiany ustawy na korzystną dla Agory – za 17,5 miliona dolarów. Twierdził, że działa w imieniu grupy, która jest u władzy, sugerował, że premier wie o tym. Michnik urządził konfrontację z Millerem. Rywin przyznał się, że to nie premier wysłał go do „Gazety", ujawnił dwa nowe nazwiska – byłego członka Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji Andrzeja Zarębskiego i prezesa TVP Roberta Kwiatkowskiego jako tych, którzy należą do grupy, w imieniu której działa. Obaj publicznie zaprzeczyli. Wszystko wskazuje na to, że niczego więcej prokurator się nie dowie. Nie będzie mógł też oskarżyć Rywina z paragrafu o łapówkach, bo ścigani z niego są funkcjonariusze służby publicznej, a żadnej takiej funkcji ten producent filmowy nie pełni. Prokuratura umorzy więc sprawę za mniej więcej dwa miesiące. Może lepiej było nie wszczynać takiego postępowania, które ma się skończyć umorzeniem, bo opinia publiczna będzie bardzo niezadowolona?

– Pan patrzy na to oczami prawnika.

Którym nie jestem.

– Problem polega na tym, że ludzie patrzą oczami tak zwanej sprawiedliwości społecznej, a nie prawa, które znają tak sobie. Stąd ja też nie wyobrażam sobie sytuacji, w której prokurator mógłby tak od razu umorzyć i powiedzieć: nie mam się czym tu zająć, przecież to nie była próba przekupstwa.

Wiemy, jak to się będzie odbywało. Prokurator wezwie Rywina, Rywin potwierdzi to, co już wiemy, Zarębski i Kwiatkowski nie potwierdzą.

– Ja tego nie wykluczam, bo każdy by się wyparł. Dowodów nie ma. To się może tak skończyć. Natomiast jest obowiązkiem prokuratury – ponieważ padły nazwy partii, nazwiska – zająć się tym podejrzeniem o korupcję polityczną. I trzeba będzie bardzo dobrze wyjaśnić społeczeństwu wynik tego postępowania. Powiedzieć, co się ustaliło, i koniec. Osobiście chciałbym, żeby ktoś za to beknął.

Nawet jeżeli miałby być to ktoś z SLD?

– To obojętne.

Afera powstała w związku z ustawą, której pierwotna wersja uniemożliwiała Agorze, czyli „Gazecie Wyborczej", posiadanie telewizji ogólnopolskiej. Czy Pańskim – prywatnym – zdaniem dobrze by się stało, gdyby Agora kupiła Polsat? Czy Agora powinna mieć swoją telewizję? Niektórzy twierdzą, że byłaby to monopolizacja polskiej opinii publicznej. Biorąc pod uwagę to, co wcześniej powiedzieliśmy o „Gazecie", o Adamie Michniku, o jego potrzebie wpływania na rzeczywistość...

– Nie patrzę na to przez „Gazetę" Adama Michnika. Patrzę poprzez zasadę dekoncentracji rynku, czyli utrzymywania jakiegoś minimum konkurencji. Nie jesteśmy jedynym krajem, który nagle to wymyślił. I wydaje mi się, że jest to racjonalne. Ta ustawa wzmacnia telewizję publiczną, co krytykują media prywatne, ale trzeba pamiętać, że naprawdę nie ma żadnej gwarancji, że po wejściu do Unii Europejskiej obecni właściciele mediów prywatnych nie sprzedadzą ich kapitałowi europejskiemu. Oni się przecież kierują interesem. Co tu dużo gadać, ta nasza komercyjna telewizja to jeszcze pół biedy, ale jak patrzę na zachodnie telewizje komercyjne, to mi się robi słabo, to sieczka zupełna. Co będzie, jak kupią polskie telewizje komercyjne?

No i co z tego? Niech sobie robią sieczkę.

– No, nie! Proszę pana! Trzeba pamiętać, że ta sieczka ma wpływ na opinię publiczną, można ją także urabiać wedle zapotrzebowania właściciela. Kiedy pan popatrzy na kraje Unii Europejskiej, to tam udział kapitału zagranicznego w poszczególnych telewizjach jest znikomy.

Bo krajowe koncerny są wielkie, nie muszą się sprzedawać.

– Nie tylko to, politycy dbają o to. Wpływ mediów na kształtowanie opinii publicznej jest oczywisty. Rządy, parlamenty nie powinny urabiać mediów, nie powinny wpływać na media pod względem treści, natomiast powinny zadbać o to, żeby telewidz miał przynajmniej dostęp do różnorodnych opinii. Stąd też zasada dekoncentracji jest obliczona nie tylko na nasz rodzimy biznes medialny, lecz także koncerny zagraniczne.

Telewizja „Wyborcza" nie spędza Panu Marszałkowi snu z powiek?

– Nie, nie spędza, natomiast jakaś monopolizacja tego rynku już tak. Uważam, że zasada dekoncentracji powinna w Polsce obowiązywać.

ROZMAWIAŁ PIOTR NAJSZTUB

KATASTROFA „HEWELIUSZA” DRUGIE DNO

10 lat po katastrofie „Jana Heweliusza” polskie sądy wciąż nie wskazały winnych jego zatonięcia. 16 stycznia sprawą zajmie się Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu. Wdowy po marynarzach walczą o dobre imię swoich mężów. – Armator musi ponieść odpowiedzialność za katastrofę – twierdzą kobiety

Wrak „Jana Heweliusza” spoczywa dziś na głębokości 25 metrów. Musi zostać usunięty, bo stanowi zagrożenie dla promów kursujących między Świnoujściem a Ystad. Na zdjęciu widać burtę promu

FOT. PIOTR BUJNOWICZ/FABRYKA OBRAZU

MAGDA KUYDOWICZ, PIOTR BUJNOWICZ

Pasażerowie gorączkowo szukali kamizelek ratunkowych. Szalejąca wichura zmiatała ludzi z pokładu. Ci, którzy zdołali dopłynąć do tratw, słyszeli za sobą głosy tonących: „O Boże, o Boże!"

W swój ostatni nocny rejs „Heweliusz" wyszedł o dwie godziny później niż zwykle. 13 stycznia 1993 roku na Bałtyku panowała sztormowa pogoda. Mimo to prom odbił od brzegu i ruszył w stronę Ystad. O północy wiatr zaczął dąć z siłą sześciu–siedmiu stopni w skali Beauforta. Potem nie starczyło już 10-stopniowej skali. W porywach wichura osiągała prędkość 160 kilometrów na godzinę.

Kapitan Andrzej Ułasiewicz postanowił zawrócić statek i obrał kurs na Rugię. Uznał prawdopodobnie, że wyspa będzie dla promu najlepszą, naturalną osłoną. Ten manewr – uznany później za szczególnie ryzykowny – stał się podstawą obwinienia kapitana o katastrofę. Ułasiewicz nie może się bronić. Zginął na mostku kapitańskim. Po śmierci obarczono go także odpowiedzialnością za źle prowadzoną ewakuację i śmierć 55 osób.

W nocy z 13 na 14 stycznia 1993 roku na pokładzie promu podróżowały 64 osoby: 29 członków załogi, 28 kierowców tirów, pięć osób towarzyszących i dwoje dzieci. Odnaleziono 39 ciał. 16 osób uznano za zaginione. Przeżyło dziewięciu marynarzy.

Śmiertelna pułapka

Od 10 lat wdowy po marynarzach daremnie walczą o pociągnięcie do odpowiedzialności armatora „Heweliusza" – szczecińskiej spółki Euroafrica. Ich zdaniem promu w ogóle nie wolno było wyprawiać w morze. Fatalny stan techniczny, wady konstrukcyjne, źle prowadzone remonty uczyniły z „Heweliusza" śmiertelną pułapkę. W chwili katastrofy łodzie ratunkowe okazały się bezużyteczne, a dla pasażerów zabrakło skafandrów termicznych, bez których nie sposób przeżyć w lodowatej wodzie.

Procesy o ustalenie przyczyn katastrofy toczyły się przez sześć lat w izbach morskich (sądach rozpatrujących sprawy z zakresu prawa morskiego). Chociaż sąd przyznał, że do katastrofy przyczyniły się wady konstrukcyjne promu, nie wskazał osób ani instytucji odpowiedzialnych za ich zaistnienie, ani tych, którzy powinni byli je usunąć. Wdowy przegrały z armatorem, bo brakowało dowodów materialnych. Postanowiły skierować sprawę do Strasburga.

„Rozprawy były prowadzone w taki sposób, by ukryć rzeczywistość, techniczne przyczyny wypadku oraz uwolnić od zarzutów i winy organa administracji państwowej i przedsiębiorstwa" – napisały kobiety w skardze do Trybunału Praw Człowieka. Nie przesłuchano ważnych świadków. Ta sama osoba prowadziła w Izbie Morskiej śledztwo i orzekała o wyroku.

W oczekiwaniu na termin rozprawy kobiety namówiły płetwonurków amatorów do zbadania wraku, mimo że prom leży w wyjątkowo niebezpiecznym i trudnym rejonie. Liczyły na odnalezienie ciał zabitych, ale także – nowych materiałów dowodowych. Wdowy wierzą, że szczegółowa rekonstrukcja zdarzeń, relacje ocalonych i to, co udało się wydobyć z dna morza, przekonają sędziów europejskiego Trybunału. Latem wyruszy następna wyprawa poszukiwawcza finansowana przez szwedzkie związki zawodowe kierowców. Ma na celu odnalezienie dziennika pokładowego – on także mógłby stanowić dowód.

„Ogłaszam alarm opuszczenia statku!"

Około 4.35 nad ranem Marian Chodkowski, kapitan „Silesii", promu, który pływał w tym samym rejonie Bałtyku, odebrał sygnał z „Heweliusza" o 30-stopniowym przechyle pod wpływem ostrego podmuchu wiatru. Ładunek przesunął się gwałtownie na lewą stronę i „Heweliusz" stracił stateczność. Kapitan Ułasiewicz nadał wtedy pojedynczy sygnał *mayday*. Kiedy o burty promu uderzyła ośmiometrowa fala, przechył osiągnął 70 stopni. Uszkodzone stery prawdopodobnie odmówiły posłuszeństwa. Kapitan uruchomił dźwignię alarmową z komunikatem: „Uwaga, uwaga, ogłaszam alarm opuszczenia statku!". O 4.53 stacja brzegowa Rügen-Radio odebrała ostatni sygnał: „*My position is...*". Chwilę potem łączność została zerwana.

Pasażerowie gorączkowo szukali kamizelek ratunkowych. Szalejąca wichura zmiatała ludzi z pokładu. Prom był już tak mocno przechylony, że nie trzeba było spuszczać tratw na wodę. – Morze samo wsysało je w głąb – wspomina jeden z ocalałych marynarzy.

O tej porze roku Bałtyk jest śmiertelnie niebezpieczny. Temperatura wody wynosi zaledwie dwa stopnie. Człowiek może przeżyć w takich warunkach najwyżej pięć minut. Dlatego ocaleli tylko ci, którzy mieli kombinezony termiczne. Wyłącznie członkowie załogi. Spośród pasażerów dryfujących w pomarańczowych kamizelkach na ogromnych, czterometrowych falach nie przeżył nikt. Ciała rozbitków uderzały o wystające części promu. Zwłoki wyrzucone na brzeg były częściowo zmasakrowane.

O 5.30 wiatr przewrócił prom do góry dnem. 125-metrowy kolos zaczął powoli iść na dno. Akcję ratunkową rozpoczęto dopiero godzinę później. Zakończyła się o 16.45. Polskie, niemieckie i duńskie kutry ratownicze dryfowały wśród unoszących się na falach ciał.

Wyścig za życiem

Edward Kurpiel był ochmistrzem na „Heweliuszu". Jest jednym z dziewięciu marynarzy, którzy ocaleli z katastrofy. Dziś mieszka w Szczecinie.

Pierwszy podmuch wiatru poczuł o 1.20 w nocy, gdy kładł się spać. Nie przejął się tym. Sztorm na Bałtyku o tej porze roku to normalna sprawa. Wstał, by zablokować naczynia na stole. Jednak po chwili prom zaczął się przechylać na lewą stronę. Meble przesunęły się niebezpiecznie w kierunku drzwi.

Ochmistrz usłyszał sygnał alarmowy. Przez wąską szparę w drzwiach przecisnął się na korytarz. Zakładając w biegu kombinezon i kapok, wydostał się na górę. To, co ujrzał, przeraziło go. Ogromne fale waliły w pokład promu, jakby chciały go zmiażdżyć. Powietrze było pełne wodnego pyłu, nie dało się oddychać. Wiatr przewracał ludzi. Kurpiel wskoczył do wody i popłynął w kierunku tratwy. Nie miał sił, by wspiąć się na burtę.

Spojrzał na prom. Kapitan z pierwszym oficerem do końca stali na mostku kapitańskim. Ewakuacją kierował drugi oficer Mariusz Szwebs. Nagle któryś z mężczyzn na tratwie mocno złapał ochmistrza wpół i wciągnął go do środka. Po chwili podpłynęły do nich kolejne tratwy z rozbitkami. Wszyscy patrzyli w milczeniu na kadłub statku dryfujący wśród ogromnych fal. Dobiegały ich głosy tonących: „O Boże, o Boże!".

Śmierć na falach

Między 6 a 7 rano rozbitkowie usłyszeli ryk niemieckiego statku ratowniczego „Arkona", potem zaczął narastać warkot helikopterów. Wydawało się, że są już uratowani. Tymczasem akcja ratunkowa przebiegała chaotycznie.

Spuszczona z helikoptera linka, zamiast pomóc w transporcie na statek, szarpnęła tratwą tak mocno, że ludzie wypadli za burtę. Dwóch z nich – bosmana Kazimierza Szpilmana i magazyniera Tadeusza Łastowskiego – wyłowiono w stanie krytycznym. Nie udało się ich uratować. Nie przeżyła także stewardesa Teresa Sienkiewicz i elektryk Andrzej Korzeniowski, który miał tak zgrabiałe z zimna dłonie, że spadł z drabinki tuż przed wejściem na burtę. Pozostali mozolnie wspinali się na pokład niemieckiego statku.

Po kilku godzinach dryfowania odwrócony kadłub „Heweliusza" osiadł na dnie. Pod ciężarem ładunku (prom przewoził 28 tirów z żarówkami, cebulą, plazmą krwi i 10 wagonów kolejowych z zagadkowym towarem) oderwał się cały górny pokład. Z wnętrza jak z pudełka wysypały się załadowane samochody.

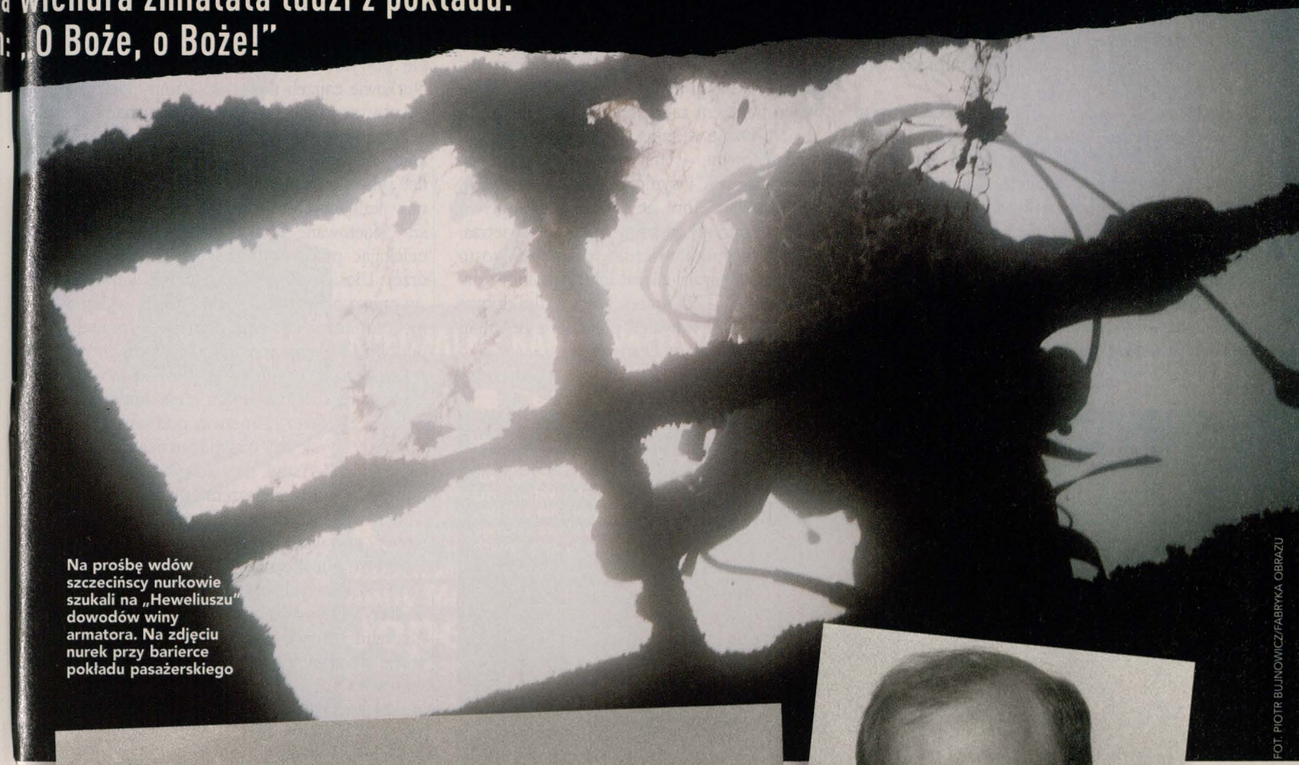

Na prośbę wdów szczecińscy nurkowie szukali na „Heweliuszu" dowodów winy armatora. Na zdjęciu nurek przy barierce pokładu pasażerskiego

FOT. PIOTR BUJNOWICZ/FABRYKA OBRAZU

FOT. JERZY UNDRO/PAP

„Jan Heweliusz" pochodził ze złej serii. Zbudowany w tej samej norweskiej stoczni prom „Herald of Free Enterprise" zatonął w roku 1987, topiąc 188 osób

FOT. ARCHIWUM RODZINNE

Andrzej Ułasiewicz miał 46 lat i 13-letni staż kapitański. Uchodził za znakomitego fachowca

Pożar, wywrotka i 28 awarii

„Jan Heweliusz" był starym i pechowym promem. Feralnej styczniowej nocy wyszedł w morze z dwugodzinnym spóźnieniem ze względu na problemy z naprawianą pół roku wcześniej rufą. Miał za sobą kilka remontów. W roku 1982 osiadł na burcie na kamienistym dnie portu w Ystad. W roku 1986 na statku wybuchł groźny pożar, a rok później z powodu złego wypełnienia zbiorników balastowych prom... przewrócił się do góry dnem.

Z 28 przypadków awarii udokumentowano tylko sześć. Statek powstał w roku 1977 w norweskiej stoczni Trosvik Verkstad AF w Brevik. Nie on jeden miał kłopoty ze statecznością. Podobny prom, angielski „Herald of Free Enterprise", zatonął w roku 1987. Według ekspertów przyczyną był błąd jego konstrukcji. Zginęło wówczas 188 osób.

„Jan Heweliusz" kursował między Polską a Szwecją praktycznie bez przerwy. Nazywano go tramwajem. Jako prom kolejowo-samochodowy miał określoną „bezpieczną" wyporność. Wszelkie normy jednak stale przekraczano. Nieustannie powiększano jego

przestrzenie ładunkowe. By zwiększyć pojemność, statek pozbawiono poprzecznych grodzi stabilizujących.

Najbardziej realnym niebezpieczeństwem było dla „Heweliusza" nie zatonięcie, ale właśnie przewrócenie do góry dnem. Z powodu niezliczonej liczby usterek marynarze nazywali go między sobą „pływającą trumną" lub „śmiertelną pułapką".

Kawałek „Titanica"

Pół roku temu udało się wyłowić fragment wraku polskiego „Titanica". Nurkowie wydobyli kawałek pokładu częściowo wylanego betonem. Jak się okazało, po pożarze w roku 1986, zamiast wymienić zdeformowany górny pokład, armator zalał go 30 tonami betonu. To przemawia na niekorzyść szczecińskiej spółki. Euroafrica zleciła ten prowizoryczny remont, wiedząc, że pogłębi on poważną wadę konstrukcyjną promu.

Tomek Stopyra z klubu Dive Point w Szczecinie od czterech lat bada historię zatonięcia „Heweliusza". Nurkował już 40 razy. Za każdym razem z inną grupą śmiałków. To on organizował latem akcję, w czasie której wyłowiono fragment zabetonowanego pokładu.

– Nurkowie weszli w głąb kadłuba – opowiada Stopyra. – Udało im się oderwać zardzewiałą część i wynieść ją na powierzchnię. Byli w takiej euforii, że nie zauważyli upływu czasu i kończącego się w butlach powietrza. Musieli się błyskawicznie wynurzyć. Prosto z łodzi helikopter zabrał ich do komory dekompresyjnej. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło. Kawałek pokładu z betonem ma zostać poddany ekspertyzie.

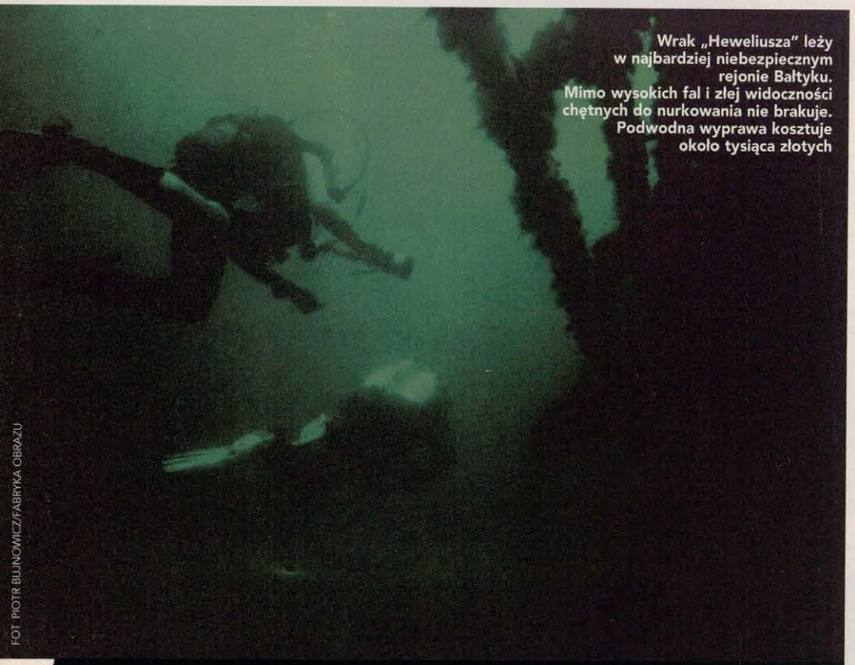

FOT. PIOTR BUJNOWICZ/FABRYKA OBRAZU

Wrak „Heweliusza" leży w najbardziej niebezpiecznym rejonie Bałtyku. Mimo wysokich fal i złej widoczności chętnych do nurkowania nie brakuje. Podwodna wyprawa kosztuje około tysiąca złotych

Wdowy po marynarzach twierdzą, że armator przeprowadził na „Heweliuszu" nielegalne remonty i eksploatował statek mimo poważnej wady konstrukcyjnej

Nurkowie szukali także ciał zaginionych kierowców tirów, którym nie udało się wydostać z dolnego pokładu.

Pod wodą wrak wydaje się ogromny. Aby go opłynąć, trzeba co najmniej 45 minut. W mętnej wodzie kadłub jest ledwo widoczny. Pokrywają go tysiące czarnych omułków. Wielkie wrażenie wywołuje luk, w którym stał tir z żarówkami. Teraz tysiące żarówek dryfują pod sufitem, który był podłogą. Widać dziwnie powykręcane i zmiażdżone samochody. Nurkowie zajrzeli nawet do kabiny kierowcy – z otwartego schowka wypłynęły kanapki.

Przez furtę rufową można wpłynąć na pokład kolejowy. W nikłym świetle latarek widać sylwetki następnych 12 tirów i 10 wagonów kolejowych. Wszystkie stery „Heweliusza" skierowane są w lewą stronę, chociaż uciekając przed ogromną falą, kapitan Andrzej Ułasiewicz wydał ostatnią komendę „w prawo na burtę!". Rozkaz został wykonany, a mimo to stery nie drgnęły. To prawdopodobnie kolejna przyczyna katastrofy.

Choć prom osiadł na głębokości 25 metrów, najbardziej wystająca część burty znajduje się zaledwie 12 metrów pod powierzchnią wody. Wrak leży blisko toru żeglugowego Świnoujście – Ystad, na wodach międzynarodowych. Stanowi zagrożenie dla statków. Powinien być wysadzony, ale prędzej zostanie pocięty pod wodą i wyłowiony w kawałkach. Dlaczego? Nieoficjalnie mówi się, że w wagonach kolejowych była broń i amunicja. Wskazywałby na to między innymi niewytłumaczalnie duży ciężar promu. Transport był tajny, ale legalny. Być może to właśnie ze względu na ten ładunek prom musiał wyjść w morze mimo złej pogody.

Dowód rzeczowy

20 mil na północny wschód od wybrzeży Rugii kołysze się pomarańczowo-czarna boja z miniaturową anteną radiową i latarnią morską. Promy, które ją omijają, przeciągłym wyciem syren oddają cześć ofiarom katastrofy. „Heweliusz", podwodny cmentarz, jest nadal najważniejszym dowodem rzeczowym. Daje ostatnią możliwość ustalenia winnych katastrofy, może szansę rehabilitacji dla kapitana promu Andrzeja Ułasiewicza.

Co prawda w roku 1999 Odwoławcza Izba Morska orzekła w końcu, że prom nie powinien był wyjść w morze między innymi ze względu na wady konstrukcji, ale... nikogo nie uznała za winnego katastrofy. W praktyce takie orzeczenie oznacza odszkodowanie za wypadek przy pracy, a nie śmierć w katastrofie. A zatem pokrzywdzeni dostaną znacznie mniejsze kwoty. – Obcy armatorzy zwykle dobrze traktują rodziny ofiar – mówi jedna z wdów Irena Brudnicka. – Dostają one pełne odszkodowanie, są otoczone opieką finansową i czysto ludzką. Pamięta się o nich. Dlaczego naszych mężów, którzy służyli i zginęli na polskim statku, traktuje się inaczej?

O szansach kobiet w procesie w Strasburgu trudno spekulować. Faktem jest jednak, że kilkunastu Polaków, którzy wcześniej składali skargę do Trybunału, swoje sprawy wygrało.

MAGDA KUYDOWICZ
PIOTR BUJNOWICZ

NIE CHCEMY BYĆ KANIBALAMI?

Olga Woźniak, Michał Wójcik

Życia wielu ludzi nie można uratować przez upór rodzin, które nie zezwalają na pobieranie wątroby, trzustki, nerek od swoich bliskich zmarłych. W ciele ukochanej osoby nie chcą widzieć magazynu części zamiennych

SPL/EAST NEWS

Współczesna medycyna pozwala przeszczepić nie tylko serce, ale nawet całą twarz

Oddałbyś komuś swoją twarz? Poważnie pytam. Dlaczego? Bo, jak zapewnia Peter Butler, brytyjski chirurg plastyczny, już wkrótce będą technicznie możliwe przeszczepy twarzy.

Od zmarłego dawcy pobierać się będzie skórę, mięśnie i tkankę tłuszczową. Twarz będzie przeszczepiana z ustami, podbródkiem, uszami, nosem. Czy to oznacza, że biorca mojej twarzy stanie się moim sobowtórem?

– Muskulatura twarzy kształtuje się w kontakcie z kośćmi czaszki. Mięśnie będą przeszczepiane na czaszkę o innym kształcie – twarz więc nie będzie taka sama – tłumaczy Butler. Operacje mają ratować osoby z rozległymi poparzeniami albo rakiem.

– Dzisiaj przeszczepia się skórę z innych części ciała pacjenta. To jednak nie przywraca mimiki twarzy i daje efekt maski – mówi lekarz.

Cóż, twarz to bardzo osobista część człowieka. Czy społeczeństwo poprze pomysł brytyjskiego chirurga? Z jego sondaży wynika, że ludzie o wiele łatwiej zgodziliby się zostać biorcą twarzy, niż oddać własną. Co tu jednak mówić o twarzy, skoro tak niechętnie oddajemy znacznie bardziej „anonimowe" części, jak serce, wątroba, rogówka czy nerka...

RODZINA ZAZWYCZAJ PRZECIW

Organów do przeszczepów jest coraz mniej. I wcale nie dlatego, że jeździmy ostrożniej (ofiary wypadków to największa grupa dawców). Okazuje się, że na przeszkodzie transplantacjom stają rodziny zmarłych.

Trudno się więc dziwić, że prawie całe środowisko polskich transplantologów poparło profesora Zbigniewa Religę, gdy pół roku temu zaproponował, by karać rodziny, które odmawiają zgody na pobranie narządów od zmarłych.

Kierownik Instytutu i Kliniki Kardiologii Akademii Medycznej w Poznaniu powiedział wręcz, że gdyby nie brak dawców, uratowanych byłoby więcej. Do tej pory wydawało się, że lekarze nie powinni mieć żadnych problemów z pozyskiwaniem organów do przeszczepów. A jednak jest inaczej.

– Zazwyczaj, gdy informuję rodzinę o zgonie pacjenta i próbuję powiedzieć, że jego wątroba czy nerka uratowałaby komuś życie, słyszę pod swoim adresem: „hiena", „wampir", „truposz" – mówi proszący o anonimowość lekarz z Akademii Medycznej w Warszawie.

Paradoks polega jednak na tym, że – teoretycznie – rodziny protestują nielegalnie. Ustawa o przeszczepach wyraźnie mówi, że organ od zmarłego można pobrać niejako automatycznie.

Lekarzowi nie wolno tego zrobić tylko wtedy, jeśli potencjalny dawca za życia wyraził sprzeciw i zarejestrował się w Centralnym

Rejestrze Sprzeciwów. Do banku sprzeciwów zgłosiło się do tej pory 23 tysiące Polaków. Wielu w ogóle nie wie, że może to zrobić.

„W świetle ustawy z 1995 roku zwłoki ludzkie stają się własnością państwa – protestuje tymczasem profesor Bogusław Wolniewicz, etyk i filozof, na łamach chrześcijańskiego serwisu internetowego Opoka. – Jest to ustawa godząca wprost w instytucję rodziny. Rodzinę pozbawia się jednego z jej najświętszych, odwiecznych praw: prawa do swoich zmarłych. Ludzie utracili świadomość i poczucie, że jest coś ważniejszego niż życie. (...) Nie ma łajdactwa ani okropieństwa, którego nie można by się dopuścić, żeby jeszcze trochę pożyć. Zgodnie z tą ustawą urzędnicy będą decydowali, kto i jaką dostanie nerkę, wątrobę i trzustkę – a w rzeczywistości decydować o tym będą rozmaite formy przekupstwa, które rozkwitnie na niebywałą skalę".

WYTATUOWANI DAWCY

Tymczasem wielkopolscy kardiolodzy do dziś wspominają chłopca, który prawie pół roku czekał na przeszczep. Bał się, ale mężnie znosił upływający czas i malejącą szansę na przeżycie. W atmosferze napięcia wytrwał sześć miesięcy.

Wreszcie o drugiej w nocy przyszła wiadomość: jest dawca! Lekarze błyskawicznie przygotowali transport chorego helikopterem do Krakowa.

Tuż przed startem przyszła jednak druga wiadomość. Rodzina zmarłego w ostatniej chwili zaprotestowała. Ojciec powołał się na jakoby wypowiedziane za życia zmarłego słowa, aby nie pobierać jego organów.

Bezradni lekarze obserwowali powolne umieranie nastolatka. Zamiast jednego pogrzebu były dwa.

Właśnie dlatego część środowiska transplantologów zaproponowała przeprowadzenie wielkiej akcji edukacyjnej. Trzeba bowiem wyjaśniać elementarne sprawy: że – zdaniem hierarchów Kościoła katolickiego – pobranie organów od zmarłego nie przeszkodzi mu w zmartwychwstaniu przed Sądem Ostatecznym; że lekarze przystąpią do pobierania potrzebnego serca na pewno po stwierdzeniu zgonu dawcy; że przy ratowaniu życia opinia sąsiadki, która „może potem rozpowiadać po wsi", zupełnie się nie liczy. Tego rodzaju wątpliwości są przyczyną niezgody większości rodzin.

Aby w przyszłości uniknąć tego typu problemów, doktor Maciej Śmietański, zastępca ordynatora w Klinice Chirurgii Ogólnej i Transplantacyjnej Akademii Medycznej w Gdańsku, razem z Jackiem Kornackim, grafikiem, i Markiem Jasiną z Politechniki Gdańskiej wpadli na pomysł, aby ci, którzy zgadzają się na pobranie organu po swojej śmierci, wytatuowali sobie na ramieniu znak nieskończoności. Dzięki temu lekarz będzie miał widoczny i najpewniejszy dowód, że dawca za życia nie miał nic przeciwko przeszczepowi. Takie tatuaże zrobiło sobie do tej pory blisko 10 tysięcy potencjalnych dawców.

LEPIEJ LECZYĆ, NIŻ WYLECZYĆ

Doktor Śmietański nie ukrywa, że akcja tatuowania ramion miała być prowokacją. Chodziło przede wszystkim o poruszenie środowiska medycznego. Zdaniem doktora tak mizerne efekty leczenia przeszczepami wynikają ze stosunku samych lekarzy do transplantologii.

Okazuje się, że za mało rozmawiają na ten temat z pacjentami. – Nie chodzi tylko o strach przed reakcją rodzin – mówi Śmietański. Również o to, że wprawdzie zdecydowana większość lekarzy opowiada się za przeszczepami, ale na przykład tylko co czwarty zgodziłby się na pobranie narządów od swojego zmarłego dziecka.

Nie mniej poważny problem to pieniądze. Na przykład przeszczepy nerek po prostu nie są „opłacalne".

– Antyprzeszczepowe lobby składa się z trzech środowisk – tłumaczy doktor Śmietański. – Są to lekarze ze stacji dializ, pielęgniarki i... taksówkarze. W Polsce jest 10 tysięcy sztucznych nerek. Pacjent – zamiast poddać się przeszczepowi, co raz na zawsze skróciłoby jego cierpienia – trzy razy w tygodniu musi się meldować przy aparacie do dializy. Rocznie daje to milion sto tysięcy wizyt w szpitalach. Zadowoleni są lekarze i pielęgniarki, bo mają zajęcie, oraz taksówkarze, bo wożą chorych i ich opiekunów.

Tymczasem pacjent z przeszczepioną nerką żyje prawie o połowę dłużej niż pacjent na stałe „przywiązany" do swojego aparatu.

Absurd tej sytuacji łatwo jednak wytłumaczyć – przeszczep kosztuje „tylko" 35 tysięcy złotych, a za dializy szpital otrzymuje od kasy chorych w ciągu pierwszego roku zabiegów prawie 50 tysięcy, a potem każdego roku jeszcze po 20 tysięcy złotych. Taki chory to prawdziwa żyła złota.

Można uznać transplantację za dopuszczalny sposób ratowania życia, ale wtedy za dopuszczalne należy uznać też ludożerstwo głodowe – twierdzi etyk i filozof Bogusław Wolniewicz. Jego zdaniem prawo rodziny do zmarłych jest święte

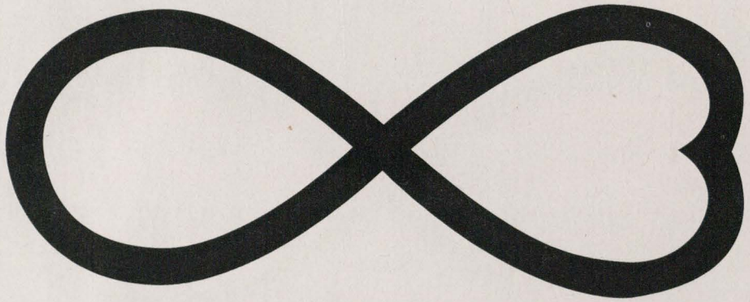

Zgadzasz się, by twoje organy przedłużyły życie innym ludziom? Jeśli tak, wytatuuj sobie na ramieniu znak nieskończoności

NOWA FORMA KANIBALIZMU?

Choć Kościół katolicki nie potępia oddawania narządów, często odzywają się głosy autorytetów za nienaruszalnością zwłok ludzkich.

„Transplantacje to współczesny kanibalizm – grzmi profesor Bogusław Wolniewicz. – Nie twierdzę, że należy ich zaniechać. Ale z punktu widzenia logiki i moralności przeszczepy ludzkich organów stoją na tej samej płaszczyźnie co ludożerstwo głodowe. (...) Można zatem uznać transplantację za dopuszczalny sposób ratowania życia, ale wtedy za dopuszczalne należy uznać też ludożerstwo głodowe".

Arcybiskup Józef Życiński odpowiada na to, że każda wizyta u fryzjera czy dentysty narusza integralność ciała. „Zwłoki nie są własnością

FOT. BARTEK ZBOROWSKI/SE

Ofiary wypadków samochodowych to największa grupa dawców narządów do przeszczepów

rodziny – powiedział „Gazecie Wyborczej". – Pamiętam, że w czasie dyskusji nad liberalizacją ustawy o ochronie płodu ludzkiego profesor Wolniewicz wypowiadał się za aborcją. Jak pogodzić ten pogląd z twierdzeniem, że transplantacje to kanibalizm dla oświeconych?".

KARUZELA ZAMIAST NERKI

Kilka lat temu wydawało się, że transplantologia będzie motorem polskiej medycyny. Nasi lekarze szybko dogonili światową czołówkę i dzisiaj potrafią przeprowadzać bardzo skomplikowane przeszczepy.

Liczbę zabiegów ograniczają jednak finansowe limity narzucane przez resort zdrowia. Lekarze, którzy decydują się operować pacjentów ponad ustalony plan, narażają dyrektorów placówek na poważne kłopoty.

Szpital Wojewódzki w Poznaniu w roku 2001 wykonał na przykład o sześć zabiegów więcej, niż zaplanowano. Do dziś ministerstwo nie zwróciło ani złotówki. To oznacza, że placówka na własny koszt podarowała życie sześciu szczęśliwcom.

W zeszłym roku szpital wykonał o trzy przeszczepy nerek więcej niż zaplanowane 85. Jedna operacja kosztuje około 35 tysięcy złotych – łatwo więc policzyć rosnące zadłużenie lecznicy. A co się stanie, jeśli wykona za dużo przeszczepów wątroby? Jeden kosztuje prawie 200 tysięcy.

W połowie ubiegłego roku okazało się, że trzy główne ośrodki transplantologiczne już dawno przekroczyły limity finansowe, chociaż wykonały dopiero 80 procent zaplanowanych zabiegów. Aby operować dalej i nie powiększać statystyki zgonów, pod koniec roku budżetowego dyrektorzy placówek wpadają w spiralę zadłużenia.

W dodatku żadna procedura transplantologiczna nie uwzględnia kosztów lotnictwa sanitarnego. Jeśli na przykład ordynator szpitala „zamawia narząd" w drugim końcu kraju i wysyła po niego helikopter, wcale nie jest pewny, czy nie zapłaci za to z własnej kieszeni. Może się bowiem okazać, że organ się nie przyjął i przelot był stratą.

Dlatego dyrektorzy placówek po nerki czy wątroby wolą wysyłać samochody. A na lądowisku helikopterów (jak przy jednym z warszawskich szpitali) ląduje już tylko... wesołe miasteczko.

RACJE UMYSŁU I SIŁA UCZUĆ

I co? Oddałbyś innej osobie twarz, serce, wątrobę? Przecież gdy umrzesz, nie będą ci potrzebne.

Z badań wynika, że 80 procent Polaków zgodziłoby się na pobranie narządów do przeszczepów po swojej śmierci. Jednak ponad połowa tych samych osób sprzeciwiłaby się oddaniu części ciała swoich najbliższych. Niezbyt to zrozumiałe? Pozornie.

Nauka stale nas przekonuje, że jesteśmy jedynie sprytnie zaprojektowaną maszyną. Racjonalnie umiemy przyjąć to do wiadomości. Serce to pompka, nerka to filtr. Rozumiem. Jestem przecież wyedukowany i nowoczesny.

A jednak nie wiem, czy gdybym stanął w obliczu tragedii, jaką jest śmierć dziecka czy żony, myślałbym tak nadal. Trudno dostrzec w ciele ukochanej osoby magazyn części zamiennych. Śmierć za bardzo wiąże się z emocjami, by w jej obliczu przekonywały racjonalne argumenty. Być może stąd właśnie bierze się ta sprzeczność – z mojego ciała bierzcie, co chcecie, ale od moich bliskich wara!

Jesteśmy oświeceni i współczujący. Ale też nieracjonalnie uczuciowi. A na uczucia nic nie poradzi nawet najlepsza ustawa.

OLGA WOŹNIAK
MICHAŁ WÓJCIK

Wypowiedzi profesora Bogusława Wolniewicza cytujemy za serwisem www.opoka.org.pl

AMERYKAŃSKA MARYNARKA WOJENNA INTENSYWNIE SZKOLI 60 DELFINÓW. BYĆ MOŻE WEZMĄ UDZIAŁ W WOJNIE Z IRAKIEM

Delfin bojowy

Delfiny potrafią nie tylko wykryć nurka, lecz także go zabić. Amerykanie używali ich do tego w Wietnamie

FOT. EPA PAP/FORUM

Delfiny szkolone w ośrodku marynarki wojennej w San Diego przygotowywane są do wykrywania podwodnych min i wrogich płetwonurków. Wytresowany ssak rusza do akcji, a po kilkunastu sekundach alarmuje trenera o obecności podejrzanych obiektów, wypuszczając specjalną boję.

– System jest bardzo skuteczny, wydajny i praktycznie bezkonkurencyjny – zachwala Mike Rothe, urzędnik z ośrodka w San Diego. Program Szkolenia Ssaków Morskich dotyczy nie tylko delfinów – są nim objęte także między innymi lwy morskie.

Zwierzęta muszą prezentować pełnię swych zdolności, nie mogą więc pochodzić z niewoli – są odławiane w naturalnym środowisku. Wprawdzie zakazuje tego ustawa o ochronie ssaków morskich, ale w latach 80. częściowo uchylono ją „dla potrzeb obrony narodowej".

WALENIE NA WOJNĘ

Prace nad militarnym wykorzystaniem delfinów Amerykanie rozpoczęli pod koniec lat 50. Badali wówczas wyjątkową hydrodynamikę tych stworzeń, które potrafią pływać z prędkością przekraczającą 50 kilometrów na godzinę. Miało to służyć ulepszeniu konstrukcji łodzi podwodnych i torped.

Ale uwagę badaczy przykuły jeszcze większe atuty delfinów – inteligencja i echolokacja. Chodziło o wykrywanie obiektów pod wodą. Co prawda wojskowi mieli już sonary – urządzenia emitujące i przechwytujące odbite od przeszkody ultradźwięki – ale delfiny okazały się dużo skuteczniejsze.

W połowie lat 60. ssaki zaczęto angażować do operacji na otwartym morzu. Pierwsze zadanie dotyczyło kalifornijskiego laboratorium podwodnego Sea Lab II. Delfiny nurkowały tam w charakterze... listonoszy. Ale oprócz dostarczania korespondencji i paczek z narzędziami znały parę innych sztuczek – potrafiły odnaleźć zgubiony na dnie sprzęt czy eskortować nurka, który stracił orientację w podwodnym terenie.

KTO SSAKIEM WOJUJE

Ten szkoleniowy sukces zbiegł się z wybuchem wojny w Wietnamie. Pięć zdolnych delfinów oddelegowano do Azji. Nieoficjalnie wiadomo, że przedtem przeszły dodatkowy trening w ramach tak zwanego programu unieszkodliwiania płetwonurków. Amerykańskie okręty stacjonujące w porcie Cam Ranh regularnie atakowały Wietkong. Straty były duże, a wykrywalność podkładających bomby nurków praktycznie żadna. Przysłane na pomoc ssaki potrafiły nie tylko zlokalizować intruza, lecz także zerwać mu maskę i płetwy oraz uszkodzić butle z tlenem.

Ale ta metoda chyba nie była dostatecznie skuteczna, bo program drastycznie „dopracowano". Delfiny ruszyły do akcji, dźwigając na grzbietach... gigantyczne strzykawki ze sprężonym dwutlenkiem węgla. Z ich rąk, przepraszam, płetw, zginęło kilkudziesięciu Wietnamczyków.

Była to jednak broń obosieczna – zwierzęta nie odróżniały przyjaciela od wroga. Ich ofiarą padło także dwóch Amerykanów z obsługi technicznej.

– Fakt wykorzystywania delfinów do celów militarnych długo trzymano w tajemnicy – przyznaje Mike Rothe. Program został odtajniony dopiero w latach 70. Dowództwo marynarki przyznało wówczas, że zwierzęta szkolono przed akcją w Wietnamie. Ale zaprzeczyło, jakoby przygotowywano je do zabijania ludzi.

Dziś amerykańskie dowództwo w razie wybuchu konfliktu z Irakiem nie wyklucza, że delfiny zostaną wpuszczone do Zatoki Perskiej. Tym bardziej że już się tam sprawdziły – pod koniec wojny iracko-irańskiej zatoka była pełna min. A że w rejonie przebywały amerykańskie okręty, zwierzęta mogły spełnić patriotyczny obowiązek.

PODWODNY WYŚCIG ZBROJEŃ

Militaryzację ssaków morskich praktykowano też na Wschodzie. W połowie lat 60. wywiad USA donosił, że nad Morzem Czarnym działa kilka stacji badawczych. Rosjanie mieli też własną „flotyllę". Stacjonowała na Krymie. Według raportu BBC sprzed kilku lat w czasach zimnej wojny czarnomorskie delfiny szukały min, ale potrafiły też „atakować obcych płetwonurków harpunami przymocowanymi do grzbietów". Trening obejmował również przygotowanie ich do roli żywych torped.

Po rozpadzie ZSRR sewastopolski ośrodek znalazł się w granicach niepodległej Ukrainy. I nagle wypłynął problem personelu, czyli 70 delfinów zbędnych w nowej sytuacji geopolitycznej. Brakowało pieniędzy, zwierzaki głodowały.

Wybawieniem dla części z nich stał się program terapeutyczny – zamiast wrogich nurków zaczęły zwalczać chorobliwą nieśmiałość u dzieci. Pozostałe zatrudniono w delfinarium, turystycznej atrakcji Sewastopola, gdzie szkolił je ich były wojskowy trener. Jednak interes nie szedł najlepiej. Delfiny zaczęto wyprzedawać za granicę. Co najmniej cztery trafiły do Zatoki Perskiej – podobno do Iranu. Niewykluczone więc, że także iracka armia szkoli własny oddział podwodnych saperów i zabójców.

ROBERT GONTAREK

ZWIERZĘTA NA WOJNIE

PSY – służyły na wielu frontach. W Wietnamie amerykańskie wojsko używało ich do „wywąchiwania" min.

NIETOPERZE – miały być żywymi zapalnikami. Podczas II wojny światowej amerykańska armia zamierzała użyć ich przeciw Japonii. Tysiące nietoperzy wyposażonych w niewielkie ładunki zapalające miały chować się w domach i wzniecać pożary.

PSZCZOŁY – uczeni z laboratorium Sandia próbują nauczyć je, jak wykrywać miny. Ciała tych owadów pokryte są włoskami, do których mogą się przyczepić drobinki materiałów wybuchowych. Te z kolei wykrywa sprzęt zainstalowany w ulu.

FOT. BE&W

Pandy jedzą ciastka

Pandy wielkie są tak zagrożone wyginięciem, że trzeba je dokarmiać – informuje serwis BBC. Czarno-białym niedźwiadkom nie służy ich tradycyjne menu oparte na pędach bambusa, ponieważ zawiera zbyt mało witamin i mikroelementów. Aby uchronić zwierzaki przed groźnym dla zdrowia niedożywieniem, chińscy badacze dokarmiają je specjalnymi ciasteczkami. Na wolności żyje dziś zaledwie tysiąc pand wielkich, w niewoli zaś nie chcą się rozmnażać, chociaż naukowcy próbowali je zachęcić za pomocą viagry – bezskutecznie.

Piórem i skanerem

W tym roku czeka nas inwazja elektronicznych piór – zapowiada magazyn „Wired". To niewielkie skanery potrafiące wczytać do pamięci rysunki czy odręczne notatki, o ile tylko zostały wykonane na specjalnym papierze. Wkrótce na rynek trafią modele, które będzie można podłączyć do telefonów komórkowych. Zapowiadana jest także specjalna wersja dla lekarzy, ułatwiająca skomputeryzowanie medycznej kartoteki.

Nowa gwiazda z warkoczem

Do Słońca zbliża się odkryta niedawno kometa Kudo-Fujikawa (w katalogach oznaczona symbolem C/2002 X5). Astronomowie twierdzą, że pod koniec stycznia będzie można ją zobaczyć nawet gołym okiem – w naszej części świata tylko bladym świtem. Potem szansę na jej ujrzenie będą mieli mieszkańcy półkuli południowej. Tam może być ona równie widowiskowa jak kometa Halleya (na zdjęciu), która ostatnio odwiedziła nas w roku 1986.

FOT. SPL/EAST NEWS

FOT. MASTERFILE/EAST NEWS

Ziemniaczany śnieg

Niemieccy uczeni z Fraunhofer-Institut für Chemische Technologie w Pfinztal wyprodukowali śnieg z ziemniaków – donosi magazyn „Nature". Syntetyczne płatki nie topnieją w wyższych temperaturach, toteż mogą być stosowane w celach dekoracyjnych na wystawach sklepowych czy podczas kręcenia filmów. Dotychczas stosowany plastikowy śnieg był trudny do uprzątnięcia. Wersja ziemniaczana z łatwością rozpuszcza się w wodzie. Ma tylko jedną wadę. – Nie wygląda realistycznie, gdy leży na ziemi. Jest zbyt lekki, nie utrwalają się w nim odciski stóp – mówi Frithjof Baumann, jeden z autorów wynalazku.

3. KONKURS WPISZ TO SAM

Oto rysunek nr 3.

Tej niepowtarzalnej kreski nie pomylą Państwo z żadną inną. Ale czy są Państwo w stanie wejść w skórę i umysł naszego rysownika i napisać w jego zastępstwie brakujący podpis lub odgadnąć, jaki podpis on sam wymyślił? To będzie czysta przyjemność, w dodatku z nagrodami! Trzy rysunki trzech rysowników zamieszczamy w kolejnych numerach, począwszy od numeru 51/52 (3000/3001).

TRZY NAGRODY GŁÓWNE – OTRZYMAJĄ CZYTELNICY, KTÓRZY WYMYŚLĄ BRAKUJĄCY W RYSUNKU TEKST NAJBLIŻSZY INTENCJI RYSOWNIKA. Każdy ze zwycięzców dostanie oryginał pracy artysty z dedykacją, roczną prenumeratę „Przekroju", a rysunek z jego dopiskiem zostanie opublikowany w „P".

TRZY NAGRODY SPECJALNE – OTRZYMAJĄ AUTORZY NAJDOWCIPNIEJSZYCH TEKSTÓW do poszczególnych rysunków konkursowych. Dostaną oni półroczną prenumeratę „Przekroju", a prace z ich dopiskiem zostaną opublikowane w „P".

NAGRODĘ DODATKOWĄ – miesięczną prenumeratę „Przekroju" – OTRZYMA KAŻDY, KTO NADEŚLE w jednej przesyłce trzy konkursowe RYSUNKI-KUPONY, na których prawidłowo poda nazwiska autorów wszystkich trzech rysunków.

Warunkiem uczestnictwa jest nadesłanie w terminie do 18 stycznia (decyduje data stempla pocztowego) w jednej przesyłce trzech wyciętych z kolejnych „Przekrojów" (3000/3001, 3002, 3003) rysunków będących jednocześnie kuponami konkursowymi z wpisaną propozycją tekstu i odgadniętym imieniem i nazwiskiem autora danego rysunku (oraz podaniem własnych danych teleadresowych) NA ADRES „PRZEKROJU": UL. WIEJSKA 12A, 00-490 WARSZAWA.

W skład Jury wejdą przedstawiciele redakcji oraz rysownicy.
Wyniki w postaci autorskich i zwycięskich wersji rysunków konkursowych oraz oświadczenia jury zostaną opublikowane w numerze szóstym z 9 lutego 2003 r.

Redakcja i jury zastrzegają sobie możliwość innego rozdysponowania nagród w przypadku, gdy propozycje czytelników będą całkowicie rozbieżne z oryginalnymi tekstami autorskimi. W konkursie nie mogą brać udziału pracownicy wydawnictwa Edipresse i ich rodziny. Szczegółowy regulamin jest dostępny w redakcji „P".

kupon-rysunek

Piłkarze Hutnika przegrali z GKS.....
.... Stach (.....).

Moda na latanie

Oto rozwiązanie dla tych, którzy chcieliby poszaleć na śniegu, nie opuszczając rodzimych nizin. *Kite-snowboarding* (w Polsce swojsko zwany kajtem) to połączenie jazdy na desce albo nartach z puszczaniem latawców – z tą różnicą, że latawca nie należy puszczać, tylko trzeba go mocno trzymać. Nadmuchiwane skrzydło przypominające spadochron pociągnie cię nawet po zupełnie płaskim terenie. Do uprawiania kajta niezbędny jest przynajmniej średni wiatr (trzy–cztery stopnie w skali Beauforta). Wynalazek zawdzięczamy badaniom kosmicznym – prototyp współczesnego latawca powstał na potrzeby NASA, aby umożliwić lądowanie załogowych kapsuł rakiet kosmicznych. Latawce mają różne rozmiary, przystosowane do konkretnej siły wiatru. Ceny latawców, w zależności od powierzchni nośnej, zaczynają się od około 2500 złotych.

FOT. MEDIA EAST NEWS

①

❶ Gdy marzną paluszki

Przemoczyłeś buty na spacerze? Do najbliższego kaloryfera daleko, a samochód nagrzewa się powoli? Na szczęście masz w bagażniku buty narciarskie Tecnica z systemem HotForm. Wystarczy podłączyć je do gniazda zapalniczki i za moment w bucie robi się cieplutko. Nie sposób prowadzić w nich auta, ale można przynajmniej ogrzać zgrabiałe dłonie albo rozmrozić bidon z herbatą. Od biedy można w nich oczywiście jeździć na nartach. Specjalny adapter pozwala podłączyć buty także do domowego gniazdka. Cena od około 500 dolarów (2000 złotych).

❷ Na awarie auta

Samochód za długo stał na mrozie i rozładował mu się akumulator? Pechowego kierowcę uratuje przenośna elektrownia Power City. Sprawdzi się także w innych trudnych sytuacjach – ma własny kompresor do pompowania kół, gniazdko 12 V przydatne do ładowania telefonów komórkowych i światło ostrzegawcze. Łatwo mieści się w bagażniku. 120 dolarów (około 480 złotych)

④

②

⑤

FOT. ADAM IWAŃSKI/SE

③

FOT. MARIUSZ JÓZEFOWICZ/REPORTER

❸ Na lawiny

Kiedy podczas zimowej wędrówki porwie cię lawina, wystarczy, że w odpowiedniej chwili pociągniesz za rączkę. Wtedy z plecaka „ABS Lawinen Airbag System" wystrzelą dwie jaskrawopomarańczowe poduchy powietrzne. Możesz być pewien, że nie utoniesz w śniegu, a w schronisku z pewnością zrobisz furorę jako ten, co ledwie uszedł z życiem. W plecaku znajdziesz też lekką, składaną łopatę, sondę lawinową i detektor do namierzania zasypanych ludzi. Koszt pojedynczego zestawu wynosi 4000 złotych.

❹ Na bitwę na śnieżki

Kiedy wymiana śnieżnych kul się zaognia, a rękawiczki dawno już przemokły, z pomocą może przyjść tylko Sno-Baller. Ulepisz nim idealne śnieżki, i to w ekspresowym tempie – w ciągu minuty nawet 60 sztuk. Kule ze Sno-Ballera są całkowicie bezpieczne: nikomu nie podbijesz nimi oka, bo w chwili kontaktu z ciałem wroga rozpadają się w śnieżny puch. 8,95 dolara (około 36 złotych)

❺ Na złamania

Tak się składa, że najlepsze trasy narciarskie są w krajach, gdzie dużą popularnością cieszą się krasnale ogrodowe. Warto więc zabrać na wyprawę narciarską jednego, na wypadek gdyby zdarzyło nam się trafić na oddział złamań miejscowego szpitala. Pani pielęgniarka z pewnością ucieszy się z tak wyszukanego prezentu. Cena około 100 złotych.

❻ Na pogodę

Zapomniałeś obejrzeć prognozę? Zabierz ze sobą kieszonkową Elżbietę Sommer. W zależności od modelu wskaże temperaturę, wilgotność albo siłę wiatru. Ceny urządzeń firmy Kestrel od 79 dolarów (około 320 złotych).

⑥

FOT. SERWISY PRASOWE (4)

GRY I ZAGRANIA LWA RYWINA

Jest na ustach wszystkich, ale mało kto chce o nim publicznie mówić. Kim jest Lew Rywin? Sprawnym biznesmenem, który padł ofiarą spisku jeszcze sprawniejszych biznesmenów, czy graczem, któremu filmowa rola mafiosa zbyt przypadła do gustu?

RYWIN – CO SIĘ STAŁO?

„Gazeta Wyborcza" opisała, jak w lipcu Lew Rywin spotkał się z Adamem Michnikiem, redaktorem naczelnym „GW". Powiedział mu, że jest przedstawicielem premiera Millera oraz „grupy, która trzyma w ręku władzę", i zaproponował pośrednictwo w załatwieniu korzystnych dla Agory zmian w nowelizacji ustawy o radiofonii i telewizji. Za tę przysługę Rywin zażądał od Agory 17,5 miliona dolarów na konto swojej firmy (pieniądze miały być na użytek SLD). Nowelizacja na warunkach Agory pozwalałaby jej kupić telewizję Polsat. Rywin zażądał również dla siebie stanowiska prezesa Polsatu

FOT. CHRIS NIEDENTHAL/FORUM

MAGDA PAPUZIŃSKA, MICHAŁ WÓJCIK

Buldożer – mówi się o nim z podziwem, bo zmierzając do celu, jak pyłki usuwa najtrudniejsze przeszkody. Lokomotywa polskiej kinematografii o „wyglądzie miliona dolarów" – ochrzcił go Marek Kondrat. Jeden z niewielu biznesmenów, o którym się mówi, że potrafi robić interesy od niechcenia. Czy to możliwe, że Lew Rywin wpakował się w pułapkę bez wyjścia?

KRÓL MIDAS

Po publikacji w „Gazecie Wyborczej" zaszył się gdzieś – wedle jednych źródeł na Mazurach, wedle innych za granicą – i odmawia wszelkich komentarzy na temat domniemanej próby wyłudzenia od firmy Agora SA łapówki w wysokości 17,5 miliona dolarów. Czasami odbiera telefon. Ci, którzy z nim rozmawiali, mówią, że jest w zadziwiająco dobrej formie jak na człowieka, który powinien czuć się zaszczuty. Liże rany czy obmyśla strategię? A może rzeczywiście zwariował, jak sugeruje na łamach „Gazety" sam premier Leszek Miller?

Wszak trzeba być wariatem, żeby składać propozycję łapówki Adamowi Michnikowi, który siedząc w więzieniu w roku 1984, pisał książkę „Z dziejów honoru w Polsce". W tym samym roku Lew Rywin rozpoczął pracę w polskiej telewizji, czyli instytucji, o której chwały, ale i kłopotów. (...) Bez mojego podpisu nikt nie mógł wyjechać [w zagraniczną delegację], ponieważ to ja dysponowałem dewizami".

W Poltelu pracował osiem lat. W tym czasie roczne dochody firmy z marnych 240 tysięcy dolarów urosły pod koniec lat 80. do trzech milionów.

Z KOMUNISTAMI NIE ROZMAWIAMY

Stanowisko „ministra spraw zagranicznych" telewizji państwowej oznaczało wyłączność na zagraniczne kontakty. To do niego zgłaszali się zachodni producenci, którzy szukali w naszym kraju odpowiednich plenerów (na przykład Oświęcim), mundurów i statystów. Dla wielu poważnych zagranicznych partnerów był w Polsce jedynym człowiekiem, który znał się na produkcji filmowej.

Jego praca sprowadzała się wówczas do organizowania. Gdy w sklepach można było dostać wyłącznie ocet, jemu udawało się zapewnić zagranicznym ekipom wyżywienie przez kilka tygodni. Dziś z rozrzewnieniem wspomina, że kiedyś załatwiał pozwolenie na kupno krowy, którą osobiście prowadził do rzeźni, a na samym końcu sam wkładał do zamrażarki.

Jego kariera w branży telewizyjnej i filmowej zaczęła się od Polskiej Agencji Interpress. Tutaj do swoich sukcesów zalicza obsługę wizyty papieskiej. Z ekipą amerykańskiej telewizji zjeździł wtedy za Papieżem całą Polskę.

Miller: Rywin bladł, zieleniał, tężał na twarzy. Zapytałem, dlaczego to zrobił, kto mu kazał, kto go inspirował. Wymienił dwa nazwiska: byłego członka KRRiTV Andrzeja Zarębskiego i Roberta Kwiatkowskiego. A potem powiedział: „Co mam zrobić? Mam się zastrzelić?"

(„GAZETA WYBORCZA" Z 27 GRUDNIA 2002 R.)

w owym czasie na murach polskich miast zwolennicy Adama Michnika pisywali: „KłamsTVo", a porządni ludzie o godzinie 19.30, czyli w porze „Dziennika telewizyjnego", wystawiali swoje telewizory za okno.

Rywin nie zajmował się jednak wtedy polityczną propagandą, ale zarabianiem pieniędzy, w czym okazał się zadziwiająco skuteczny. Doszedł do perfekcji w omijaniu bzdurnych przepisów dewizowych, nawiązywał międzynarodowe kontakty, doprowadził do przekształcenia rachitycznego telewizyjnego Biura Handlu Zagranicznego w prężny Poltel, czyli firmę producencką z prawdziwego zdarzenia. W wywiadach z dumą wspomina tamte czasy. Najwyraźniej utożsamiał się ze swoją instytucją: „Stałem się prawdziwym bankiem dla telewizji, co przyniosło mi dużo

Prezesem Interpressu był Mirosław Wojciechowski z Wydziału Zagranicznego KC PZPR, oficer Ludowego Wojska Polskiego, w latach 60. *attaché* wojskowy w Londynie i Waszyngtonie, później w Sztokholmie. Chociaż Rywin nigdy nie wstąpił do PZPR, zdobył uznanie szefa i gdy ten w roku 1983 został prezesem radiokomitetu, zabrał Lwa ze sobą. Z pewnym opóźnieniem co prawda – Rywin się wahał, bo – wspomina – zdawał sobie sprawę, jak złą opinię miała telewizja w okresie stanu wojennego.

Wojciechowski odszedł, zmieniały się czasy i kolejni prezesi, a Rywin jako niezwykle operatywny dyrektor Poltelu przetrwał wszystkich – i Roszkowskiego, i Urbana. Doprowadził do realizacji w Polsce amerykańskiego serialu „Wichry wojny" i jego dalszego ciągu „Wojna i pamięć". W roku 1985 pojechał na targi do Monte Carlo. Wąsaty Francuz ze stoiska Gaumont na jego widok powiedział: „Z komunistami nie rozmawiamy". „Z komunistami może nie, ale ze mną będziecie" – pomyślał Rywin – i poszedł do jego szefa. Dar przekonywania zadziałał. Załatwił, co chciał. Jego operatywności i uporowi Polacy zawdzięczają zachodnie seriale, które ubarwiały szarość lat 80.

PIŃSK – SOPOT – NOWY JORK

Swobodę w kontaktach z zagranicznymi producentami zawdzięcza swej przeszłości. Znajomość języków obcych była w tamtych czasach w naszym kraju równie rzadkim dobrem jak każde inne. Lew Rywin swobodnie posługuje się angielskim i rosyjskim. Nie nauczył się tych języków w polskiej szkole. Urodził się na Syberii i w Związku Radzieckim spędził dzieciństwo.

Dopiero gdy miał 14 lat, w roku 1959, dowiedział się, że jest synem Polaka. Przedtem ani ojciec, ani matka Rosjanka z ostrożności nie opowiadali dzieciom rodzinnych historii. Ojcu – wspominał Rywin – udało się zdobyć zgodę władz na repatriację i poinformował o tym rodzinę dopiero na tydzień przed wyjazdem. Lowka z bólem serca żegnał Pińsk na Białorusi, kolegów pionierów i nauczyciela, który w klasie grzmiał, że jego uczeń zdradza Kraj Rad, a w zaciszu gabinetu, płacząc, radził mu słuchać ojca.

Jechał do Polski z oporami, niechęć jednak szybko minęła. Wprawdzie kazali mu czytać po polsku „Pana Tadeusza", z którego nic nie rozumiał, ale zamiast gliniastego razowca można było kupić biały chleb. Wiele lat później opowiadał „Playboyowi", że przeżył szok tlenowy, zachłystywał się wolnością, zaczytywał „Przekrojem" (!), szalał przy muzyce Czerwono-Czarnych, jeździł autostopem na festiwal do Sopotu.

Po trzech latach ojciec zarządził jednak kolejną przeprowadzkę, tym razem do Ameryki, gdzie mieszkała ciotka Rywina. Lew ukończył w Stanach szkołę średnią, zrobił maturę i wrócił do Polski na studia lingwistyczne.

Doskonała znajomość języków przydaje się nie tylko w rozmowach z zagranicznymi producentami. Gdy reżyser Wojciech Wójcik zaproponował mu zagranie mafijnego biznesmena zza Buga w serialu „Ekstradycja", Rywin wahał się, czy przyjmując rolę, nie naraz na szwank swej reputacji. Podjął decyzję, gdy usłyszał rosyjski żargon, jakiego używali aktorzy na planie. Zdumiony znajomością nawet starych idiomów i przekleństw przyznał ze znawstwem ekipie: – Jesteście fachowcami.

WYDŁUŻAŁ SIĘ DO GÓRY

Nigdy nie był pracoholikiem. Przeciwnie, wielu jego przyjaciół przyznaje, że kocha dobrą zabawę i ma nieprzeciętny dar robienia interesów od niechcenia. Zawdzięcza to tenisowi, mocnej głowie i zamiłowaniu do hazardu.

Na przełomie lat 70. i 80. grywał z przyjaciółmi na kortach klubu Elektryczność w Warszawie. Gdy grupa tenisistów okrzepła, regularnie z rakietą w ręku stawało na korcie

Lew Rywin... i Sławomir Zieliński, szef telewizyjnej „Jedynki", Robert Kwiatkowski, prezes TVP, oraz Paweł Deląg, aktor (rok 2001)

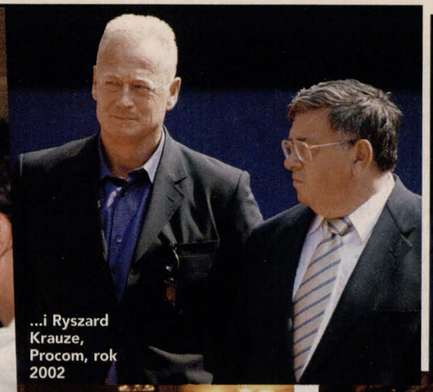
...i Ryszard Krauze, Procom, rok 2002

...i Andrzej Kondratiuk, reżyser, rok 2002

...i żona Elżbieta (rok 2002)

...i Jarosław Pachowski, szef Plus GSM, oraz Jerzy Jednorowski, prezes Syrena Entertainment Group (rok 2002)

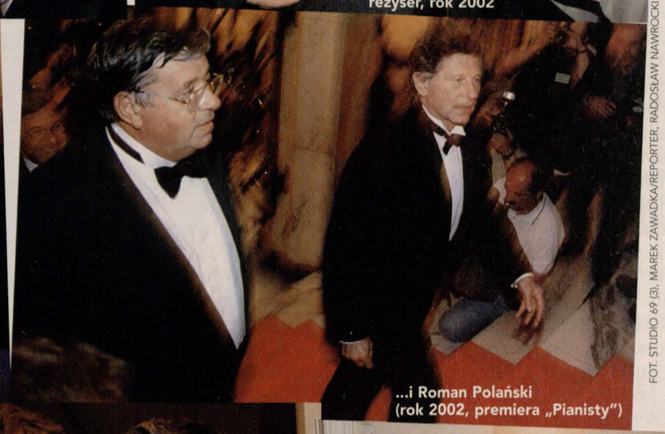
...i Roman Polański (rok 2002, premiera „Pianisty")

...i Jolanta Kwaśniewska (rok 2000)

...i Aleksander Kwaśniewski (rok 1999)

...i Mariusz Walter, współwłaściciel TVN (rok 2001)

FOT. STUDIO 69 (3), MAREK ZAWADKA/REPORTER, RADOSŁAW NAWROCKI (2), ADAM HESTOWSKI, ŁUKASZ GŁOWALA, R. JAKUBOWSKI/FORUM

16 zawodników. Grano tylko w debla i po 15 minut. Do tych turniejów dość szybko przylgnęła nazwa: „Biedni i bogaci". Jak wspomina Zdzisław Ambroziak, znany komentator sportowy, ówcześni „biedni", czyli gorzej sytuowani przyjaciele, zazwyczaj grali dobrze, „bogaci" zaś słabiej. Rywin, który zawsze należał do grupy bogatych, grał tak, jak pozwalały mu warunki fizyczne i usposobienie.

– Charakterystyczny styl „Grubego" poznać można było już podczas serwowania. W dość śmieszny sposób podnosił wtedy prawą nogę. Oczywiście było to niezgodne z gramatyką tenisa, ale bardzo skuteczne. Dzięki temu jego potężne ciało nabierało sprężystości i wydłużało się do góry. Mimo swej postury serwował jak rasowy zawodnik – nadawał piłce piorunującą prędkość, co wprawiało rywali w konsternację.

Z tamtego okresu Ambroziak pamięta jeszcze jedną charakterystyczną rzecz. Turnieje „biedni i bogaci" były okazją do dobrej zabawy. Z okolicznych restauracji sprowadzano trunki, smakołyki i odbywał się regularny piknik. Chwilowa przerwa w grze stanowiła doskonałą okazję do paru głębszych. Po kilku przedłużających się pauzach wielu zawodników miało kłopoty z koncentracją, nie mówiąc już o koordynacji ruchowej. Na Rywina jednak można było liczyć. Zawsze był gotowy do gry, chociaż w czasie przerw dzielnie stawał przy barku. – Po prostu ma łeb jak sklep nie tylko do interesów, ale i do napojów wysokoprocentowych – dodaje Ambroziak. Koledzy z kortu spotykali się również przy karcianym stoliku. O wysokości stawek krążą legendy.

Niestety, zdarzały się też spotkania w smutnych okolicznościach. Po pogrzebie Krzysztofa Chamca – jednego ze stałych bywalców turniejów – Rywin zgarnął wszystkich tenisistów do baru naprzeciwko cmentarza, postawił śledzia, szynkę z jajeczkiem i trzy butelki czystej wódki. – Krzysiu byłby szczęśliwy – powiedział.

W roku 2001 Rywin został prezesem Polskiego Związku Tenisowego i tłumaczył niecierpliwym dziennikarzom, że za wcześnie go pytają o pomysły na działalność Związku.

– Na razie jestem w trakcie realizacji „Pianisty" – mówił. – Tenisem zajmę się później.

Zdaniem Zdzisława Ambroziaka rzeczywiście się zajął: – Nie jest prezesem malowanym. Zrobił dla Związku wiele dobrego.

BANIOCHA PROWANSJĄ

Upadek PRL-u w roku 1989 nie połamał mu skrzydeł – przeciwnie. Nowa władza mianowała prezesem TV Andrzeja Drawicza, który od razu zaproponował Rywinowi stanowisko zastępcy. Docenił fachowość, menedżerski styl zarządzania i był przeciwnikiem gwałtownych czystek. Dopiero kolejna ekipa, z nadania premiera Jana Krzysztofa Bieleckiego, wymiotła z telewizji starych komuchów, a przy okazji Drawicza i dobrych fachowców.

W ciągu pół godziny Lew Rywin musiał opróżnić swoje biurko i opuścić gmach przy Woronicza. Ta zadra do dzisiaj tkwi mu za skórą, chociaż niekiedy przyznaje, że dobrze na tym wyszedł.

W roku 1991 powołał do życia Heritage Films – firmę producencką, która w ciągu 11 lat istnienia wyprodukowała lub współprodukowała kilkadziesiąt filmów, w tym oscarową „Listę Schindlera" Spielberga, „Pana Tadeusza" Wajdy i „Pianistę" Polańskiego. Na każdy projekt, który mu się spodobał, potrafił zdobyć pieniądze, czym ratował z opresji zagubionych w nowej rzeczywistości polskich reżyserów. Zagraniczni zaś wiedzieli, do kogo mogą się w Polsce zgłaszać, jeśli mają ochotę tutaj realizować swoje filmy.

A nawet jeśli nie wiedzieli, że mają na to ochotę, Rywin potrafił otworzyć im oczy.

Tak było z francuskim producentem Reymondem Blumentalem, który zamierzał zrobić film o obozie dla internowanych w roku 1940 w Prowansji Austriaków, Polaków, Czechów i Bułgarów. Rywin spotkał Blumentala w Cannes, gdy ten się zastanawiał, gdzie by tu nakręcić sceny z cegielnią w tle. Niespodziewanie polski Lew roztoczył przed Francuzem wizję Polski jako kraju pełnego zabytkowych cegielni. W rezultacie w sierpniu 1994 roku w Baniosze pod Warszawą rozpoczęły się zdjęcia do „Les Milles". – We Francji już nie ma miejsc, które by przypominały Prowansję z lat 40. – tłumaczył Rywin.

Uznanie branży filmowej od Łodzi po Hollywood owocowało. Odkąd w roku 1997 objął prezesurę Canal Plus, polskiej odnogi francuskiej płatnej telewizji, stał się niemal wszechwładnym królem naszej kinematografii. W co drugim polskim filmie – gdy pojawiały się napisy – uważny widz mógł dojrzeć wielkie litery Canal Plus. Czasami były nawet większe od tych w nazwie głównego producenta – Telewizji Polskiej. Produkcję około połowy tych filmów Lew Rywin, szef Canal Plus, zlecał firmie Heritage Films należącej do Lwa Rywina.

Willa Lwa Rywina w podwarszawskim Konstancinie. Zawistnicy wyliczają: okna za „Pana Tadeusza", dach za „Pianistę"...

FOT. BOGDAN KRZEŻEL

DŻENTELMEN WŚRÓD PLOTEK

Miesięcznik „Gentleman" należący do wydawnictwa Piotra Bachurskiego przyznał Lwu Rywinowi tytuł Gentlemana Roku 2001. Według miesięcznika laureat zasłużył na to „swoją postawą w życiu zawodowym i prywatnym". Dzięki Rywinowi „Polska została zauważona i doceniona przez Zachód jako kraj, z którym warto realizować projekty filmowe". Po wręczeniu nagród „panowie mieli okazję zapalić wspaniałe cygara", które sprowadza do Polski firma związana z Piotrem Bachurskim.

– To śmieszne – mówi jeden z byłych współpracowników Rywina. – W nim nie ma nic z dżentelmena. Jest niesłychanie bezwzględnym człowiekiem. Główną jego zaletą jest to, że potrafi zgromadzić fundusze na produkcję filmu. Ale nie robi tego bynajmniej z pobudek artystycznych. Bardzo zależy mu na pieniądzach, a budżety filmów produkowanych przez Heritage należą do bardzo wysokich.

Już wcześniej zresztą, przy produkcji „Listy Schindlera", krążyły pogłoski o konflikcie między Rywinem a Spielbergiem na temat pieniędzy. Sprawa stanęła ponoć na ostrzu noża, ale spór udało się załagodzić. Rywin powtarzał później w wywiadach, że to wyssane z palca plotki. Rozstali się w przyjaźni, a na oscarową galę Spielberg przysłał po niego prywatny samolot. Mało tego, obiecał Rywinowi, że jeśli kiedyś nie będzie mógł zdobyć pieniędzy na film swoich marzeń, to on, Spielberg, mu w tym pomoże. Po realizacji „Pianisty" pojawiły się podobne opowieści: że zagraniczni współproducenci są wściekli na Rywina, bo nie mogą pojąć niektórych kosztów.

Znajomy Rywina – pragnący zachować anonimowość – mówi, że rozmowa o pieniądzach opublikowana w „Gazecie Wyborczej" jest dokładnie w jego stylu: – Lew często powołuje się na polityczne koneksje i zachowuje tak, jakby znał wszystkich. Ludzie boją się mówić prawdę o Rywinie, bo to jest silny człowiek. Nietykalny. Chwali się, że ma dobre układy z prezydentem.

O relacjach między Rywinem a prezydentem wiadomo niewiele. Panowie mają z pewnością podobne poglądy na tenis. Gdy w roku 2001 prezydent Aleksander Kwaśniewski zlecił wybudowanie kortu w ogrodach Belwederu w Warszawie, larum podnieśli miłośnicy zabytków i urząd konserwatora. – Korty powinny powstać w każdym parku i przy każdej ambasadzie – powiedział wówczas Rywin, a indagowany przez dziennikarza „Gazety Stołecznej" dodał stanowczo: – Dla mnie urząd konserwatora nadaje się do zniesienia.

JAK TEŚCIOWA

Lew Rywin dwukrotnie odrzucał propozycje pracy w Hollywood. Powtarzał, że woli być „pierwszy na wsi niż drugi w mieście", a „Hollywood w gruncie rzeczy nie znosi intruzów z zewnątrz". W Polsce, dodawał, „nie muszę wchodzić w żadne układy. Spotykam się, z kim chcę. Takiej pozycji tam nigdy bym nie osiągnął".

W połowie lat 90. w Polsce niemal jednocześnie zaczęły działać dwie platformy cyfrowe – Cyfra Plus oraz Wizja TV. Rywin od początku powtarzał, że na tak małym rynku nie ma miejsca na dwie konkurujące płatne telewizje cyfrowe i że firmy powinny się połączyć. Jednak wkrótce Zygmunt Solorz, właściciel Polsatu, ogłosił plany uruchomienia własnej, czyli trzeciej, platformy cyfrowej.

Rywin chciał doprowadzić trzy strony do kompromisowej ugody, ale tym razem jego próby spaliły na panewce. Solorz, jak głosi plotka, zakończył rozmowy trzaśnięciem drzwiami. Dwie pozostałe firmy – Wizja i Cyfra – rzeczywiście się połączyły, ale Lew Rywin nie brał już w tym udziału.

FOT. DAMIAN RUCIŃSKI/REPORTER

Michnik: Jaka suma wchodziłaby w grę?

Rywin: Ich rozumowanie jest następujące: wartość Polsatu jest 350 (milionów dolarów) i oni chcą 5 proc. od tego.

Michnik: 5 proc. od 350 to jest 10.

Rywin: Nie. 3,5 razy 5 to 17,5. Ja myślę, że jestem w stanie to troszkę w dół, że to z ich strony troszkę przesada

(„GAZETA WYBORCZA" Z 27 GRUDNIA 2002 R.)

Stanowisko prezesa zarządu Canal Plus stracił we wrześniu 2000 roku. Został wprawdzie szefem rady nadzorczej, ale oznaczało to niewątpliwą degradację i odsunięcie od podejmowania decyzji. Władzę wykonawczą w firmie przejęli Francuzi (Canal Plus Group), posiadacze 49 procent udziałów w Telewizyjnej Korporacji Partycypacyjnej, czyli holdingu, do którego należy Canal Plus Polska. Drugim udziałowcem jest Polska Telewizja Cyfrowa Wizja TV SA (25 procent). Trzecim (26 procent) – spółka PolCom Invest należąca do Lwa Rywina.

Francuzi już więcej nie eksperymentowali z Polakami i stanowisko prezesa zarządu powierzali swoim rodakom. Kilka miesięcy temu z okazji wymiany kolejnych szefów pracownicy firmy brali udział w pożegnalno-powitalnej uroczystości.

– Impreza była nudna i żenująca – wspomina jedna z pracownic. – Francuzi zaprosili Rywina z obowiązku, ale w którymś momencie zaległa cisza i z braku lepszego pomysłu poprosili go o kilka słów. Były szef, mając świadomość, że nie jest tu najmilej widziany, palnął: „Z moją obecnością jest jak z teściową, którą się zaprasza w nadziei, że przyniesie jakieś ciasto".

PO ARTYKULE „GAZETY WYBORCZEJ"

Canal Plus Polska odmawia wszelkich komentarzy na temat łapówkowej propozycji Lwa Rywina nagranej na japońskim magnetofonie przez Adama Michnika. – Nasza firma nie ma z tą sprawą nic wspólnego – oświadcza kategorycznie rzecznik prasowy Canal Plus Paulina Krasińska.

Andrzej Wajda, reżyser najczęściej chyba współpracujący z Rywinem, również nie chciał nic powiedzieć. Robert Gliński, twórca dwóch filmów wyprodukowanych przez Heritage, nie ma oporów: – Jest świetnym producentem, gwarantuje luksus każdemu reżyserowi. Naszą zmorą jest ciągły brak pieniędzy, dni zdjęciowych i taśmy. On zapewnia taki komfort psychiczny, pewność, że wszystko będzie na czas. Fotografuje się z cygarem w ustach na potrzeby mediów. Tymczasem naprawdę jest inny. Skromny. W jego życiu było wiele chudych lat. Do wszystkiego doszedł sam. Gdy mówię: Rywin, myślę – spokój, otwartość, zaufanie.

Wtóruje mu Wojciech Wójcik: – O Rywinie mogę mówić tylko dobrze. Jako aktor w „Ekstradycji" nie tylko grał, ale dawał przykład ekipie: nigdy nie spóźnił się na plan, nie zawalił zdjęć, lojalnie uprzedzał, że ma tyle i tyle czasu.

Zdzisław Ambroziak dodaje: – Prędzej bym się spodziewał, że sufit mi spadnie na głowę, niż że Rywin złoży taką propozycję Michnikowi.

MAGDA PAPUZIŃSKA,
MICHAŁ WÓJCIK

ŚMIERĆ GLOBALNEGO PUNKA

Paweł Dunin-Wąsowicz

Zespół The Clash, legenda brytyjskiego punk rocka, trafił do Rockandrollowego Salonu Sławy. Z tej okazji w styczniu miał się odbyć w Nowym Jorku jego pierwszy po 20 latach koncert. Ale czy się odbędzie? Trudno grać bez lidera – właśnie umarł Joe Strummer

Zamiast o miłości woleli śpiewać o środkach antykoncepcyjnych – The Clash w roku 1977, od lewej: Strummer, Jones, Simonon

FOT. FREE

FOT. ISABEL SNYDER/CORBIS OUTLINE/FREE

Joe Strummer w Kalifornii – w latach 90. mieszkał w Los Angeles, potem wrócił do Anglii

Żona znalazła Strummera dwa dni przed Wigilią w ich domu w Somerset pod Londynem, gdy umierał na atak serca po powrocie z wieczornego spaceru z psem. Następnego dnia Bono z U2 zszokowany śmiercią Joego Strummera nazwał The Clash „największym zespołem rockowym". Czy wokalista The Clash wywróżył sobie swój los już w piosence-manifeście „1977"?

W siedemdziesiątym siódmym
świat będzie bardziej brudny
zasiłku i roboty mam dość
już chcę do nieba pójść (...)
precz z Elvisem, The Beatles i Rolling Stones
w siedemdziesiątym siódmym

Kiedy „największy zespół rockowy" powstawał, recenzenci brytyjskiej prasy muzycznej odsyłali go za fałsze i jedynie trzyakordowe kompozycje z powrotem do garażu. Niezrażony Strummer nagrał więc hymn „Garageland" o tym, jak siedzi w garażu z wykrywaczem głupoty i woli spędzić w nim całe życie, niż wbijać się – jak inne kapele – w garnitur dla świateł rampy. Ciekawe, czy niebo objawiło się dla Joego Strummera właśnie w postaci garażu.

BUNTOWNIK BEZ POWODU

10 czerwca 1977 r. – Joe Strummer i perkusista Nick „Topper" Headon ukarani pięciofuntową grzywną za malowanie napisu „The Clash" na londyńskim murze. Noc z 11 na 12 czerwca spędzają w areszcie w Newcastle zatrzymani za niestawienie się przed sądem w sprawie kradzieży pościeli w hotelu Holiday Inn. Grzywna 100 funtów. 30 marca 1978 – Headon i basista Paul Simonon aresztowani w Londynie za strzelanie do gołębi z wiatrówek. Do ściągnięcia ich z dachu studia zawezwano cztery radiowozy i helikopter. Grzywny w sumie 800 funtów. 8 lipca 1978 – Strummer i Simonon aresztowani w Glasgow za rozróby po pijanemu po koncercie w Apollo Theatre – grzywny 25 i 50 funtów. 21 maja 1980 Strummer aresztowany po koncercie w Hamburgu za uderzenie gitarą w głowę agresywnego widza, zwolniony po teście na trzeźwość. 24 maja 1982 Strummer wraca do zespołu po tajemniczej miesięcznej nieobecności, usprawiedliwia się, że musiał pojechać do Paryża, gdzie ponoć zamknięto w areszcie matkę jego dziewczyny.

Cudze piosenki (skądinąd głównie czarnych artystów), jakie The Clash włączali do swojego repertuaru, traktowały najczęściej właśnie o kryminalnych opresjach: „I Fought The Law" to zwierzenia skazańca-mordercy rąbiącego głazy w kamieniołomie (z refrenem: „walczyłem z prawem i ono wygrało"), „Police On My Back" jest prośbą ściganego o udzielenie mu schronienia, „Police And Thieves" stawia znak równości między policją a złodziejami. Sam Strummer chętnie kreował się na lumpenproletariusza jak chociażby we własnej piosence „Bankrobber":

Tata nieraz bank robił
lubił bardzo taką pracę
i nie dawał przy tym w ryj
lubił tylko waszą kasę

Ale śpiewający te słowa był synem nie złodzieja-kasiarza, lecz brytyjskiego dyplomaty. Urodzony jako John Mellor na placówce w Ankarze, wykształcony w prywatnej szkole, przyszły Joe Strummer nie poszedł ani na studia, ani do pracy, zaczął natomiast śpiewać w pubowym zespole The 101-ers. Kiedy o trzy lata młodsi muzycy London SS – Paul Simonon i Mick Jones – zwerbowali go do swojego nowego zespołu The Clash, trwała punkowa rewolucja negująca wszystko, co dawne. 24-letni Joe Strummer wydawał się na udział w rewolucji... za stary i podawał się również za 21-latka.

Podczas sesji nagraniowej do pierwszego albumu The Clash gitara Strummera brzmiała tak źle, że wszystkie ścieżki gitarowe nagrał właśnie Jones, główny kompozytor i drugi wokalista. Ale to teksty, które w większości pisał właśnie Strummer, i jego łamiący się głos – jakby po 40 papierosach dziennie – stały się znakiem rozpoznawczym kapeli.

WOJNA I NIENAWIŚĆ

Rozczarowanie hipisowskimi ideałami, recesja i bezrobocie zaowocowały w połowie lat 70. nową modą na muzykę brutalnie prostą. Nie „love and peace", lecz „hate and war" deklarował Strummer na pierwszej płycie The Clash. Zamiast abstrakcją miłości ich piosenki operowały realizmem: Joe śpiewał o środkach antykoncepcyjnych („Protex Blue", „Lovers Rock"). Sex Pistols pozostawili po sobie manifesty skierowane przeciw autorytetom jak szydercza wersja „God Save The Queen", ale to właśnie The Clash najgłębiej wyrazili frustracje rówieśników, znaleźli język na opisanie otaczającego ich świata.

Po ponad 20 latach obserwacje The Clash stają się aktualne i w Polsce. W „Career Opportunities" Strummer śpiewał: „Każda praca, jaką dają, niżej psa stawia mnie", i przedstawiał, co to za prace: parzenie herbaty w radiu BBC, praca w policji, otwieranie (wybuchających) przesyłek w biurze. W „Capital Radio" opowiadał o komercyjnej rozgłośni, w której panuje zakaz grania rock and rolla. To także Strummer napisał śpiewaną przez Jonesa piosenkę o wyobcowaniu w cywilizacji konsumpcyjnej:

Jaki wielki ten supermarket
Nie mogę wpaść w zakupów szał
A przecież jest oferta specjalna
Osobowość z gwarancją bym kupić chciał
Raczej wypadłem niż się urodziłem
Chyba nikt nie zauważa mnie (...)
Zbieram kupony z opakowań herbaty
Oglądam wszystkie programy w TV
Mam płytę z wielkimi hitami dyskotek
Opróżniam flaszkę i lepiej się mam

Choć kpili z reklamy, największym hitem okazała się piosenka wylansowana w reklamówce dżinsów

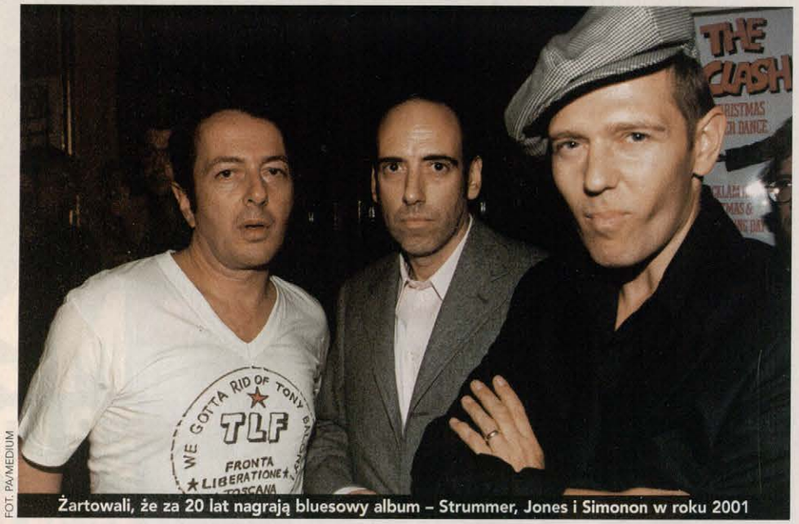

FOT. PA/MEDIUM

Żartowali, że za 20 lat nagrają bluesowy album – Strummer, Jones i Simonon w roku 2001

Utwór ten, zatytułowany „Lost In The Supermarket", znalazł się na wydanym pod koniec roku 1979 albumie „London Calling", który współcześnie zaliczany jest do rockowych arcydzieł (jego okładka to pastisz debiutanckiej płyty Presleya). Punk rock ustąpił miejsca rytmom ska, reggae, rocksteady i rockabilly (The Clash chętnie pracowali z czarnymi muzykami i producentami jak na przykład Lee „Scratch" Perry). A na płycie „Combat Rock" pojawił się gościnnie słynny amerykański poeta Allen Ginsberg.

Strummer już za czasów The Clash lubił kreować się nie tylko na ulicznika, ale także na rewolucjonistę. Stylizacja na partyzantów Che Guevary czy tytuł płyty „Sandinista!", jednoznacznie oddający hołd lewackiej partyzantce w Nikaragui, mówią same za siebie. Nie był jednak na tyle radykalny, by jak lider Tom Robinson Band wyemigrować na jakiś czas z konserwatywnej Anglii do... NRD.

Ale poglądy Strummera przekładały się także na gesty wobec fanów. Zespół wymusił na wydawcy, aby dwupłytowy „London Calling" sprzedawany był w cenie pojedynczej płyty, zaś następny trzypłytowy album „Sandinista!" w cenie podwójnego. Wytwórnia zgodziła się na to pod warunkiem rezygnacji The Clash z honorariów z pierwszych 200 tysięcy egzemplarzy.

PRZEBÓJ WBREW WOLI

Najpierw w roku 1982 z zespołu wyrzucono uzależnionego od heroiny perkusistę Headona (wyleczył go dopiero pobyt w prawdziwym więzieniu, dokąd trafił w roku 1987 za podanie narkotyku komuś, kto umarł z przedawkowania). Rok później Strummer i Simonon usunęli piszącego chętniej miłosne niż rewolucyjne piosenki Jonesa za „oddalenie się od pierwotnej idei zespołu". Zespół nagrał jeszcze jeden album z nowymi muzykami, ale z początkiem roku 1986 The Clash zniknął ze sceny.

Strummer poświęcił się wtedy filmowi. Jako aktor zagrał kilkakrotnie u Aleksa Coksa i Jima Jarmuscha (między innymi w „Mystery Train"). Nagrał także wiele płyt z muzyką filmową. Szybko pogodził się z Jonesem – pracował jako producent nad albumami jego nowej grupy Big Audio Dynamite.

Paradoksalnie dopiero pięć lat po ostatecznym rozwiązaniu największa grupa rockowa miała swój pierwszy „numer jeden" na brytyjskiej liście przebojów. I to w jakże przewrotnych okolicznościach, wbrew woli jego twórców, niegdyś w piosence „Koka Kola" wykpiwających świat reklamy. Oto w roku 1991 Levi's kupił od wytwórni Columbia prawa do wykorzystania piosenki Jonesa „Should I Stay Or Should I Go" w reklamówce dżinsów. Nadawana w MTV sprowokowała do reedycji singla.

Ale Strummer, zamiast reaktywować z Jonesem The Clash i dobrze się sprzedać, wolał przyłączyć się na parę miesięcy do folkpunkowego irlandzkiego zespołu The Pogues w zastępstwie wyrzuconego za pijaństwa wokalisty Shane'a MacGowana. I w odróżnieniu od Sex Pistols, którzy niebawem za siedmiocyfrowe sumy zrobili z siebie znów błaznów, The Clash nadal odmawiali.

– Może, kiedy za jakieś 20 lat gorączka opadnie, zbierzemy się razem i nagramy bluesowy album albo coś innego. Zabawnie byłoby pojechać w trasę koncertową w wieku 78 lat – ale to właśnie punkrockowy pomysł! – ogłosił dwa lata temu Strummer w amerykańskim piśmie „Billboard".

GASTRONOMICZNA MIĘDZYNARODÓWKA

Trzy lata temu Joe Strummer powrócił na scenę z nowym zespołem – The Mescaleros. Nagrywał i koncertował – ostatni raz 22 listopada w Liverpoolu. Pytany, czy na koncerty przychodzą jedynie stare punki z siwymi irokezami, zaprzeczał.

Druga płyta z Mescaleros – wydana półtora roku temu – zatytułowana została „Global A Go-Go". Już w późnych nagraniach z The Clash chętnie wplatał jamajskie i latynoskie motywy, także hiszpańskie teksty. Tu pomieszana została muzyka z całego świata – od irlandzkiego folku po latynoamerykańskie i arabskie motywy. Także w tekstach płyta była peanem na rzecz wielokulturowości. W piosence „Bhindi Bhagee" wysławiał gastronomiczną międzynarodówkę, jaką jawi się Londyn, w „Shaktar Donetsk" opowiadał o imigrancie w szaliku ukraińskiego klubu. Cały czas śpiewał o zwykłych ludziach. „Gwiazdy przychodzą, gwiazdy odchodzą – i właśnie o tym traktuje punk rock" – deklarował w „Cool'N'Out", której drugą zwrotkę rozpoczynał wizją rozróby przeciw autorytetom: wrzucania LSD do drinków na spotkaniu G7 – przywódców najbogatszych państw. W biblijnej stylizacji otwierającej płytę „Johnny Appleseed" jeszcze raz napominał możnych: „Jeśli wybierasz miód, nie będziesz zabijał pszczół".

Wreszcie w tytułowej piosence albumu wyliczał: „Quadrophenia" w Armenii, Buddy Rich w Burundi, The Stooges ponad Hawaną, dobry hip hop w Islamabadzie. „I jeśli rakieta poleci na Saturna, to z pewnością z didżejem na pokładzie" – śpiewał. Strummer sam prowadził audycje w BBC World Service, ciesząc się wybraną przez siebie muzyką. Bo to nie było radio, gdzie miałby zatrudnić się jako ktoś od parzenia herbaty (jak to z „Career Opportunities"), i nie było to radio, w którym zakazywano rock and rolla (jak to z „Capital Radio").

Wiadomość o jego śmierci zakończy tę opowieść o globalnej wiosce: pojawiła się najpierw w amerykańskim Internecie – ktoś z sąsiadów Strummera zadzwonił do znajomych w Stanach. Brytyjscy internauci próbowali ją potwierdzić w lokalnych sieciach, ale w niedzielę 22 grudnia w nocy nikt nie aktualizował serwisów, więc uznali, że to plotka.

PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ

Fragmenty tekstów piosenek Strummera spolszczył Filip Łobodziński

świecą lub spadają

ŚWIECI

FOT. BOGDAN KRĘŻEL

Joanna Rajkowska
SADZI PALMY

W ramach akcji „Satysfakcja gwarantowana" absolwentka krakowskiej ASP wyprodukowała przed dwoma laty serię puszek z napojami na bazie swojego ciała. Rok później pod hasłem „Dziennik snów" zorganizowała wielkie spanie na podłodze jednej z warszawskich galerii. Teraz dzięki 34-letniej artystce stolica może się poszczycić własną palmą. Fakt, że plastikową, ale to chyba lepiej, bo przynajmniej drzewo nie zmarznie.

15-metrowa palma przyleciała z Ameryki i stanęła na środku ronda de Gaulle'a – skrzyżowania Nowego Światu z Alejami Jerozolimskimi. Wybór miejsca nie jest przypadkowy. Projekt artystyczny nazywa się „Pozdrowienia z Alej Jerozolimskich" i przybliża Polakom widoki, jakie autorka obserwowała na co dzień podczas podróży po Izraelu. Ponieważ nazwa tropikalnego drzewa ma w języku polskim drugie, przenośne, znaczenie, akcja wywołała lawinę prasowych komentarzy na temat odbijania palmy. Wielu mieszkańców i przybyszy drzewo wprawia w osłupienie. Jest także frakcja zachwyconych. Szczególnie w ostatnie mroźne dni widok przysypanego śniegiem zielonego pióropusza działa rozgrzewająco.

ŚWIECI

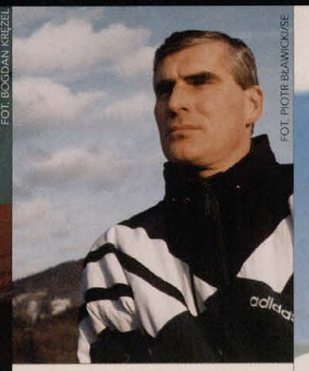

FOT. PIOTR BĄKOWICZ/SE

Paweł Janas
KARUZELA TRENERÓW

Nowy trener polskiej reprezentacji piłkarskiej ma 49 lat i na koncie 53 mecze rozegrane w barwach narodowych. Jako piłkarz nie odniósł znaczących sukcesów strzeleckich: zdobył tylko dwie bramki, z czego jedną samobójczą – był bowiem obrońcą, zresztą jednym z najlepszych, i to nie tylko w Polsce. Jego klasę docenił francuski klub Auxerre, oferując mu kontrakt po mistrzostwach świata w Hiszpanii. W roku 1986 Polak otrzymał tytuł najlepiej grającego obcokrajowca w lidze francuskiej.

Paweł Janas ma już pewne doświadczenie trenerskie. W roku 1994 i 1995 warszawska Legia pod jego ręką zdobyła mistrzostwo i Puchar Polski. Gorzej spisywał się jako trener kadry olimpijskiej – nasi piłkarze pod jego wodzą odpadli w eliminacjach do igrzysk w Sydney. Mamy nadzieję, że na stanowisku selekcjonera reprezentacji poradzi sobie lepiej od poprzednika. Pewien niepokój budzi to, że jako zawodnik kadry narodowej Janas debiutował w roku 1976 w Chorzowie, w tym samym meczu co... Zbigniew Boniek (przegranym 1:2 z Argentyną).

ŚWIECI

FOT. SEBASTIAN

Anna Seniuk
KRASIŃSKI SYMFONICZNIE

Magda z seriali „Czarne chmury" i „Czterdziestolatek" ostatnio rzadziej pojawia się na ekranie. Ale myli się ten, kto sądzi, że przeszła na artystyczną emeryturę. Z dala od telewizyjnego zgiełku Anna Seniuk wyreżyserowała kolejny spektakl radiowy. Tym razem w Studiu Koncertowym Polskiego Radia wystawiła „Nie-Boską Symfonię", której scenariusz napisała, opierając się na „Nie-Boskiej komedii" Zygmunta Krasińskiego. Spektakl był emitowany na żywo na falach Radia Bis. Seniuk zadbała o dobrą obsadę – wystąpili między innymi Ignacy Gogolewski i Michał Żebrowski. Przedstawienie zbiera pochlebne recenzje, a publiczność w radiowym studiu nagrodziła je owacją na stojąco.

Aktorki nie skusiła jak dotąd żadna propozycja roli w telenoweli ani reklamie. Seniuk wie, jak trudno później się rozstać z ekranowym *alter ego* – do dziś przecież wszyscy kojarzą ją z Madzią Karwowską. Spokojnie robi swoje, za co otrzymała już między innymi Wielki Splendor – nagrodę Teatru Polskiego Radia – oraz Złoty Mikrofon 2000 za radiową reżyserię „Balladyny" i „Pchły Szachrajki".

SPADA

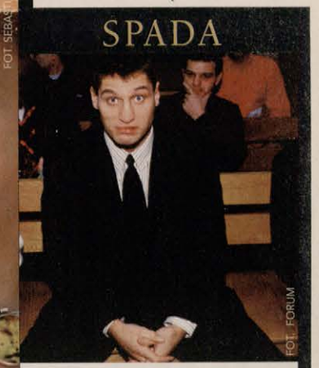

FOT. FORUM

Andrzej Gołota
KARZĄCA PIĘŚĆ

Krewki temperament tyleż popularnego, ile nerwowego boksera znowu zaprowadził go na salę sądową. Prokuratura zakończyła śledztwo w sprawie incydentu, do którego doszło kilka tygodni temu w jednym z sopockich hoteli, i skierowała do sądu akt oskarżenia przeciw Andrzejowi Gołocie. Pięściarz jest oskarżony o pobicie Jarosława T., producenta reklam z Warszawy. U ofiary stwierdzono wstrząśnienie pnia mózgu po tym, jak Gołota „kilkakrotnie uderzył go pięściami w głowę oraz kopnął". Bokserowi grozi od trzech miesięcy do pięciu lat więzienia.

Gołota stanie przed sądem nie po raz pierwszy. Ma już na koncie wyrok dwóch lat więzienia w zawieszeniu za rozbój. Kłopotów szuka nie tylko w Polsce – w grudniu zeszłego roku list gończy za nim wystawił jeden z sędziów stanu Illinois, gdzie Gołota po raz drugi nie zgłosił się na rozprawę. Jest tam oskarżony o podawanie się za policjanta. Zatrzymany przez funkcjonariuszy drogówki za zignorowanie znaku stopu bokser pokazał policyjną odznakę, którą dostał w prezencie za działalność charytatywną w New Jersey.

Marc Epstein i Ałła Szewielkina

PIOTROWE DZIECI

Jubileuszowo odświeżone miasto będzie zachwycało turystów i napawało dumą mieszkańców. Ale czy piękne fasady ukryją wszechwładzę i wszechobecność przestępczego świata? Przedstawiamy dwa oblicza dzisiejszego Petersburga

Za Newą najstarsza budowla Petersburga – forteca św. Piotra i Pawła z roku 1703

Trotuar przed dyskoteką przy Bolszom Prospekcie tańczy w tę mroźną noc jak pokład statku miotanego burzą. Przy krawężniku zatrzymuje się samochód. Szybko ustalamy cenę. Szofer, pędząc na łeb na szyję, pokazuje palcem na zegarek i mówi z paniką w głosie: „Mosty! Godzina mostów!". Co noc od 2.30 do 5 nad ranem zwodzone mosty na Newie podnoszą się, by przepuścić statki. Nie można wtedy przejechać samochodem na drugą stronę rzeki. Za późno... Policjanci już bronią wstępu na most Pałacowy. Spóźnialscy trąbią ze złości. Jakiś kierowca grozi pięścią policjantowi. Co robić?

Wysiąść, prześliznąć się między barierkami i wraz z innymi nocnymi markami przebiec na drugi brzeg. W ciemnościach słychać stukanie damskich obcasików. Ktoś woła: „Pośpiesz się! Prędzej!". Trzeba biec, nie zatrzymując się, z oczami wbitymi w ziemię, żeby nie upaść. W połowie drogi, w prześwicie między dwoma ramionami mostu, widać czarne wody Newy. Rozlega się sygnał syreny: za chwilę most się podniesie. Lecz oto już drugi brzeg, inne barierki, inne samochody. A także nabzdyczeni policjanci: „To bardzo niebezpieczne, co robicie". „Niebezpieczne?". „A jakże! Spójrzcie tylko!". I w tym właśnie momencie Petersburg was porywa.

FOT. ALEXANDER DEMIANCHUK/REUTERS/FORUM

Karnawałowa parada na ulicach

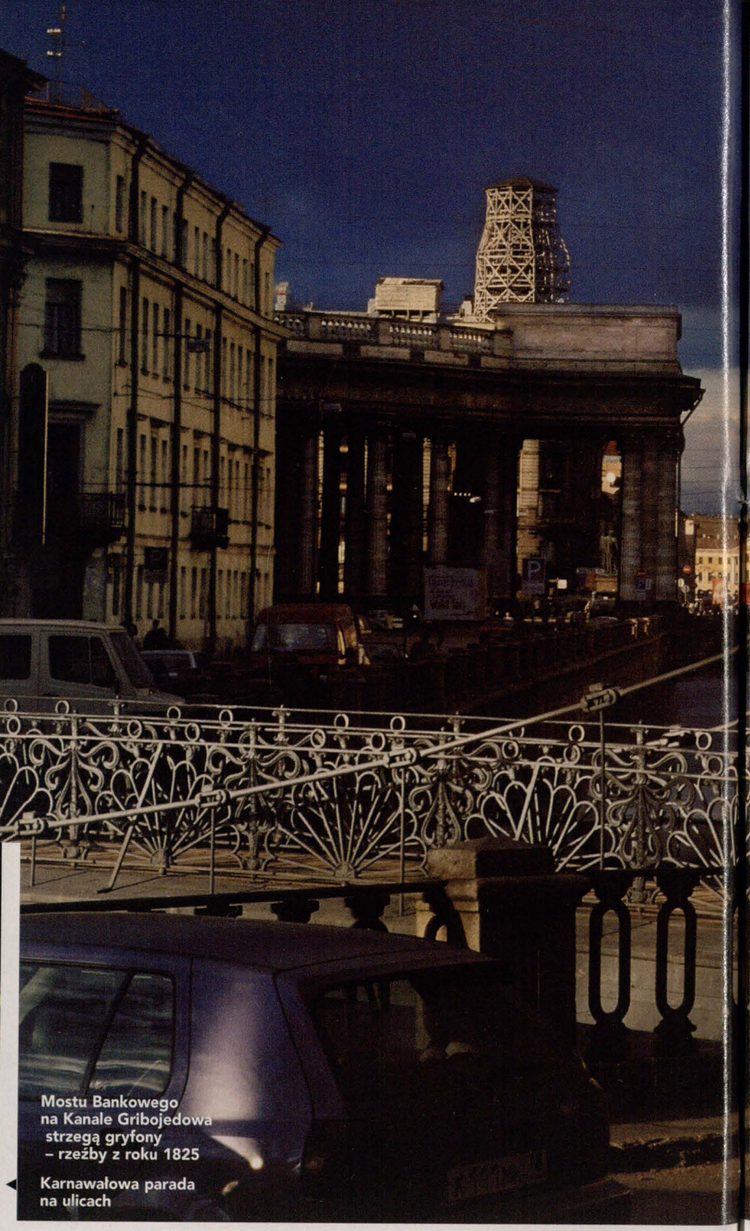

Mostu Bankowego na Kanale Gribojedowa strzegą gryfony – rzeźby z roku 1825

FOT. SERGEI SMOLSKI/ITAR TASS/FORUM

Wyrafinowani, kulturalni, inteligentni. Trochę lepsi od reszty Rosjan. Petersburżanie od 300 lat uważają, że tworzą odrębną cywilizację

Most, przez który dopiero co przebiegliśmy, wznosi się pionowo do góry. Jego chodniki, nadal oświetlone latarniami, zdają się prowadzić prosto do nieba. Na całej długości Newy wszystkie mosty sterczą niczym szpaler żołnierzy wyprężonych na baczność. Z zapadnięciem nocy czuwają nad carskim miastem – nad Admiralicją z jej błyszczącą złotem kopułą, nad Arsenałem, nad cytadelą, nad fasadami w kolorze ochry i nad bladozielonymi murami Ermitażu. Oto ono – „najbardziej wymyślone miasto świata" – jak mawiał Dostojewski. Miasto-widmo zrodzone ze snów Piotra Wielkiego. Miasto bez cieni. W sercu nocy odbite w wodzie budynki zdają się figurami z porcelany. Miasto-chimera. Po cóż spać w takim miejscu? Żaden sen nie może tu wygrać z rzeczywistością.

PARYŻ? TEŻ ŁADNY

Nazajutrz rano w kawiarni Ella uśmiecha się do mnie: – Czasem wyobrażam sobie, że miasto jest osobnym miejscem. Że żyjemy we własnym państwie odciętym od reszty Rosji. Mieszkańcy Petersburga dobrze znają ten syndrom. W historycznym centrum i na przedmieściach-sypialniach zbudowanych w radzieckich czasach mieszka blisko pięć milionów osób. Wszyscy – w różnym stopniu – mają poczucie, że żyją „gdzie indziej".

Na przykład uważają za normalne, że z okazji nadchodzącego 300-lecia miasta merostwo wymyśliło sobie miejski hymn. Cudzoziemcom, którzy zwracają uwagę, że hymny w zasadzie opiewają patriotyzm całego kraju, petersburżanie odpowiadają najzupełniej serio, że mieszkańcy aglomeracji tworzą osobny naród.

– Bardziej tu szanujemy jednostkę – mówi Ella Poliakowa, działaczka ruchu w obronie praw człowieka. – Nie mamy pieniędzy, ale dajemy wzór postawy obywatelskiej – podkreśla Aleksander Czechanowicz, wolontariusz pracujący z dziećmi ulicy w ramach organizacji Lekarze Świata. – Jesteśmy bardziej twórczy niż moskwianie, którzy tylko uganiają się za dolarami – dodaje Alona Achmadulina, projektantka mody.

Są inteligentni. Wyrafinowani. Czytają nieznanych autorów. Chodzą na koncerty muzyki poważnej. Uwielbiają teatr. Oblegają muzea. Mają zawsze coś ciekawego do opowiedzenia. Jednym słowem – bądźmy szczerzy – są nieznośni. – Pan mieszka w Paryżu? – pyta Andriej Zercałow, dyrektor wytwórni filmowej Lenfilm. – Ładne miasto. Przypomina mi Petersburg. Tyle że oczywiście jest mniejsze.

TRADYCJA W INFORMATYCE

Pycha mieszkańców Petersburga nie zna granic. Kto się tutaj urodził, nigdy nie całuje cię na przywitanie. Nie podnosi głosu w tramwaju. Jest punktualny. Przedkłada namysł nad działanie. Sława kojarzy mu się z vulgarnością. Pełna wyższości duma przejawia się w każdym pokoleniu, we wszystkich warstwach społecznych, we wszystkich dzielnicach, a nawet w programowaniu komputerowym.

– W informatyce istnieje petersburska tradycja – utrzymuje Andriej Łopatkin, uzdolniony student wydziału matematycznego. – Z naszych programów czerpię prawdziwą przyjemność estetyczną. Są nie tylko skuteczne, lecz także piękne!

Łopatkin i jego koledzy z wydziału jako jedyni na świecie dwukrotnie zdobyli pierwsze miejsce w turnieju najlepszych programistów planety organizowanym co roku w Stanach

Jak za starych, carskich czasów: pokaz ujeżdżania przed pałacem Katarzyny

FOT. GAMMA/BE&W

FOT. ANTOINE GYORI/CORBIS SYGMA/FREE

Czerwiec to dobra pora na ślub. Młoda para przed Ermitażem

Zjednoczonych. Microsoft, IBM i parę innych firm oferowały Andriejowi złote góry. – Mógłbym się urządzić w Stanach, ale nie mam ochoty. To miasto jest zbyt piękne i ma duszę. Na mistrzostwach w programowaniu w roku 2002 spośród setek ekip z całego świata dwie drużyny z Petersburga dotarły do finału. To nie jest przypadek. To pewnie się bierze z przeszłości...

PITER MA 300 LAT

Mieszkańcy nazywają swoje miasto po prostu Pitrem. Dziesiątki tysięcy robotników i rzemieślników zbudowały je trzy wieki temu na rozkaz jednego człowieka – Piotra Wielkiego. Od tego czasu miasto trzykrotnie zmieniło nazwę, przeżyło rewolucję bolszewicką, krwawą wojnę domową, a podczas drugiej wojny światowej śmiertelną blokadę trwającą blisko 900 dni. Przez 70 lat było rozmyślnie zaniedbywane przez reżim radziecki, który pragnął skoncentrować całą władzę w Moskwie: – Komuniści zabraniali nam opowiadać cudzoziemcom, że pierwszy uniwersytet rosyjski został zbudowany tutaj w 1724 – opowiada radny Michaił Amosow. – Kazali mówić o uniwersytecie moskiewskim założonym w roku 1755!

Wobec zbliżającego się 300-lecia miasto poddaje się liftingowi. Mury drżą od hałasu betoniarek, koparek, piaskarek. Ważniejsze pomniki zasłonięto rusztowaniami i płachtami plastiku. Trwa rekonstrukcja dziesiątków gmachów. Robotnicy przybywają z najodleglejszych kątów Rosji, nawet z zagranicy. – Zarabiam 300 dolarów miesięcznie – zwierza się ormiański malarz na ogromnym placu budowy wokół pałacu Konstantynowskiego, przyszłej oficjalnej rezydencji prezydenta Rosji. – Boję się chodzić po mieście, żeby mnie nie wydalili. Przyjechaliśmy z Armenii specjalnie do tej roboty i pracujemy na czarno.

FOT. ALEXANDER DEMIANCHUK/REUTERS/FORUM

Zimowy połów ryb w skutej lodem Newie

NARODOWY PRIORYTET PUTINA

Konserwatorzy walczą z paskudnym klimatem, opieszałą biurokracją i korupcją. Tak samo jak ich poprzednicy z czasów Piotra Wielkiego znaleźli się tutaj z woli jednego człowieka – prezydenta Rosji i byłego wicemera miasta Władimira Putina.

Władca Kremla pragnie, aby miasto znowu stało się oknem otwartym na Europę i świat. Już wcześniej zapraszał tutaj zagranicznych mężów stanu na wieczór w operze albo na balet w kapiącym od złota Teatrze Mariańskim. Na 30 i 31 maja 2003 roku szykuje coś o wiele większego: do Petersburga przybędzie co najmniej 50 szefów państw, by z pompą obchodzić jego 300-lecie. – Bardzo poważne przedsięwzięcie logistyczne – ocenia pewien dyplomata.

Odrestaurowanie Petersburga stało się więc narodowym priorytetem. A także sprawą honoru, dowodem, że Rosja nie produkuje wyłącznie czeczeńskiego terroryzmu czy katastrof ekologicznych. Budżet państwa przeznaczył na renowację 400 milionów euro w roku 2002, ale prace wspomagają też mniej lub bardziej dobrowolne dary. – Skoro państwo pozwoliło biznesmenom zarobić dużo pieniędzy, to i oni powinni przyjść z pomocą państwu – oświadcza Giennadij Jawnik, radny odpowiedzialny za zbiórkę funduszy. A ponieważ dobra wola ludzi interesu nie wystarcza, sąsiednie regiony oferują nieco ze swoich kas.

– Cała forsa świata nie starczyłaby na odrestaurowanie miasta w pięć czy sześć miesięcy – wzdycha gubernator Władimir Jakowlew. – Wszystko tu wymaga wielu lat pracy, ale wierzę w przyszłość i mieszkańcy także – w roku 2002 po raz pierwszy od lat liczba urodzin przerosła liczbę zgonów. To sprawa o kapitalnym znaczeniu. Lata upadku mamy za sobą.

400 milionów euro z kasy miasta i dary od biznesmenów pomogą udowodnić, że Rosja nie produkuje wyłącznie czeczeńskiego terroryzmu i katastrof ekologicznych

TYLKO NIE PROWINCJA

W taksówkach petersburskich mówi się wyłącznie o robotach i wykopkach: – Dwie godziny, żeby przejechać trzy kilometry... Gorzej niż podczas bombardowań!

Wielu ludzi narzeka na jakość prac: – Na podwórku mojej kamienicy robotnicy posadzili kilka drzew – opowiada pewien dziennikarz. – Wtedy zaczęły przeciekać rury z gorącą wodą. Ci sami robotnicy przyszli wyrwać drzewa, żeby ryć głębiej w ziemi. Po czym więcej się nie pojawili! Inni demaskują powiązania pewnych przedsiębiorstw budowlanych z członkami rodziny gubernatora. Niektórzy mają zastrzeżenia estetyczne: – Widział pan płyty chodnikowe na nowej ulicy? – pyta Andriej Dimitriew, architekt wnętrz. – Przydymiony róż! Wyobrażają sobie, że to prowincjonalne niemieckie miasteczko czy co?

Mieszkańcy Petersburga pasjonują się obrazem swego miasta. W bibliotekach spotyka się mnóstwo historyków amatorów studiujących historię ulubionego kwartału. Od miesięcy wśród najlepiej sprzedających się książek figuruje dzieło poświęcone budowniczym miasta. Nawet w epoce radzieckiej, w roku 1987, tłumy mieszkańców wyszły na ulice protestować przeciwko projektowi budowy hotelu w zabytkowym centrum. – W tamtych czasach wystarczyło spacerować po ulicy i podziwiać imperialną architekturę, aby człowiek miał wrażenie, że sprzeciwia się reżimowi – śmieje się Lew Lurie, utalentowany kronikarz petersburskiego życia.

PIOTR WIELKI ZAPRASZA EUROPĘ

Kiedy Piotr budował swoją stolicę, zmusił mieszkańców do przyjęcia „europejskiego" stylu życia. W roku 1717 kazał opublikować „Zacne zwierciadło młodzieży", niemiecki poradnik dobrego wychowania zaadaptowany na potrzeby Rosjan. Autorzy odradzają między innymi „plucie na jedzenie", „używanie noża do czyszczenia zębów" czy „wycieranie nosa, głośno trąbiąc". Car poszedł jeszcze dalej. Nie tylko wskazywał szlachcicom, gdzie mają mieszkać, lecz także precyzował, jak mają budować swoje domy, jak powinni się przemieszczać, gdzie mają stać w cerkwi, ilu zatrudniać służących, jak zachowywać się przy stole, jak się ubierać, jak strzyc włosy. Narzucił na dworze francuszczyznę, a w salach balowych menueta, chociaż wszystkie te nowe obyczaje były najzupełniej obce tradycyjnemu rosyjskiemu stylowi życia.

Dla wykształconej elity Europa stała się nie tylko celem turystycznych podróży, lecz także duchowym źródłem cywilizacji i wyrafinowania. Jeździło się tam jak na pielgrzymkę, wzorem samego Piotra. Przez dwa stulecia – do rewolucji październikowej – szlacheckie dzieci studiowały na uniwersytetach Paryża, Getyngi i Lipska. Słowem – w Petersburgu Piotr próbował stworzyć nową cywilizację. Ale przymusowa nauka „dobrych manier" nie przychodziła łatwo. W centrum miasta za neoklasycznymi fasadami szlachetnie urodzeni Rosjanie hodowali na podwórkach świnie, jak przedtem w Moskwie. Rozwścieczony Piotr wydawał dekret za dekretem, zabraniał trzodzie chlewnej promenować się po swoich „europejskich" alejach.

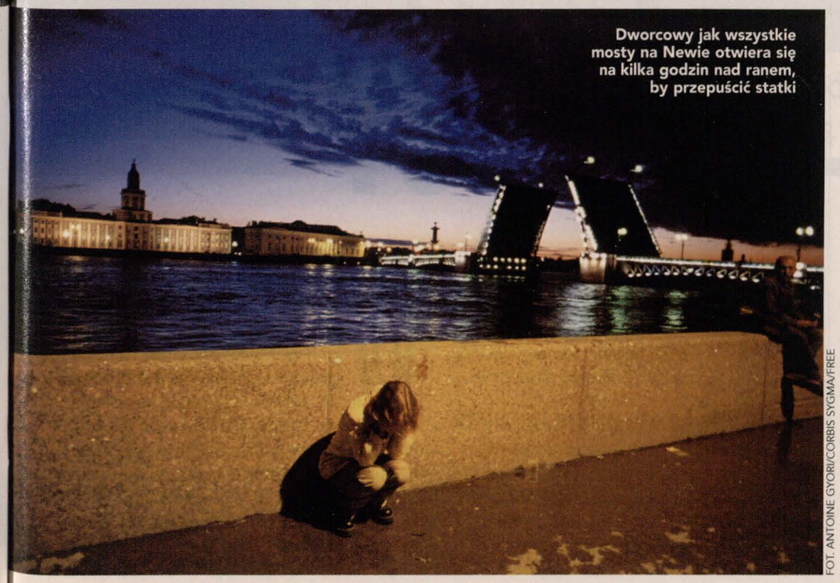

FOT. ANTOINE GYORI/CORBIS SYGMA/FREE

Dworcowy jak wszystkie mosty na Newie otwiera się na kilka godzin nad ranem, by przepuścić statki

Z MECHANIKA DEKORATOR

Z biegiem lat, później wieków, przymusowa asymilacja europejskości ukształtowała petersburską tożsamość. Nie zdołała jej wykorzenić nawet rewolucja i nieustanne wędrówki ludów.

Kirył Ławrow, nazywany niekiedy rosyjskim Jeanem Gabinem, dostrzega to co wieczór na scenie teatru BDT (Bolszoj Dramaticzeskij Tieatr): – Publiczność jest tu bardziej wstrzemięźliwa, a oklaski mniej gorące niż w Moskwie. Miasto potrafi wpływać na swoich mieszkańców i przemieniać ich w ludzi „dobrze wychowanych"! Nie ma to nic wspólnego z pieniędzmi czy snobizmem. W teatrze BDT „zasłużony artysta" rosyjskiej sceny zarabia 2025 rubli miesięcznie, czyli 70 euro. Aż dziewięciu członków zespołu mieszka z rodzinami we wspólnym mieszkaniu.

Petersburżanie nie są bogaci, lecz uparcie pielęgnują swoistą sztukę życia. Młody moskiewski architekt Michaił Barchin szybko to zrozumiał: „W Moskwie zarabiam na chleb. W Petersburgu natomiast korzystam z życia. Lubię muzykę elektroniczną, więc organizuję *rave parties* w nieoczekiwanych miejscach. Nie dla pieniędzy, ale dlatego, że tak mi się podoba". Barchin i jego kumple zajmują na jedną noc opuszczony fort w Kronsztadzie w Zatoce Fińskiej albo instalują się pod mostem budowanej autostrady. Jego imprezy

reklamowane wyłącznie z ucha do ucha przyciągają tysiące ludzi. – Nawet wojskowi z Kronsztadu byli szczęśliwi! W Moskwie tego rodzaju zabawa byłaby nie do pomyślenia, chyba żeby puścić w ruch wielką komercyjną machinę, narzucić bilety wstępu i wydać fortunę na łapówki – mówi Barchin.

W Petersburgu osiedla się wielu artystów znęconych umiarkowanymi czynszami i klimatem cyganerii. Reprezentują petersburską „nową falę" i na swój sposób kontynuują dziedzictwo Gogola i Dostojewskiego.

24-letnia projektantka mody Alena Achmadulina zdobyła już wiele nagród za swoje kolekcje.

– Większość moich klientek mieszka w Moskwie – mówi – ale ja zostanę tu na zawsze, cokolwiek by się działo. Ludzie są tu mniej konformistyczni, za to bardziej kreatywni. – W Petersburgu jest mało pieniędzy, ale to dobrze. To nas zmusza do mobilizacji wyobraźni – zapewnia Andriej Dimitriew, były mechanik samochodowy, obecnie wzięty dekorator wnętrz. Co dzień biega na pchli targ i do handlarzy starzyzną w poszukiwaniu sprzętów codziennego użytku z czasów dawnego Sankt Petersburga: lampy, lustra, koszyka na jaja czy kryształowej karafki. Niektóre z jego wnętrz mają w sobie czar minionej epoki, inne olśniewają nowoczesnością. – Cóż to ma za znaczenie? Najważniejsze, żeby uniknąć wulgarności.

ROLA PRAWODAWCY

Wenecja Północy rozkwita. Odkrywa własną przeszłość. W złoconych salonach pałacu Jusupowa, gdzie zamordowano Rasputina, panowie w garniturach i damy w długich sukniach schodzą się na „petersburskie wieczory". Zawodowy przewodnik opowiada im o niegdysiejszych balach i koncertach. Mieszkańcy Petersburga nabierają wiary w siebie. Mają podobny stosunek do Moskwy jak florentyńczycy do Rzymu czy bostończycy do Nowego Jorku – uważają się za dziedziców pewnej kultury. W jakim innym rosyjskim mieście prawo zakazywałoby używania żargonu w radiu i telewizji? Na taki zaskakujący pomysł wpadł Wataniar Jagja, poseł z przedmiejskiego okręgu i wykładowca uniwersytecki: – Nie jestem pruderyjny, ale wydaje mi się, że kiedy w debacie telewizyjnej jakaś kobieta mówi do drugiej: „Ty stara k...", prawodawca ma pewną rolę do odegrania.

– Petersburżanie różnią się stanem ducha od innych Rosjan – wyjaśnia Ella Poliakowa, działaczka społeczna. – To prawda, że Putin wywodzi się z naszego miasta, ale jest też oficerem byłego KGB. A jednak został wybrany na prezydenta. Czas, by Rosjanie wyrośli z tego umysłowego zniewolenia.

MARC EPSTEIN I AŁŁA SZEWIELKINA

Tłumaczyła Maryna Ochab
© L'Express – NYTSyn 2002

Kanały jak w Wenecji, ale obyczaje przypominają raczej sycylijskie Palermo

FOT. ANTOINE GYORI/CORBIS SYGMA/FREE

PALERMO PÓŁNOCY

W Leningradzie bezpieka kierowała bandytami . W Sankt Petersburgu jest odwrotnie – miastem rządzą „Kostia Mogiła", „Kum", „Dziad Hasan" i „Kola Karate". Jesteśmy kryminalną stolicą Rosji – mówią mieszkańcy

ANDRZEJ ŁOMANOWSKI

Wśród pompatycznych i monumentalnych budowli przytłaczających każdego, kto odwiedza miasto, pomiędzy symbolami nieistniejących imperiów wre zaciekła walka. – Liczba zabójstw na zamówienie przekracza już sycylijskie normy – konstatuje jeden z miejscowych dziennikarzy. – A technik w nich używanych mógłby pozazdrościć James Bond. Pięć lat temu na ruchliwej ulicy w środku miasta zastrzelono wicegubernatora Petersburga Michaiła Maniewicza odpowiadającego między innymi za prywatyzację. Jego służbowy samochód zatrzymał się na światłach. Strzelający z dachu pobliskiego domu snajper trafił siedzącego z tyłu wicegubernatora w głowę – przez dach samochodu. Zabójcy nie znaleziono do dziś.

Miasto jest już uzależnione od gangów. Rytm jego życia wyznaczają wybuchy kolejnych walk czy przyjazdy bandyckich rozjemców z głębi Rosji próbujących pogodzić zwaśnione grupy. Gdy wiosną ubiegłego roku dwóch najpotężniejszych gangsterów – „Kum" i „Kostia Mogiła" – spotkało się w restauracji Austeria na terenie historycznej Twierdzy Piotropawłowskiej, by przerwać walki swych oddziałów, petersburskie gazety pisały: „Do naszego miasta powraca stabilizacja".

KONIEC CARSKICH OBYCZAJÓW

150 lat temu niemiecki podróżnik Eduard Jerrman nie mógł się nadziwić niezwykłym obyczajom panującym w Petersburgu.

„Nad ranem w centrum miasta, obok soboru Kazańskiego, ujrzałem zdumiewający bal. Grupa elegancko ubranych kobiet, niektóre w pięknych szalach z piórami, wykonywała dziwny taniec, pełen pokłonów. Podjechawszy bliżej, nie usłyszałem jednak muzyki. W końcu dojechaliśmy pod pałac Anczikowa i znaleźliśmy się w samym środku tych dziwnych wydarzeń. Ujrzałem w końcu obrzydliwe widowisko. Kilka młodych kobiet, ładnych i rumianych, eleganckich, w jedwabiach, biżuterii i piórach, zamiatało Newski Prospekt – pod nadzorem policjanta. Teraz dopiero zrozumiałem, skąd te dziwne

pokłony. To były prostytutki, które zbyt późno wracały do domu ze swoich nieszczęsnych zajęć i wpadły w ręce patroli. Resztę nocy spędziły w areszcie, a teraz pokutowały z miotłami w ręku".

Dzisiaj nie ma już śladu po carskich obyczajach. Wydaje się, że nikomu już nie przeszkadza, iż przedstawiciele półświatka rządzą miastem – również samym jego mieszkańcom.

Jeden z deputowanych miejskiej rady Jurij Szutow przesiedział prawie całą swą kadencję w więzieniu pod zarzutem zorganizowania grupy killerów dokonujących zabójstw na zlecenie. Mimo że pod koniec ubiegłego roku ledwo zdążył wyjść z więzienia, to w grudniowych wyborach do rady Petersburga ponownie został deputowanym.

– Trudno wyjaśnić ten fenomen, ale pewnie w takim wyborze było coś z petersburskiej przekory – mówi jeden z dziennikarzy. – W końcu byliśmy stolicą i żadna Moskwa nie będzie nam narzucać swojej woli. Choćby wsadzając do więzienia naszych przestępców.

„W mieście dominuje rozczarowanie, poczucie krzywdy, własnej zbędności. Petersburżanie nie czują się zaproszeni na ucztę zwycięzców" – napisał inny dziennikarz – Giennadij Toporow.

KSIĄŻĘTA ZŁODZIEI

Wśród apatii i zniechęcenia tym silniej wybija się niechęć do Moskwy, miasta, które zdaniem mieszkańców znad Newy ukradło Petersburgowi stołeczny status po bolszewickiej rewolucji. Niechęci nie zmienił nawet fakt, że większość obecnych centralnych władz w Moskwie – począwszy od prezydenta – pochodzi z Petersburga. Rozczarowania z powodu rządów krajan przychodziły bowiem jedno za drugim.

Jeszcze w roku 2000 otoczenie obecnego prezydenta proponowało, by część urzędów – wymieniano obie izby parlamentu – przenieść nad Newę. Po trzech latach z pomysłu nic nie pozostało, a jedynym śladem niedawnych nadziei są częstsze obecnie wizyty nad Newą zagranicznych szefów państw. W zachodniej Europie bowiem utarło się przekonanie, że odwiedzając Petersburg, sprawia się przyjemność obecnemu prezydentowi Rosji.

Zamiast centralnych urzędów carska stolica doczekała się specjalnej grupy rosyjskiego MSW, której zadaniem jest „oczyszczenie rodzinnego miasta prezydenta". Jednocześnie rozpędzono miejscowy wydział milicji do walki ze zorganizowaną przestępczością, gdyż okazał się zbyt ściśle powiązany z gangami. Minister spraw wewnętrznych – sam pochodzący z Petersburga – opisał przy tej okazji gospodarkę całego miasta jako „konglomerat przemysłowych, energetycznych i handlowych przedsiębiorstw kontrolowanych przez zorganizowaną przestępczość".

Spośród 300 petersburskich przedsiębiorstw podobno aż jedna trzecia jest kontrolowana przez grupę gangsterów z Tambowa – a nie jest to jedyna grupa nad Newą. Ale miejscowe media nie uważają tego za wadę, wręcz przeciwnie – „tambowscy" opisywani są jako prawdziwi patrioci miasta, gdyż dzięki ich kapitałom działają petersburskie fabryki.

„Siły zła" zaś to gangi związane z moskiewskimi bossami i stołeczną elitą *worow*.

– Od carskich czasów istnieje w rosyjskim świecie przestępczym elita – to *wory w zakonie* (czyli „książęta złodziei") – tłumaczy miejscowy dziennikarz. – W Petersburgu zaś działają bardzo silne grupy, które nie chcą się podporządkować *worom*, odrzucając całą ponadstuletnią kryminalną tradycję. Ich przywódcy nie mają zamiaru czekać, aż zostaną oficjalnie „koronowani" przez świat przestępczy, chcą już rządzić. *Wory* z Moskwy zaś rzeczywiście próbują opanować nasze miasto, wyznaczając swych kolejnych *smotriaszczich* (nadzorców i arbitrów).

Prostytucja i narkotyki to dziś margines działalności przestępców. Opanowali miejski przemysł, handel, energetykę, a nawet cmentarz

FOT. DMITRY LOVETSKY/AP

W zeszłym roku odbyła się w Rostowie nad Donem *schodka worow* (czyli zjazd „książąt złodziei" z całej Rosji), na której postanowiono po raz kolejny w ciągu dekady zmienić *smotriaszczego* w Petersburgu i zapanować wreszcie nad Newą.

– Broniąc się, petersburscy gangsterzy przekazali informację miejscowym mediom, a te – wykorzystując naszą genetyczną niechęć do tego, co moskiewskie – rozpętały coś w rodzaju patriotycznej histerii w obronie naszych gangsterów przed moskiewskimi.

W strzelaninie przed hotelem Astoria we wrześniu 2000 roku zginęły trzy osoby, w tym jeden z mafijnych bossów. Policja zabezpiecza ślady. W tle pomnik cara Mikołaja I

Nie uchroniło to miasta od kolejnej wojny gangów. Szczególnie zacięte walki toczyły się (tradycyjnie już od początku lat 90.) o kontrolę petersburskiego portu. Po 300 latach od powstania z woli cara Piotra I okazał się on bowiem znów jedynym rosyjskim portem nad Bałtykiem. Przez niego przechodzi 70 procent importu dla europejskiej części Rosji, w tym 60 procent żywności wiezionej do Moskwy. Jak do tej pory nikomu nie udało się opanować go do końca, mimo że jeden z gangsterów zdołał nawet przeciągnąć na swą stronę związek zawodowy dokerów.

AUTONOMIA KRYMINALISTÓW

Jak i za czasów cara Piotra port rządzi się własnymi prawami, na jego teren nie rozciągają się pełnomocnictwa miejskich władz.

– Emisariusze merostwa mogą tu wchodzić tylko z białą flagą negocjatorów, a nie jako władcy – tłumaczą miejscowi. Tylko dlatego port nie został do tej pory opanowany przez żadną z grup – ale wszystkie mają zaprzyjaźnionych urzędników we władzach miejskich. Doszło już do tego, że rosyjska prokuratura zaczęła zawieszać pełnomocnictwa niektórych zastępców gubernatora, gdyż ci prawie otwarcie współpracowali z gangsterami.

Przestępcy znaleźli się nawet w otoczeniu żony petersburskiego gubernatora Iriny Jakowlewej. Szczególną sympatią „pierwszej damy" znad Newy cieszył się bogaty biznesmen zwany „Kostia Mogiła". Przezwisko zyskał na początku zawodowej kariery, gdy w latach 80. pracował jako grabarz na miejskim Cmentarzu Południowym. Szybko opanował cmentarz i zaczął pobierać haracz od pochówków, co doprowadziło do walki z gangami, które wcześniej zarabiały tam pieniądze. „Kostia Mogiła" został wtedy doceniony przez moskiewskich *worow* i wyznaczono go na jednego z ich pierwszych *smotriaszczich* w Petersburgu. Patrioci carskiej stolicy podkreślają, że „Kostia" szybko zerwał z moskiewczanami, którzy odebrali mu „koronę *wora*" – przypadek rzadki w dziejach rosyjskiego półświatka – za obronę interesów petersburskich gangsterów.

Gest „Kostii" doceniono na petersburskich salonach, gdzie od początku lat 90. znów stał się modny pomysł ogłoszenia samodzielności miasta. Miała to być autonomia w ramach Rosji. Co bardziej radykalni inteligenci domagali się nawet pełnej niepodległości – byle dalej od Moskwy. Wśród zwolenników oderwania się Petersburga był nawet mieszkający tam pisarz Daniił Granin.

– No i doczekacie się swojej małej, krwawej, za to zupełnie petersburskiej i niepodległej dyktatury – przestrzegał „autonomistów" Toporow. – Możliwe nawet, że dyktatura będzie stuprocentowo kryminalna.

O tym, jak wygląda przyjaźń z gangsterem, przekonał się na własnej skórze petersburski pisarz i filozof Władimir Szali. W roku 1995 przekazał swojemu znajomemu Denisowi Wołczkowi („biznesmenowi z przeszłością", a obecnie urzędnikowi władz miejskich) obraz do wyceny. Szali podejrzewał, że może się okazać szczęśliwym posiadaczem Rembrandta. Analiza wykazała jednak, że miał pochodzącą z Czech XVIII-wieczną podróbkę holenderskiego mistrza. Tyle że Szali nie dostał z powrotem obrazu, gdyż spodobał się on Wołczkowi, który zawiesił go w domu i zapomniał o poprzednim właścicielu. Przypomniał sobie o nim dopiero po siedmiu latach, gdy rewidujący jego dom milicjanci zażądali aktu kupna obrazu. Wołczek zgodził się bez oporów z przesłuchującym go prokuratorem, że fałszywy Rembrandt powinien wrócić do poprzedniego właściciela.

PRZEKLĘTY I KOCHANY

Prawdziwy rozkwit petersburskich gangów nastąpił dopiero w połowie lat 90., za rządów demokratycznego mera Anatolija Sobczaka i jego zastępcy, byłego pułkownika KGB Władimira Putina. Wtedy to doszło do symbiozy gangsterów z byłymi wyższymi oficerami milicji i KGB (część z nich została wcześniej zwolniona ze służby). Ich wsparcie umożliwiło dynamiczny rozwój czarnego rynku. Część „oficerskich" firm (najczęściej ochroniarskich i będących przykrywką nielegalnej działalności) istnieje do dziś. Jedna z nich zajmuje się „ochroną" petersburskiej rafinerii.

Ta nowa kadra nauczyła gangsterów, jak zdobyć współpracowników we władzach miasta i gdzie w mieście można znaleźć naprawdę duże pieniądze. Wraz z ich pojawieniem się rozpoczęły się krwawe wojny o kontrolę rynku paliwowego, budowlanego oraz transportu w głąb Rosji. Petersburg ma zresztą długie tradycje współpracy bezpieki z kryminalistami. Jeszcze w latach 50. ubiegłego wieku tutejsze sądy uznawały bandytów za „element klasowo bliski proletariatowi". Prawda, wtedy bezpieka kierowała bandytami, teraz bywa odwrotnie.

„Petersburg tysiąc razy zmusi każdego porządnego człowieka, by przeklął ten Babilon – pisał 150 lat temu Aleksander Hercen. – Ale nie można nie kochać Petersburga i sam czuję, że nie mógłbym mieszkać w Rosji nigdzie indziej".

Spośród 150 firm sponsorujących obchody 300-lecia miasta większość jest powiązana z miejscowymi gangsterami. Mieszkańcy przeklinają kataklizm remontów, jaki zwalił się na nich z powodu rocznicy. Ale w głębi duszy się cieszą, że w Petersburgu wszyscy są lokalnymi patriotami.

– No cóż, jeśli nie możemy być normalną, to chociaż kryminalną – ale zawsze stolicą – mówi jeden z nich.

ANDRZEJ ŁOMANOWSKI

Kolęda dla Piotra (też nieświęta)

Nie patrz, Piotrze, w nasze szyby –
Pokrywa je mgła,
Też czekamy niespokojni
Czy to gwiazda ta?
Może to kometa jakaś
Albo supernowa
Gdzieś wybuchła bardzo dawno,
Zanim moc truchlała?
Po cóż czekasz na monarchów –
Wszak to mędrcy byli –
W sobie szukaj światła, ciszy,
Tak by poradzili!
Ogrzej zimne swe wspomnienia
W ten wieczór jedyny.
Lepiej sam Mu wszystko powiedz –
A może nie musisz –
On w Twym sercu przecież mieszka
I wszystko rozumie.
Wam to dobrze – mówisz do nas –
Prawda, opłatek na stole,
Sianko leży pod obrusem,
świeczki zapalamy.
Dodatkowe krzesło, talerz,
mogłoby ich więcej...
Tylu nieobecnych – ale dziś są z nami...
A Słowo Ciałem się stało –
wszyscy zaśpiewamy!
Do Betlejem przybieżeli – my
drogi nie znamy –
wam to dobrze – mówisz do nas –
Przecież my szukamy!
Więc nie czekaj na monarchów –
Usiądź sobie w ciszy –
Zamknij oczy w tę noc ciemną.
Może światło Twojej duszy
zadrży pod powieką.
Z serdecznymi życzeniami

MIECZYSŁAW KROLM

Fajka mniej szkodzi

Przeglądając (a w zasadzie czytając) jubileuszowy numer „P", z przyjemnością zauważyłem w części archiwalnej przypomnienie jakże ważnego kącika redagowanego przez nieżyjącego już mojego kolegę po fajce **Zbyszka Turka**.
Mam oczywiście na myśli kącik fajczarski „Fajka mniej szkodzi".
Kącik fajczarza był ważny nie tylko z tego powodu, że propagował palenie fajki zamiast papierosa jako mniej szkodliwe, lecz także dlatego, że zintegrował brać fajczarską w klubach kolekcjonerskich i hobbystycznych. Przede wszystkim jednak kącik fajczarski propagował szlachetną sztukę palenia tytoniu, właściwego zachowania się z fajką i bez niej, a także propagował w dobrym znaczeniu elitarność intelektualną.
Może by warto powrócić do redagowania kącika fajczarskiego, aby propagować idee przyjaźni („fajka pokoju") i kultury (Zbyszek Turek).
Wiem, że palenie nie jest w modzie, ale przecież palenie fajki mniej szkodzi.

JACEK AUGUSTYNIAK, Warszawa

Krzyżówka do lupy

Macie wiele pomysłów dobrych i ciekawych, co sprawia, że szybko sobie budujecie osobowość na rynku tygodników osobną i pociągającą. Pomysł jednak, aby zmniejszyć rozmiary krzyżówki do formatu niemal znaczka pocztowego, jest, delikatnie mówiąc, nietrafny. Tłumaczenie, że chcieliście zyskać więcej miejsca na inne cenne treści, nie przekona mnie, bo w tej postaci cała krzyżówka to dla mnie stracone, niestety, miejsce. Myślę, że nie będę osamotniony w swoim proteście i stąd nadzieja, że albo się z pomysłu wycofacie, albo do każdego numeru dołączać będziecie lupę.
Łączę na Nowy Rok stosowne wyrazy.

LECH DĄBROWSKI

Od redakcji
Oj, dostało nam się za tę krzyżówkę. I mieliście Państwo oczywiście rację. Poprawiamy się już od tego numeru. Dziękujemy za życzliwość i pomoc Czytelników w tworzeniu „Przekroju".

Niderlandy słusznie rozdane

Dostaliśmy kilka telefonów od Czytelników z informacjami, jakoby **Marek Bieńczyk** pomylił się w swoim felietonie („P" 1/2003), twierdząc, że Zagłoba rozdawał Niderlandy. Według nich miały być to Inflanty. Przerażenie ogarnęło nas wszystkich, Marek Bieńczyk był bliski wypicia z rozpaczy rumuńskiego wina. Szczęśliwie, zanim to zrobił, odnalazł w domu „Potop" (t. III, s. 34–35, Warszawa 1955), a tam cytat:
„Już Forgell począł toczyć tryumfującym wzrokiem dokoła, gdy nagle wśród ciszy głuchej ozwał się po polsku do starosty, stojący tuż za nim pan Zagłoba:
– Ofiaruj, wasza dostojność, królowi szwedzkiemu w zamian Niderlandy.
Pan starosta nie namyślał się długo, uderzył się rękoma w bok i palnął na całą salę po łacinie: – A ja ofiaruję jego szwedzkiej jasności Niderlandy! W tej samej chwili sala zabrzmiała jednym ogromnym śmiechem".
A poza tym Inflanty były w tamtym czasie lennem polskim, więc gdyby Zagłoba je chciał ofiarować, nie byłoby śmiesznie – z ulgą dodał Marek Bieńczyk.

MARCIN BARAN
SEKRETARZ REDAKCJI „P"

KOCHANI NASI CZYTELNICY I WIELCE URODZIWE CZYTELNICZKI!
PISZCIE DO NAS – listy, kartki, e-maile. Oto nasz adres: ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa; e-mail: **redakcja.przekroj@edipresse.pl**

9 stycznia ● 15 stycznia 2003
„Przekrój" wydaje polecenia kulturalne
tydzień

Kadr z filmu „Nižyński" Paula Coksa

Inne kino

Filmy wyzwania, filmy prowokacje, filmy dzieła sztuki zobaczymy w ramach drugiej edycji Nowych Horyzontów. Przed nami przegląd kina niepokornego, robionego przez indywidualistów kina. Tym razem na tej niezwykłej „objazdowej wystawie ruchomych obrazów" zobaczymy sześć filmów wyłowionych na światowych festiwalach. **Shinji Aoyoma** zahipnotyzuje nas **„Eureką"**, której bohaterowie szukają równowagi po przebytej traumie. **Paul Cox** w **„Niżyńskim"** bada fenomen geniuszu i szaleństwa – zekranizował pamiętniki, w których tancerz opisywał nadchodzącą chorobę. **Ulrich Seidl („Upały")** zabierze nas na przedmieścia Wiednia, a Carlos Reygadas („Japon") nad brzeg kanionu, gdzie jego bohater chce popełnić samobójstwo. Twórcy świetności francuskiego kina Jean-Luc Godard („Pochwała miłości") i Philippe Garrel („Dzika niewinność") swoimi filmami-esejami przywrócą wiarę w magię obrazu. Ta magia obecna jest też w **„Paradox Lake"** zrealizowanym przez **Przemysława Reuta**. Pochodzący z Polski młody reżyser połączył kilka technik filmowych, by wiernie odtworzyć świat ludzi cierpiących na autyzm.

(MASA)

FILMY MOŻNA BĘDZIE OGLĄDAĆ OD 10 STYCZNIA W WARSZAWIE, ŁODZI, SZCZECINIE, POZNANIU, WROCŁAWIU, KATOWICACH, GDAŃSKU. POTEM PRZEGLĄD TRAFI DO INNYCH MIAST. ORGANIZATOREM NOWYCH HORYZONTÓW JEST GUTEK FILM

NAZYWANO GO RASISTĄ, FASZYSTĄ, HOMOFOBEM I ANTYSEMITĄ. DZIĘKI MORDERSTWU STAŁ SIĘ PISARZEM. W POLSCE UKAZUJE SIĘ WŁAŚNIE KOLEJNA POWIEŚĆ KRYMINALNA AUTORA „TAJEMNIC LOS ANGELES" JAMESA ELLROYA – „TAJNA SPRAWA"

UWAGA, ZŁY PIES

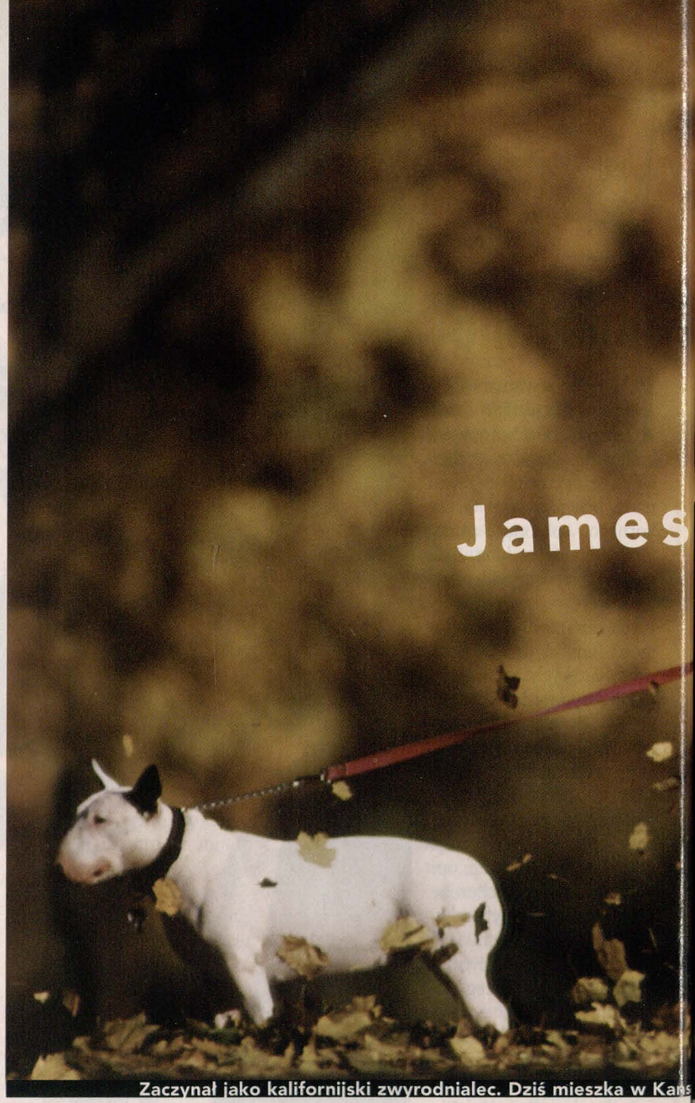

Zaczynał jako kalifornijski zwyrodnialec. Dziś mieszka w Kansas, jest bogobojnym konserwatystą. Ale wciąż lubi niebezpieczne psy

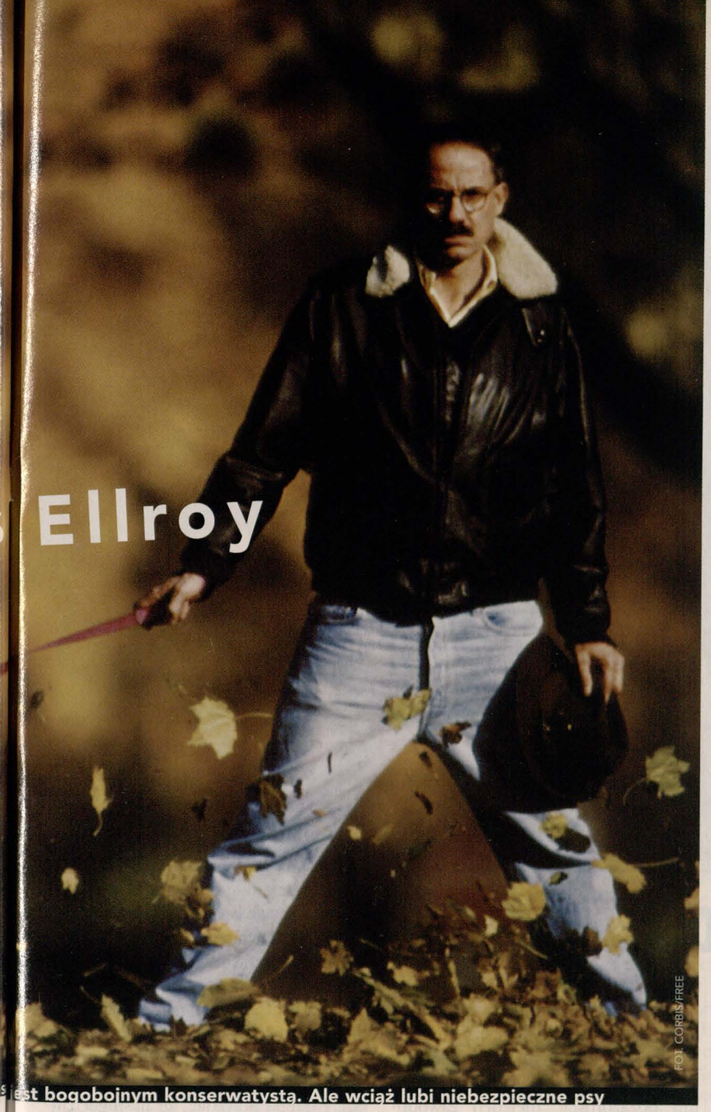
FOT. CORBIS/FREE

Mów mi „Psie".

– Zły Psie?

– Nie, po prostu – Psie – mówi w wywiadzie James Ellroy, pisarz zwany „złym psem amerykańskiej literatury". Autor bestsellerowych powieści kryminalnych lubi czasem zawyć jak wilk. Lata 80. i 90. należały do niego, uznano go za najważniejszego autora kryminałów w Stanach. Następcę Raymonda Chandlera, choć Sam Ellroy go nie ceni („Nie lubię jego samotnych, szlachetnych policjantów"). Książki Ellroya są brutalne i okrutne. Jak podziemne, ukryte życie miasta. Nikt tak jak on nie potrafił sportretować ciemnej strony Hollywood, prawdziwego oblicza Los Angeles.

Miastu Aniołów poświęcił cztery powieści. Na podstawie „Tajemnic Los Angeles" powstał obsypany w 1997 Oscarami film Curtisa Hansona z Kim Basinger, Kevinem Spacey, Russellem Crowe i Dannym DeVito. Powieść jest jeszcze lepsza. Jak w innych jego książkach nie ma tu pozytywnych i negatywnych bohaterów – jego postaci, policjanci i zbrodniarze, to ludzie ogarnięci namiętnościami i obsesjami.

Niemal we wszystkich powieściach Ellroya pojawia się policjant, który obsesyjnie drąży sprawę niewyjaśnionych morderstw prostytutek albo gwiazdek kina. Taka właśnie niewyjaśniona zbrodnia stoi u początku pisania Ellroya.

Złodziej i alkoholik

W czerwcu 1958 na szkolnym boisku znaleziono ciało Genevy Hiliker Ellroy, rudowłosej piękności znanej w latach 30. z kampanii reklamowej kosmetyków. Pobita i zgwałcona miała zawiązaną wokół szyi pończochę. Morderstwo nigdy nie zostało wyjaśnione. 10-letni James Ellroy zamieszkał z ojcem. Jak mówił, śmierć matki nie zrobiła na nim wrażenia, w gruncie rzeczy nienawidził jej, była alkoholiczką i sprowadzała do domu facetów. Dopiero 30 lat później Ellroy oddał hołd matce w książce „My dark places". Znalazło się w niej zdjęcie 10-letniego Ellroya, któremu właśnie powiedziano o śmierci matki. – Otworzyło się wtedy dla mnie cudowne życie. Miesiąc wcześniej spytała, z kim chcę mieszkać, a kiedy powiedziałem, że z ojcem – uderzyła mnie.

Ojciec, były menedżer Rity Hayworth, nie miał nad nim kontroli. Rozumiał swoje obowiązki w ten sposób, że zabierał chłopca na hot dogi i dzielił się z nim magazynami porno. Umarł, gdy James miał 17 lat. Wtedy chłopiec zyskał całkowitą swobodę. Wyrzucono go ze szkoły, bo miał zwyczaj włamywać się do domów bogatych koleżanek i kraść im bieliznę. – Byłem kompletnie zboczony – mówił po latach.

Złościło go też, że w szkole było 99 procent Żydów. Wysyłał więc koleżankom faszystowskie ulotki. Stał się regularnym złodziejem i alkoholikiem. Przez chwilę pracował jako kasjer w porno shopie, dopóki nie obrobił sklepu. Przynajmniej 30 czy 40 razy lądował w więzieniach i w szpitalach w stanie delirium lub po przedawkowaniu narkotyków. Już wtedy namiętnie czytał kryminały. „Pewnego dnia pomyślałem, że bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnę zostać pisarzem".

Zapach matki

Zapisał się do Anonimowych Alkoholików i zerwał z przeszłością. Pierwszą książkę napisał, gdy miał 31 lat. Dostał za nią 3500 dolarów. – Zostałem pisarzem dzięki zabójstwu mojej matki – mówił wielokrotnie. Podobną historię jak tamta opisuje w kolejnych książkach, między innymi we właśnie ukazującej się u nas „Tajnej sprawie" z 1981 roku. – Różnica jest taka, że tutaj, inaczej niż w życiu, detektyw znajduje zabójcę.

Sam Ellroy pojawia się jako dziewięcioletni syn ofiary, który lubi obnażać się przed dziewczynkami z sąsiedztwa. Jeszcze jako dziecko przeczytał o tajemniczym zabójstwie z roku 1947 aktorki, którą znaleziono przeciętą na pół i wypatroszoną, i opisał tę sprawę w swojej siódmej książce „Czarna Dahlia". Znowu więcej pisał o swojej matce niż o aktorce. Ta książka należy do najmroczniejszych i najbardziej ponurych.

– Stracisz czytelników, jeśli nie będziesz miał żadnych sympatycznych bohaterów – ostrzegał go wydawca. Jednak sprzedaż nieustannie rosła.

Podczas promocji „Czarnej Dahlii" Ellroy po raz pierwszy ujawnił historię swojej matki. – Wykorzystałem ją, bo dziennikarze lubią takie sprawy. To był błąd – mówił później. Zupełnie inaczej powrócił do tej sprawy w książce „My dark places". – Po latach chciałem zrozumieć, kim ona była – mówił – często czuję jej zapach. Papierosy L&M. Early Time Bourbon i jej perfumy.

Razem z detektywem wrócił do akt sprawy. Oglądał zdjęcia z sekcji zwłok. Odnalazł świadków. Sprawdził się jako dobry detektyw. „Umarłaś głupio, nie rozumiałaś, co robisz ze swoim życiem" – pisał we wstępie do książki. Odkrył, że jest podobny do matki, i wtedy gdy pogrążał się w alkoholizmie, i dziś, gdy zdyscyplinowany pracuje nad kolejnymi książkami. – Miała w naturze jakąś kalwińską obowiązkowość i pracowitość. Nie przeżyła nigdy takiego momentu jasności jak ja, kiedy zrozumiałem, czego chcę, do czego dążę.

Nie znalazł zabójcy, ale książka, nietypowy kryminał, stała się bestsellerem.

Nie mam koszmarów

Kim jest dziś człowiek, którego wyobraźnia pełna jest seryjnych morderców i wszelkich okropności?

– Nie mam koszmarów – mówi. – Nie znam żadnych kryminalistów.

Nazywano go wielokrotnie rasistą, faszystą, homofobem i antysemitą.

– To dlatego, że krytycy przypisywali mi sądy moich bohaterów. A ja po prostu portretuję świat białych heteroseksualnych Anglosasów, którzy mówią żargonem swojej sfery i swojego czasu, przełomu lat 40. i 50. Nie lubią „asfaltów", komuchów i kobiet.

Jego książki odkrywają mizoginiczne i patriarchalne oblicze Ameryki – tak przynajmniej uważa żona Ellroya Helen Knode, feministka i dziennikarka. – Ludzie nie zdają sobie sprawy, jak silnie są kierowani przez swoją seksualność. Cała zmysłowość prowadzi do poszukiwania stymulacji, to samonakręcająca się spirala – mówił po latach zajmowania się zbrodniami na tle seksualnym.

Dziś Ellroy określa siebie jako konserwatystę, mieszka z żoną z dala od Los Angeles, w cichym i spokojnym Kansas City. – Wierzę w Boga, który patrzy i sądzi. I wiem, że sam będę sądzony po śmierci.

Był obsesyjnie autodestrukcyjny, dziś jest, jak mówi, obsesyjnie konstruktywny. Zamknął też temat morderstwa matki. Pracuje nad książkami ukazującymi tajną historię Ameryki, ukazały się już dwie: „Amerykański spisek" o kulisach zabójstwa Johna F. Kennedy'ego i „The Cold Six Thousand". Teraz przygotowuje książkę o latach 20. – Nie dążę do sukcesu czy szczęścia. Chcę perfekcji, absolutnej perfekcji w pisaniu.

Kto może być idolem Ellroya? „Moim bohaterem jest Beethoven. Słuchając go, napisałem wszystkie swoje książki".

JUSTYNA SOBOLEWSKA

FOT. GAMMA/BE&W

James Ellroy, 2001

PO POLSKU UKAZAŁY SIĘ DOTYCHCZAS:

- CZARNA DAHLIA ALFA, Warszawa 1998
- TAJEMNICE LOS ANGELES C&T, Toruń 1998
- AMERYKAŃSKI SPISEK C&T, Toruń 2002

W 2003 W TORUŃSKIM WYDAWNICTWIE C&T UKAŻĄ SIĘ KOLEJNO:

- TAJNA SPRAWA
- WIELKIE NIC
- BIAŁY ZGIEŁK

Wkrótce Rabbit (Eminem) przekona się, że Alex (Brittany Murphy) uwodzi nie tylko jego

OD PUCYBUTA DO EMINEMA

FILMOWY RAPER MA SPIŁOWANE ROGI, ALE EMINEM MAGNETYZUJE JAK JAMES DEAN

Tytułowa 8. mila to nazwa ulicy w Detroit, która oddziela zamieszkane przez czarnych slumsy od „sypialni" białych. Na tym specyficznym pograniczu, w przyczepie kempingowej wychował się Rabbit (Eminem). Chłopak pracuje w fabryce samochodów, wieczorami włóczy się z czarnymi kumplami, ich językiem jest wszechobecny w czarnej dzielnicy rap. Rabbit jako jedyny biały dostaje szansę występu w klubie, w którym odbywają się pojedynki na raperskie improwizacje, a w tych Rabbit/Eminem jest bezkonkurencyjny.

To właśnie udział Eminema jest największą siłą filmu Curtisa Hansona („Tajemnice Los Angeles"). „**On nie jest jak Elvis, on jest jak James Dean**" – napisał zachwycony amerykański recenzent po obejrzeniu „8. mili". A ja podpisuję się pod tym stwierdzeniem obiema rękami. Nie wiem, czy Eminem jest dobrym aktorem, jestem jednak pewna, że ma w sobie coś, czego może mu pozazdrościć niejeden zawodowiec. Ten niepozorny chłopak ma w sobie nieprawdopodobny magnetyzm, który sprawia, że nie sposób oderwać od niego oczu (zaznaczam, że słowa te pisze osoba, która do tej pory wiedziała o Eminemie mniej więcej tyle samo co o wczesnym Karelu Gotcie). Jednocześnie, mimo że cała uwaga skupia się na nim, bohater pozostaje nieprzeniknięty – i w tym leży sedno porównania z Deanem, w niepokojącej aurze tajemniczości, która otacza ich obu.

Eminem bardzo dobrze wypada obok **Kim Basinger**, największej poza nim gwiazdy „8. mili" i zarazem doświadczonej aktorki. **Basinger** zagrała jego matkę, niezaradną, sfrustrowaną, nieradzącą sobie z własnym życiem i z alkoholem. W poprzednim filmie Hansona wcieliła się w *femme fatale*, tym razem pozwoliła się „przerobić" na kobietę zaniedbaną i brzydką. I trzeba przyznać, że Basinger zupełnie się nie oszczędza. Razem z Eminemem tworzą interesującą parę, którą miłość wiąże równie silnie co wzajemna wrogość.

Mocną stroną filmu są również zdjęcia. W obiektywie **Rodriga Prieto** (robił zdjęcia do głośnego „**Amores Perros**") slumsy Detroit wyglądają jak pole bitwy, którym w końcu są – uliczne walki gangów to tutaj codzienność. Prieto i Hanson zbudowali „8. milę" jak długi teledysk; rap wyznacza rytm filmu, pozwala wczuć się w klimat miasta: rapują ludzie na ulicy, robotnicy w fabryce, kumple na spotkaniach, rywale w klubie muzycznym.

Historia Rabbita – a pośrednio Eminema – okazuje się realizacją amerykańskiego mitu o przemianie pucybuta w milionera. Jak na Amerykę przystało, jest to oczywiście sukces okupiony wysiłkiem i ciężką pracą, osiągnięty dzięki przezwyciężeniu własnych słabości: w pierwszej scenie Rabbit ucieka z klubu, gdzie odbywają się pojedynki raperów na najlepszą improwizację; w ostatniej na tej samej scenie pokonuje trzech czarnych przeciwników.

Eminem podkreśla, że „8. mila" nie jest jego biografią. Trudno jednak inaczej traktować film z jego udziałem, opowiadający o białym raperze z biednych przedmieść Detroit, gdzie sam mieszkał przez lata. Rabbit ma dokładnie taką samą matkę jak ta, której obraz wyłania się ze wspomnień rapera, a filmowy kumpel Rabbita Future (Mekhi Phifer) do złudzenia przypomina przyjaciela, mentora i producenta Eminema **Dr. Dre**.

„8. mila" nie jest filmem zrobionym wbrew znanemu już wizerunkowi, pokazującym nową twarz białego rapera czy choćby dodającym coś nowego do jego legendy. Raczej ową legendę utrwala. Rabbit jest co najwyżej nieco grzeczniejszy od Eminema i nie ma aż tak kontrowersyjnych poglądów jak jego pierwowzór. Hanson musiał swojemu bohaterowi troszeczkę spiłować rogi, by film mógł dotrzeć do jak najszerszej widowni.

„Goodbye, Goodbye Hollywood. I'm not a fucking star" („Żegnaj, żegnaj, Hollywood, nie jestem żadną pieprzoną gwiazdą") – śpiewa Eminem na swojej ostatniej płycie. I jest to największe kłamstwo, jakie ostatnio słyszałam.

MAŁGORZATA SADOWSKA

REŻ. CURTIS HANSON, USA 2002, UIP ITI

Frank (Jason Statham) wie, co to brudna robota

TRANSPORTER

LUC BESSON JAKO PRODUCENT ODDAJE HOŁD KINU AKCJI Z DALEKIEGO WSCHODU

Większość filmów sygnowanych przez Luca Bessona jako producenta (począwszy od „Taxi" – 1998, przez „Pocałunek smoka", „Yamakasi", po „Wasabi") wyrasta z zauroczenia kinem akcji z Hongkongu i Japonii. „Transporter" nie jest wyjątkiem od obowiązującej w tym gatunku reguły: minimum fabuły – maksimum akcji. Producencka pasja Bessona ma coś z zapału nawiedzonego chemika z fabryki fajerwerków, który dla spektakularnego efektu gotów jest poświęcić i fabrykę, i parę Bogu ducha winnych okolicznych domostw.

Besson eksperymentuje z obsadą i z reżyserami. Oko ma niezawodne. Przecież to on odkrył **Anne Parillaud** i **Jeana Reno**. W „Transporterze" główne role powierzył **Jasonowi Stathamowi** wyłuskanemu z filmów **Guya Ritchiego** („Przekręt", „Porachunki") i ślicznej Chince **Shu Qi**. Na reżyserskim fotelu posadził zaś Coreya Yuena rodem z Hongkongu, wziętego choreografa scen walki („Zabójcza broń 4", „X-Men"). Powstała z tego dynamiczna opowieść o byłym komandosie osiadłym w Nicei, który pracuje dla przestępczego podziemia jako kurier i wikła się w konflikt z gangiem trudniącym się przemytem uchodźców z Dalekiego Wschodu. Milutkie przy tym jest to, że twórcy „Transportera" nie udają, że chodziło im o cokolwiek innego niż nakręcenie klinicznie czystego filmu akcji.

JERZY RZEWUSKI

REŻ. COREY YUEN, FRANCJA 2002, SYRENA

SKAZA (DVD)

Gdy ten film pojawił się na ekranach, recenzje były raczej kwaśne. Pisano o szmirowatej fabule i nazbyt gimnastycznych „momentach". Ale z masy tytułów lat 90. ostał się jako jeden z niewielu, które wciąż drążą pamięć. Można ją teraz odświeżyć cyfrowo dzięki reedycji DVD. **Louis Malle** przez całą swoją twórczość (począwszy od **„Windą na szafot"**) racjonalnie analizował irracjonalne ludzkie zachowania. Zimne spojrzenie przeszywa także romans brytyjskiego polityka (Jeremy Irons) z narzeczoną własnego syna (narzeczona – **Juliette Binoche**, syn – **Rupert Graves**). Romans zakończony tragicznie, ale przedstawiony beznamiętnie, jako nieunikniona droga ku samozagładzie.

Pożądanie bez miłości – Juliette Binoche i Jeremy Irons

FOT. BE&W

LOUIS MALLE O SEKSIE I DESTRUKCJI

Wielkim atutem filmu są aktorzy. Zagadkowa Binoche, opanowana **Miranda Richardson** w roli żony i **Jeremy Irons** – jakby stworzony do ról mężczyzn ze skazą, kryjących neurozę pod obliczem angielskiego dżentelmena.

A poza tym „Skaza" to także najlepsza bodaj partytura **Zbigniewa Preisnera**, której blasku dodaje niezawodna trąbka **Tomasza Stańki**.

BARTOSZ ŻURAWIECKI („ŚWIAT FILMU")

REŻ. LOUIS MALLE, FRANCJA/WIELKA BRYTANIA 1992, BEST FILM

RYS. MAREK RACZKOWSKI

Najkrócej EUREKA Przeciwieństwo kina akcji. Niby nic się nie dzieje, a jest coraz bardziej intrygująco. **Reż. Shinji Aoyama, Japonia, 2000, Gutek Film** UPAŁY Austriacki filmowiec o chorobie toczącej jego społeczeństwo. Duszno i perwersyjnie. **Reż. Ulrich Seidl, Austria 2002, Gutek Film** PARADOX LAKE Amerykański debiut polskiego reżysera. Relacja z obozu dla dzieci chorych na autyzm łączy autentyzm z poetycką tajemniczością. **Reż. Przemysław Reut, USA 2002, Gutek Film**

TO DZIĘKI NIEMU COUNTRY UWOLNIŁO SIĘ OD KOWBOJSKIEGO STEREOTYPU. NA NAJNOWSZEJ PŁYCIE CASH ZE ZNANYCH PIOSENEK INNYCH WYKONAWCÓW CZYNI WŁASNE WYZNANIE WIARY

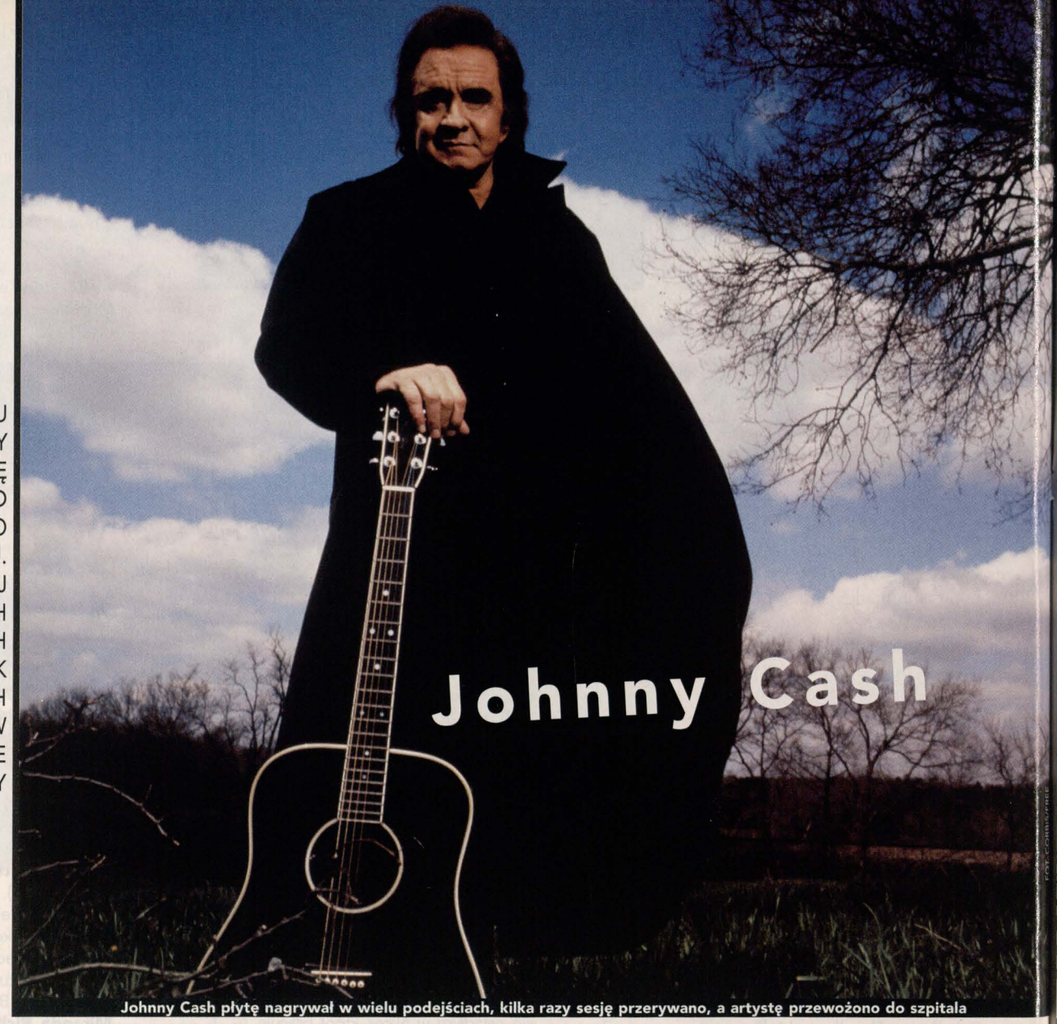

Johnny Cash płytę nagrywał w wielu podejściach, kilka razy sesję przerywano, a artystę przewożono do szpitala

BÓG, NADZIEJA, CIERPIENIE

1500 piosenek rozproszonych na 500 płytach, 48 singli uplasowanych w gorącej setce „Billboardu" (tyle samo co The Rolling Stones i The Beach Boys), ponad 50 milionów sprzedanych płyt, 11 nagród Grammy (w tym w roku 1999 za całokształt działalności), 42 lata w nieustającej trasie koncertowej. Oto najbardziej lapidarna statystyka działalności najwybitniejszego żyjącego amerykańskiego śpiewaka.

Johnny Cash – ikona współczesnej Ameryki – wciąż nie składa broni. Syn zubożałego plantatora bawełny z Kingsland w stanie Arkansas, pracownik zakładów mleczarskich i fabryki Pontiaca, który nauczył się grać na gitarze z nudów, odbywając jako ochotnik służbę wojskową w jednostce stacjonującej w Niemczech. Kariera Johnny'ego Casha nie ustępuje życiorysom współczesnych gwiazd popkultury. Cash ma na swoim koncie również czarne narkotykowe historie (lata 60.), od których ostatecznie uwolniła go druga żona i największa do dziś inspiracja June Carter (córka słynnej śpiewaczki country Maybelle Carter).

Johnny Cash najczęściej utożsamiany jest z country, rocka, folk, muzykę tradycyjną amerykańskich Indian. Nigdy nie był muzycznym konformistą. To dzięki niemu country uwolniło się od kowbojskiego stereotypu, odrywając się od tandety i efekciarstwa.

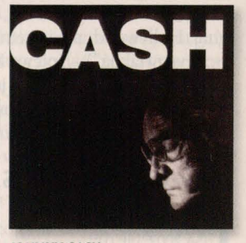

JOHNNY CASH
AMERICAN IV: THE MAN COMES AROUND
(AMERICAN)

Z countrowego środowiska wyrwał go w roku 1993 Bono, zapraszając do nagrania z U2 piosenki „The Wanderer" (płyta „Zooropa").

Za ciosem poszedł znany amerykański producent Rick Rubin, z którym w latach 90. Johnny Cash zarejestrował trzy albumy w serii American Recordings („American Recording", „Unchained", „Solitary Man"). Wszystkie trzy płyty obsypane nagrodami Grammy należą do najlepszych kart w dyskografii amerykańskiego piosenkarza. Wszystkie trzy zestawiają autorskie utwory Casha z kompozycjami innych twórców, w tym młodszego pokolenia (Beck, Glenn Danzig, Nick Cave, Bonnie „Prince" Billy). Na wszystkich Cash przyciąga do siebie światową muzyczną elitę. Paradoks? Gdy o współpracę z Cashem zabiegają najwięksi, jego utwory znikają z playlist muzycznych stacji country...

Najnowszy album jest czwartym dziełem wyprodukowanym wspólnie z Rickiem Rubinem. I kto wie, czy nie najlepszym. Johnny Cash znowu miesza autorskie kompozycje z utworami napisanymi przez innych. Ale jest to przewrotny „przekładaniec", bowiem wszystko brzmi tutaj, jakby wyszło spod pióra Mistrza.

Całość rozpoczyna przejmująca, inspirowana Biblią opowieść „The Man Comes Around" (to jedna z najlepszych jego kompozycji ostatnich lat). Później mamy już same niespodzianki: „Hurt" z repertuaru Nine Inch Nails (brzmi jak prawdziwa neurotyczna ballada), „Bridge Over Troubled Water" duetu Simon & Garfunkel (tutaj jeszcze piękniej, z drugim głosem Fiony Apple), „Personal Jesus" Depeche Mode (czystej wody gospel). I jeszcze „I'm So Lonesome I Could Cry" Hanka Williamsa z gościnnym udziałem Nicka Cave'a oraz „Desperado" spółki Glenn Frey i Don Henley wyśpiewane w towarzystwie tego ostatniego. Właściwie o każdej z kompozycji wypadałoby napisać słówko, bo każdy utwór to zamknięta, przejmująca opowieść doświadczonego człowieka. Nawet tak wyświechtany, tradycyjny „Danny Boy".

„American IV: The Man Comes Around" to zestaw 15 akustycznych utworów o miłości, wierze w Boga, nadziei, lecz także cierpieniu. Chyba nigdy wcześniej Cash nie był tak utrapiony i zmęczony życiem. W jego głosie słychać ból. Od lat artysta nękany jest chorobami (cukrzyca, choroba Parkinsona), które sukcesywnie pogarszają stan jego zdrowia (w roku 2001 przy zapaleniu płuc zapadł w kilkudniowa śpiączkę). Płytę nagrywano w wielu podejściach, kilka razy sesje kończyły się odwiezieniem muzyka do szpitala.

Mimo wszystko jest to niezwykły i piękny materiał, choć czarny i depresyjny. Dziwne dreszcze przechodzące po plecach w trakcie „Brigde Over Troubled Water" i „Personal Jesus" zamieniają się jednak w optymizm finałowego „We'll Meet Again". Cash nie traci wiary. Po nagraniu płyty wyjechał wraz z małżonką odpoczywać na Jamajkę. Teraz marzy o nagraniu płyty gospel.

JACEK HAWRYLUK

(ARISTA)

WHITNEY HOUSTON Just Whitney

Choć z życiowego zakrętu wychodzi jako cień dawnej gwiazdy popowo-soulowej wokalistyki, jej największy skarb przetrwał w nienaruszonym stanie – w wycieńczonym kokainą, wychudzonym ciele wciąż kryje się wybitny głos. Nieco gorzej jest z repertuarem, z którym staje do walki o stracony honor i popularność. Nie słychać tu przebojowej nuty piosenek ze ścieżki dźwiękowej do „The Bodyguard". Zabrakło wdzięku i klasy, jakie pozwoliły jej zabłysnąć wielkim blaskiem na poprzednim albumie „My Love Is Your Love". Z pomocą męża Bobby'ego Browna pani Houston nagrała stonowany, zachowawczy krążek, na którym definitywnie rozlicza się z niechlubną sławą ostatnich lat. Mężowi wyznaje miłość, mnie trochę usypia...

BARTEK WINCZEWSKI

(TZADIK)

JOHN ZORN
Filmworks XIII: Invitation To A Suicide

Podczas niedawnej wizyty w Katowicach John Zorn zaprezentował się jako kompozytor, nie jako wykonawca. Jak sam wyznaje w opisie niniejszej płyty, to ostatnio jego ulubione zajęcie. Amerykański saksofonista nie gra tu ani jednej nuty. 13. tom jego muzyki filmowej przynosi godzinę niezwykle przejmującej, rzewnej wręcz, choć i niepokojącej poezji recytowanej głównie przez śpiewającą gitarę Marca Ribota i wielojęzyczny akordeon Roba Burgera. O szaleństwie muzycznym kompozytora zaświadcza tu jedynie krótki i hałaśliwy finał oraz Erik Friedlander ze swą wiolonczelą; nawet jej paroksyzmy tworzą jednak szeptane tło płyty. Film, który Zorn pięknie tu zilustrował, opowiada o młodym Polaku w Stanach, który sprzedaje bilety na własne samobójstwo, by zebrać pieniądze na uratowanie ojca z rąk rosyjskiego mafiosa.

FILIP ŁOBODZIŃSKI

(XL)

BADLY DRAWN BOY
Have You Fed The Fish?

W mgnieniu oka Badly Drawn Boy (naprawdę Damon Gough) wyrósł na jednego z najzdolniejszych brytyjskich autorów. Jeszcze nie wypadła mi z głowy ścieżka dźwiękowa do filmu „Był sobie chłopiec" („About A Boy" ze znakomitym „Something To Talk About"), a Źle Narysowany Chłopiec proponuje drugi regularny album. O ile jednak muzyka filmowa utrzymana była w większości w aurze akustycznej, to tutaj mamy więcej elektrycznych, rockowych odniesień. Album „Have You Fed The Fish?" najbliższy jest grymaśnej i niepokornej naturze artysty, który daje się poznać i jako przewrotny rockman, i jako wrażliwy liryk. Badly Drawn Boy żongluje konwencją klasycznej piosenki, wkładając ją w mało rockowe aranżacje (ze smyczkami na czele). Muzyczny kameleon znudzony codziennością. I choć nieustannie powracam do płyty „About A Boy", to i nowy album miło relaksuje, zwłaszcza że w chórkach pojawia się Charlotte Gainsbourg (!).

JACEK HAWRYLUK

koncerty

10–11.01 Leon Fleisher (fortepian), **Orkiestra FN**, dyr. **Marek Pijarowski** – Warszawa, Filharmonia Narodowa

12.01 **Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy** – XI Finał, koncerty charytatywne w całej Polsce **15.01** **Stanisław Drzewiecki** (fortepian) – Białystok, Filharmonia; **Olga Pasiecznik** (sopran), **Andrzej Zawisza** (klawesyn) – Kraków, Filharmonia

trasy koncertowe

Cree – 9.01, Białystok; **10.01**, Łomża **Pidżama Porno – 10.01**, Namysłów, Avanti; **11.01**, Pszów, Dom Kultury **Pustki – 10.01**, Olsztyn, Andergrant; **11.01**, Bydgoszcz, Kuźnia; **12.01**, Toruń, Piwnica Pod Aniołem **Kazik na Żywo – 17.01**, Poznań, CK Zamek; **18.01**, Toruń, Od Nowa **UK Subs, The Vibrators** – weterani brytyjskiego punk rocka – **12.01**, Kraków, Hala Wisły; **13.01**, Warszawa, Proxima

Themerson nie był geniuszem autoreklamy, może dlatego nie wszyscy znamy jego książki. A powinniśmy

PĘDREK ODMIENIEC

JEŚLI ŹLE SIĘ CZUJECIE W SWOJEJ SKÓRZE, W GENIALNYCH KSIĄŻKACH STEFANA THEMERSONA SPOTKACIE SOBIE PODOBNYCH

W Ameryce miałby internetowy klub fanów, we Francji pomniczek w Quartier Latin, w Niemczech pełen profesorskich prac Jahrbuch, w Rosji dzieła zebrane w fałszywym pseudoskórku, we Włoszech lożę masońską swego imienia. Że jednak był osiadłym w Londynie polskim awangardowym artystą, Anglicy mieli go za nic, londyńscy Polacy – za żydokomunę, a dla rodaków z kraju jest za trudny.

Stefan Themerson (1910–1988) to jak Lem czy Gombrowicz pisarz ponad stan naszej kultury, z którym prowincjonalna ta dama nie wie, co począć. Nie był jednak jak Gombrowicz geniuszem autoreklamy, w związku z czym mało kto raczy go czytać. I nie dziwota, bo żeby choć streścić którąś z jego powieści, trzeba być nie lada majsterkiem. A żeby coś z nich pojąć, trzeba znać wszystkie. Przy czym mamy do czynienia z kimś, kto prócz prozy uprawiał eseistykę filozoficzną, film eksperymentalny, poezję i twórczość operową. I w każdej z tych dziedzin był odmieńcem.

Małżeńskie wydawnictwo Stefana i Franciszki Themersonów Gaberbocchus publikowało wyłącznie to, czego Angole znać nie mieli ochoty: paradoksalne miniatury sir Bertranda Russella czy autorów sławnych, ale na kontynencie, jak Jarry, Apollinaire lub Queneau. W efekcie przysyłane na adres „The Times Literary Supplement" książki lądowały bez odpakowania w koszu, a biblioteki brytyjskie odmawiały włączania ich do zbiorów. Jak Themersonowie wiązali koniec z końcem, nie mam pojęcia, ale swą walkę z wiatrakami ciągnęli 40 lat.

Za ciasno w Polsce zrobiło się Themersonom już w roku 1938. W Paryżu dopadła ich wojna. Franciszka przedostała się do Anglii, a Stefan, siedząc jak bąbel na wodzie w nieokupowanej Francji, posyłał jej w listach *via* Portugalia bardzo dziwną opowieść. „Wykład profesora Mmaa" był zarazem ostatnią rzeczą pisaną pierwotnie po polsku. Wszystkie następne pisał już najpierw po angielsku. Tak też powstały w roku 1951 „The Adventures of Peddy Bottom", czyli „Przygody Pędrka Wyrzutka".

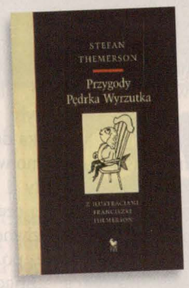

STEFAN THEMERSON „PRZYGODY PĘDRKA WYRZUTKA", Z ILUSTRACJAMI FRANCISZKI THEMERSON, ISKRY, WARSZAWA 2002

To ostatnia z bodaj 20 książek dla dzieci, jakie napisał Stefan, a zilustrowała Franciszka. Zdobyli tym sobie renomę przed wojną, a „Pan Tom buduje dom" (czyli w Anglii „Mr Rouse builds his House") to absolutna klasyka dwóch narodów. Skądinąd rzecz osobliwa, że właśnie tuż przed wojną rozerwał się w Polsce wór niebywałych książek dla dzieci: Tuwim, Brzechwa, Themerson... Lecz przedwojenne książki Themersona ujść mogą za dydaktykę, zaś „Pędrek" w literaturze polskiej nie przypomina niczego. I na tym się niegdyś poznano, gdy raz jeden jedyny, w roku 1958, „Pędrek" ukazał się w Polsce. Mimo nakładu 10 tysięcy egzemplarzy szukałem go w antykwariatach równo 30 lat.

Jak podsuwa sam tytuł, to historia małego odmieńca, który nie wie, kim jest, a osoby przez niego nagabywane też okazują się odmieńcami, tyle że to ukrywają. „Ludzie zawsze myślą – indaguje Pędrek pewnego uczonego wielbłąda – że we mnie jest coś psiego; psy myślą, że we mnie jest coś człowieczego; ryby piły myślą, że we mnie jest coś słowiczego; a koty myślą, że we mnie jest coś z ryby, i pewien kot rzucił się na mnie niedawno i chciał mnie zjeść, i muszę przyznać, że mam tego dosyć i chciałbym wiedzieć, co ja jestem, Panie Profesorze". Jak zauważono, jest to przekształcona formuła Einsteina: „Jeśli teoria względności się potwierdzi, Niemcy okrzykną mnie Niemcem, Szwajcarzy – obywatelem Szwajcarii, a Francuzi – wielkim uczonym. Jeśli okaże się błędna, Francuzi nazwą mnie Szwajcarem, Szwajcarzy – Niemcem, a Niemcy – Żydem".

Spoza uśmiechniętego tyłczastego (*bottom*) stworka wyziera tu autor-filozof, a spoza realiów baśni – całkiem realne sprzeczności naszego świata. Już przed wojną Themerson miał czelność umieścić akcję jednej ze swych książeczek w państwie Antagonii i uprzedzić dziecięcego czytelnika, że myślący inaczej trafią – prawie jak u Kafki – przed sąd przysięgłych!

Nie wiem, czy często dziś zdarza się dzieciom poczuć się odmieńcem. Pewno nie – wszystkie czytają te straszne streszczenia bajek z ilustracjami Disneya, zbierają te same pokémony i noszą portki z krokiem na wysokości kolan. Jeśli jednak wasze dziecko dotknie takie nieszczęście, „Pędrek Wyrzutek" nauczy go z nim żyć, gdyż jest to sprawa nieuleczalna. Jeżeli zaś przypadkiem jesteście dorośli i źle się czujecie w swej skórze, w dorosłych książkach Themersona spotkacie sobie podobnych. Rzecz jasna, tak twierdzę, bo sam jestem odmieńcem.

JAN GONDOWICZ

ALEKSANDER JUREWICZ „PRAWDZIWA BALLADA O MIŁOŚCI", ZNAK, KRAKÓW 2002

LEKTURA PRZY HERBATCE

KRESOWY ROMANS Z POWOJENNĄ HISTORIĄ W TLE

Nie przypuszczałam, że taką książkę da się jeszcze napisać w dzisiejszych czasach. Rzewny romans, opisy przyrody, porywy jak z Rodziewiczówny. Gdybym zdążyła z recenzją przed Bożym Narodzeniem, poleciłabym ją pod choinkę dla babć i starszych cioć, żeby sobie poczytały Jurewicza powolutku, przy herbatce, grzejąc serce wspomnieniami, a stopy termoforem. Ale drwiny na bok, historie o miłości tak łatwo ośmieszyć. Jeśli okażemy autorowi trochę zaufania, jeśli nie zrażą nas na wstępie poetyckie sentymenty, to dogrzebiemy się do sedna i odsłoni się przed nami kawałek naszej historii politycznej od najciekawszej, prywatnej, strony. Rzecz dzieje się na Kresach tuż po wojnie, ona jest katoliczką, on przybywa na białoruską ziemię razem z władzą radziecką. Ich młodzieńcze uczucie prędzej czy później musi się uwikłać w tragedię, ale ciekawiej od samej *love story* wypada tło obyczajowe. Zwłaszcza dialogi po prostu rozbrajają – bohaterowie mówią piękną, literacką polszczyzną, jakiej nikt już dzisiaj nie używa. Chcąc nie chcąc, miękniemy, a kiedy rozczuli nas do cna ta swojskość i kresowe ciepełko, robi się zdecydowanie niewesoło i za gardło łapie myśl, że to wszystko zdarzyło się naprawdę.

JUSTYNA JAWORSKA

NEIL POSTMAN „ZABAWIĆ SIĘ NA ŚMIERĆ", PRZEŁ. LECH NIEDZIELSKI, MUZA, WARSZAWA 2002

ŚMIERTELNA ZABAWKA

W NOWEJ KSIĄŻCE AUTOR „TECHNOPOLU" Z WDZIĘKIEM ZNĘCA SIĘ NAD TELEWIZJĄ

Neil Postman należy do najbardziej zatwardziałych krytyków nowych mediów. Znany od dawna w Polsce „Technopol" to atak wymierzony przeciwko komputerom (choć nie przeciwko Internetowi, którego w chwili pisania książki jeszcze nie było), a we wcześniejszym, wydanym właśnie u nas „Zabawić się na śmierć" za obiekt krytyki amerykański uczony obiera sobie telewizję. Jest ona według niego narzędziem, które posłużyło do urzeczywistnienia złego Huxleyowskiego snu – snu o społeczeństwie uzależnionym od codziennego dozowania sobie przyjemności. Autor przekonująco walczy z mitem uczenia poprzez zabawę, dowodząc, że jedynym celem edukacyjnym opisywanego medium jest uczenie, jak się ogląda telewizję, oraz przyzwyczajenie do tej czynności. Na niewielką odkrywczość tej tezy można oczywiście przymknąć oko. Jeremiady Postmana raczej nie nakłonią nikogo do pójścia na odwyk. Co jednak zabawne, delektując się lekkim i atrakcyjnym stylem jego wywodów, nie sposób nie pomyśleć o zbawiennym wpływie telewizji na przyciężkie naukowe traktaty.

MARTA MIZURO

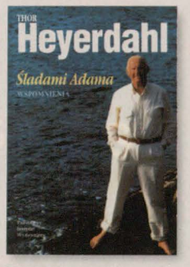

THOR HEYERDAHL „ŚLADAMI ADAMA. WSPOMNIENIA", PRZEŁ. ELLA HYGEN, PIW, WARSZAWA 2002

PODRÓŻNIK W TARAPATACH

KŁOPOTY JAMESA BONDA TO PESTKA W PORÓWNANIU Z PRZYGODAMI HEYERDAHLA

Thor Heyerdahl nienawidził dyscypliny, latania oraz pływania. Udało mu się przejść przez życie tylko bez tego pierwszego. Robił tylko to, na co miał ochotę. Przede wszystkim podróżował. Niestety, nie da się tego robić bez latania i pływania właśnie. W swoich wspomnieniach zatem usiłuje dokonać rzeczy karkołomnej. Przekonać czytelników, że cierpiał jak baron Münchhausen. Ciągle wpadał w kłopoty, a jak się już z nich wydostał, pakował się w jeszcze większe. Raz spadł z samolotu z uszkodzonym spadochronem. Innym razem nieomal zginął zagryziony przez komary. Już jako znany podróżnik wybrał się z członkami królewskiej rodziny na górski piknik. Gdy czytelnik już myśli, że przynajmniej ten rozdział wspomnień tego awanturnika obędzie się bez nawoływań o pomoc – Heyerdal wpada na pomysł, aby pokazać norweskim księżniczkom, jakim jest doskonałym treserem niedźwiedzi brunatnych. Pakuje obie panie i misia na łódkę i wypływa na wycieczkę górską rzeką. Niestety, terkot kamery księcia Haralda, który filmował sielską scenę, skojarzył się miśkowi z bzyczeniem roju pszczół. Niedźwiedź postanawia pofatygować się po ulubiony miód i – oczywiście – wywraca łódź. Ale i tym razem autorowi „Aku-Aku" udaje się ujść z życiem. Gdyby liczbą takich cudownych zdarzeń mierzyć jego wyjątkową osobowość, Heyerdahl na pewno zostałby po śmierci kanonizowany. A tak jest „tylko" autorem kilku książek, które dla każdego poszukiwacza przygód są niczym żywoty świętych dla zakonnic.

MICHAŁ WÓJCIK

WYTNIJ, WYŚLIJ I WYGRAJ

Pomiędzy Czytelników, którzy do 19.01.2003 roku nadeślą kupon konkursowy, rozlosujemy 10 egzemplarzy książki T. Heyerdahla „Śladami Adama".
Nasz adres:
Wiejska 19, 00-480 Warszawa
z dopiskiem „Śladami Adama"

Kolumny opracował Paweł Dunin-Wąsowicz

OTO OSZAŁAMIAJĄCA MIESZANKA: NIEPOKOJĄCY SCENARIUSZ 73-LETNIEGO CHILIJSKIEGO ARTYSTY ORAZ AWANGARDOWA GRAFIKA KOMPUTEROWA

NIEWESOŁE JEST ŻYCIE MUTANTA

Czym się kierujemy, kupując komiks? Przywiązaniem do serii, nazwiskiem rysownika czy scenarzysty? Zeszyty z opowieściami o kapitanie Żbiku ukazywały się całkowicie anonimowo (oprócz sygnatur rysowników), a ich scenarzysta ujawnił się dopiero po 20 latach. Albumy bywają podpisywane równorzędnymi nazwiskami rysowników i autorów scenariuszy. Są jednak takie, gdzie na okładkach nazwisko scenarzysty drukowane jest większą czcionką. Należą do nich komiksy według Neila Gaimana (patrz notka o „Sandmanie") czy choćby właśnie według Jodorowskiego.

Urodzony 73 lata temu w Chile jako dziecko rosyjskich emigrantów Alexandro Jodorowski (wymawiamy: Chodorowski) to postać renesansowa, a w historii współczesnego komiksu – wręcz pomnikowa. Wraz z Rolandem Toporem i Fernandem Arrabalem tworzył niegdyś w Paryżu literacko-teatralną Grupę Paniczną. Reżyserował sztuki teatralne i filmy. 20 lat temu chciał zekranizować „Diunę" według powieści Franka Herberta (w Imperatora miał się wcielić żyjący jeszcze Salvador Dali, projekt nie doszedł do skutku, a „Diunę" zrealizował w końcu David Lynch).

Poznał wówczas rysownika Jeana Girauda – znanego jako Moebius – dla którego odtąd zaczął pisać scenariusze. Ich wspólnym dziełem był fantastyczny cykl „Incal", niedostępny jak na razie polskiemu czytelnikowi. Na naszym rynku pojawiają się jednak dwa inne, luźno powiązane z „Incalem", cykle komiksowe powstałe do scenariuszy Jodorowskiego. Jednym z nich jest saga „Metabaronowie" rysowana przez Gimeneza (bardzo malarskie obrazki przypominające nieco Enki Bilala), drugim – właśnie „Technokapłani".

Oglądając pierwszy tom tej drugiej serii – „Technoprzedszkołę" – wracamy do pytania o to, do kogo właściwie należy autorstwo takiego komiksu. Przy pracochłonnych seriach pracuje nad albumem często kilka osób. Rysownik-gwiazdor tworzy na przykład ołówkiem, młodszy grafik zwany inkerem powleka jego szkice czarnym tuszem, ktoś inny koloruje, jeszcze ktoś inny odpowiada za literowanie. W „Technoprzedszkole" wydaje się, że prawdziwą gwiazdą albumu jest raczej nie rysownik Zoran Janjetov (wymawiamy: Żanżetow) – wierny uczeń Moebiusa, lecz współpracujący z nim kolorysta (nie wiem, czy to dobre określenie tej funkcji) Fred Beltran.

Ten album oszałamia. Historia małego Albino, bękarta-mutanta, którego matka, kapłanka Panepha, została zgwałcona przez kosmicznych piratów, na każdej stronie w inny sposób urzeka rozwiązaniami graficznymi. Bodaj po raz pierwszy umiejętności projektowania trójwymiarowej grafiki komputerowej zostały użyte w komiksie na taką skalę. Z planety, na której Panepha produkuje ser z mleka guanodontów, przeskakujemy do szkoły programistów na innej planecie, a w tej szkole wreszcie do przestrzeni wirtualnej – nierzeczywistości.

Choć Janjetov czerpie inspiracje do swoich rysunków z najróżniejszych kultur (beznogi nauczyciel Don Mossimo przypomina indyjskiego bożka), najciekawsze wydaje się to, co nie zostało narysowane, te zostawione przez rysownika puste miejsca zapełnione fantazyjnymi kolorami i cieniami Beltrana. Szkoda tylko, że żaden wydawca nie zaryzykował jeszcze druku komiksowego wyobrażenia świata wirtualnego na przykład z wykorzystaniem dodatkowej metalicznej farby.

To nie jest „poważna" *science fiction à la* Lem. Od czasu „Gwiezdnych wojen", a więc od ćwierćwiecza, przyzwyczailiśmy się do gatunku nazywanego *space opera*. Efekty specjalne dominują w nim nad ambicjami scenarzystów. „Technokapłani", w których ludzkie mutanty o zajęczych łbach dozorują produkcję sera, są komiksowym odpowiednikiem filmowej rewolucji, jaką 25 lat temu przeprowadził George Lucas. Wykorzystując twórczo technologiczny potencjał w poligrafii, wyznaczają nowy kanon efekciarstwa i równocześnie – nie bójmy się tego słowa – piękna w komiksie.

**„TECHNOKAPŁANI. TOM 1: TECHNOPRZEDSZKOŁA"
SCENARIUSZ ALEXANDRO JODOROWSKI,
RYSUNKI ZORAN JANJETOV,
KOLORY FRED BELTRAN**
EGMONT POLSKA,
WARSZAWA 2002

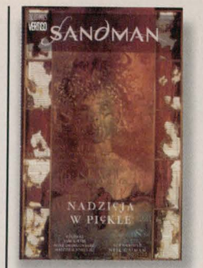

**SCENARIUSZ
NEIL GAIMAN,
RYSUNKI: SAM KIETH, MIKE DRINGENBERG, MALCOLM JONES III,
KOLORY
ROBBIE BUSCH,**
EGMONT POLSKA,
WARSZAWA 2002

SANDMAN. NADZIEJA W PIEKLE

**Ciemno w duszy się robi od oglądania nowel z drugiego wydanego już u nas tomu opowieści z cyklu „Sandman". Zło pojawiające się w nich to zło zwycięskie, potęgujące grozę, która rządzi się własną logiką (a raczej jej brakiem). Gaiman, znany także jako powieściopisarz, w swoich scenariuszach komiksowych wydaje się opętany wizją śmierci i zepsucia. Największe wrażenie robią w tym tomie „24 godziny" – historia zbiorowego szaleństwa w amerykańskim barze, szaleństwa wywołanego przybyciem dziwnego gościa.
Nowele te mają coś wspólnego z pisarstwem Stephena Kinga – niesamowitość idzie w parze z rzetelnym realizmem w psychologicznej charakterystyce bohaterów. Prace trzech rysowników łączy dziwna kolorystyka: świadomie stosowane zgryźliwe barwy potęgują uczucie rozedrgania i obłędu.**

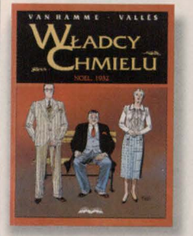

**SCENARIUSZ
VAN HAMME,
RYSUNKI VALLES,
KOLORY
MARIE-PAULE ALLUARD,**
TWÓJ KOMIKS
(ALBUM BEZ DATY
I MIEJSCA WYDANIA)

WŁADCY CHMIELU. NOEL, 1932

Komiks ekonomiczny! Oto czwarty odcinek rodzinnej sagi piwowarskiej, której akcja rozgrywa się w Belgii. Nieco zniechęcający jest zawarty na początku albumu długi wykład o strategii przejmowania browarów, nafaszerowany cyframi niczym przemówienia Władysława Gomułki, dalej jednak czyta się „Władców chmielu" jak fascynujący kryminał. W dziejach burżuazyjnej rodziny browarników (dla łatwiejszego rozeznania się w koligacjach dodano nawet drzewko genealogiczne) rozgrywają się dramaty nie tylko ekonomiczne, lecz także miłosne, a nawet polityczne. Z realistyczną fabułą współgra realistyczna grafika. Z pewnością praca rysownika podparta została solidnymi studiami scenograficznymi, głównie w dziedzinie motoryzacji (ach, te dawne auta!), choć trzeba tu zaznaczyć, że platformy z beczkami piwa są ciągnięte w tym komiksie również przez konie.

**SCENARIUSZ
PIOTR KABULAK,
RYSUNKI TOMEK PIORUNOWSKI,
KOLORY
AGNIESZKA PAPIS,**
GRAFIKON, ŁÓDŹ 2002

PAULA. EROTYCZNE PRZYGODY POCZĄTKUJĄCEJ STEWARDESY. ZESZYT 2

Czy lubią Państwo dowcipy o blondynkach? Seksowna stewardesa Paula trochę potwierdza zawarte w nich stereotypy. Po części jednak obcowanie z nią zaprzecza powszechnemu poglądowi o wrodzonej głupocie jasnowłosych panien. Swoją bezsprzeczną, choć banalną, urodę Paula wykorzystuje chętnie do ułatwiania sobie życia, prezentując specyficzny i uroczy rodzaj kobiecej inteligencji. Zdarza się jednak, że ma więcej szczęścia niż sprytu, jak na przykład w historii o wygranej w konkursie na plakat reklamowy, kiedy to upuszczony przez Paulę aparat samoczynnie fotografuje ją w wyzywającej pozie (patrz okładka). Bez wątpienia mamy do czynienia z kobietą wyzwoloną, co widać zwłaszcza w rysunkach o jej przygodach z wibratorem. Nie jest to jednak komiks pornograficzny. Chociaż autorzy zawarli na okładce ostrzeżenie „Tylko dla dorosłych", można śmiało go pokazywać młodzieży od lat 15, oczywiście za okazaniem stosownej legitymacji szkolnej.

CZWARTEK

WYJŚCIE AWARYJNE
Komedia. Aktorski popis Bożeny Dykiel w roli pani naczelnik gminy. Dowiedziawszy się, że jej jedynaczka zaszła w ciążę, postanawia szybko wydać ją za mąż, by uniknąć kompromitacji. Zięcia chce koniecznie znaleźć w mieście.
Dla wszystkich, którzy czerpią perwersyjną przyjemność z oglądania PRL-owskiej egzotyki.
REŻ. ROMAN ZAŁUSKI
2 TVP, 20.00

SEKTY ŚMIERCI
Dokument. Pierwszy z cyklu filmów o działających współcześnie sektach, m.in. Świątyni Ludu, Najwyższej Prawdzie, Świątyni Słońca, Wyznawcach Dawida. Autorzy ujawniają mechanizmy działania tajemniczych wspólnot i stowarzyszeń, opisują metody rekrutacji, proces prania mózgu, wreszcie pokazują ich destrukcyjną moc. Ku przestrodze.
REŻ. CATHERINE BERTHILLIER, BERNARD VAILLO
2 TVP, 0.20

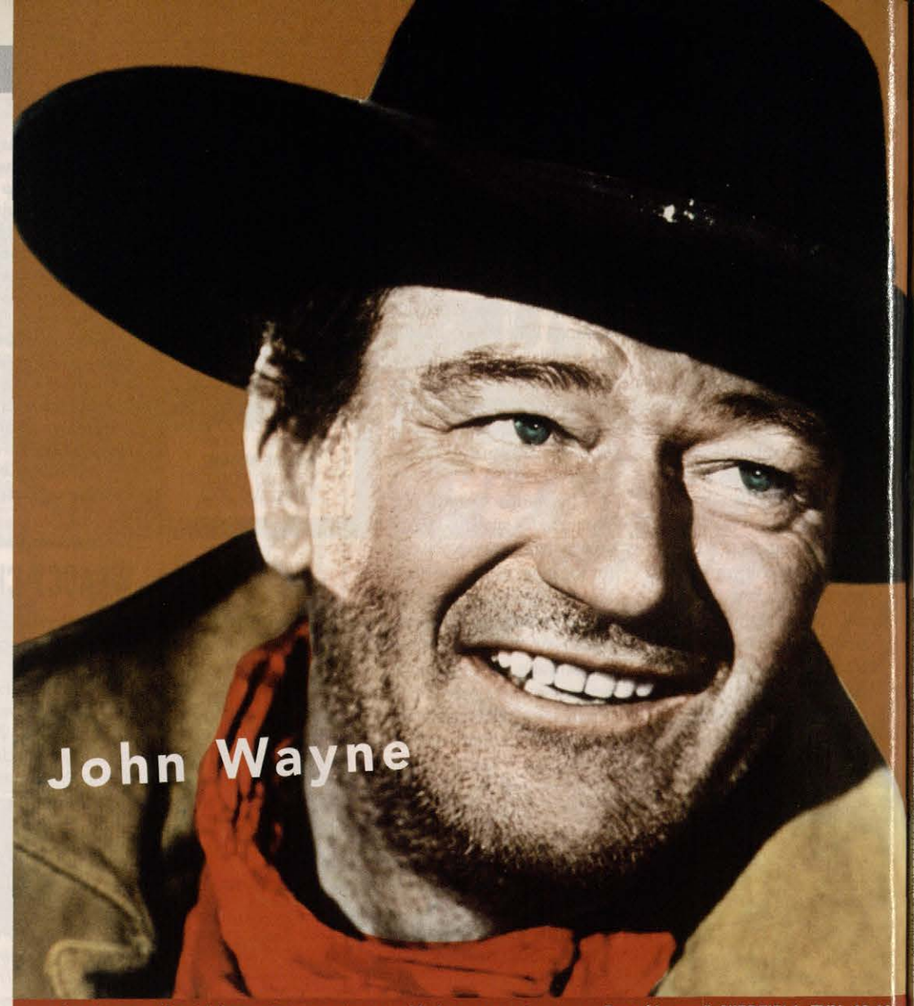

John Wayne, „człowiek honoru", tym razem zagrał bohatera negatywnego. „Poszukiwacze", NIEDZIELA, TVN, 10.10

PIĄTEK

MADAME SOUSATZKA
Obyczajowy. Shirley MacLaine w roli, która przyniosła jej Złoty Glob i nagrodę na festiwalu w Wenecji. Starzejąca się Rosjanka Madame Sousatzka uczy gry na pianinie, ale nie chce pogodzić się z tym, że uczniowie z czasem się usamodzielniają. Tak samo nie może przeboleć, że zmienia się świat wokół niej. Melancholijny film w starym, dobrym stylu, który też już odszedł.
REŻ. JOHN SCHLESINGER
2 TVP, 10.20

SOBOTA

BALLADA O STAŃCE
Reportaż. Jesienią Tomasz Stańko grał w najlepszych amerykańskich klubach jazzowych. Teraz na własne oczy możemy się przekonać, że trasa okazała się wielkim sukcesem. W reportażu znalazły się fragmenty koncertów, wywiady i wypowiedzi ludzi, którzy przyszli posłuchać polskiego wirtuoza trąbki.
WOT, 11.45

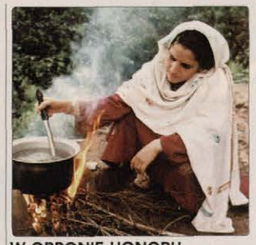

W OBRONIE HONORU
Dokument. Wielokrotnie nagradzany wstrząsający film o życiu kobiet w Pakistanie. Pozbawione jakichkolwiek praw są więźniami we własnych domach. Nie mogą decydować o przyszłości, uczyć się, wychodzić za mąż z miłości. Te, które próbują się buntować, są torturowane. Już samo posądzenie żony o zdradę wystarczy, by ją bezkarnie zabić. Morderstw nie dokonuje policja czy wynajęci przez państwo kaci, lecz mężowie, ojcowie, synowie i bracia. W obronie swojego honoru.
REŻ. OLENKA FRENKIEL, GISELLE PORTENIER
2 TVP, 19.00

ROB ROY
Przygodowy. Dla wielbicieli epickich kostiumowych opowieści, nakręconych z rozmachem, pełnych malowniczych przygód, pojedynków na miecze, zdrad i pułapek. Dzieje szkockiego Robin Hooda, czyli mocno podretuszowana historia według powieści sir Waltera Scotta.
REŻ. MICHAEL CATON-JONES
1 TVP, 20.10

NIEDZIELA

POSZUKIWACZE
Western. Steven Spielberg, George Lucas i Martin Scorsese to tylko najwięksi z tych, którzy przyznali, że ten film wywarł ogromny wpływ na ich własną twórczość. W „Poszukiwaczach" John Ford pokazuje ciemną stronę mitu, który sam budował: surowego, lecz szlachetnego Dzikiego Zachodu. Do tego w roli negatywnego bohatera obsadził Johna Wayne'a, do tej pory postrzeganego jako wzór uczciwości i zasad. Przepięknie sfilmowany western Forda zaliczany jest dziś do arcydzieł kina.
REŻ. JOHN FORD
TVN, 10.10

PONIEDZIAŁEK

IDIOCI
Dramat. Grupa ludzi żyjąca w komunie próbuje wcielić w życie utopię absolutnej autentyczności. Chcą wyzwolić się z narzuconych przez kulturę sposobów wyrażania siebie, okazywania emocji i uczuć, zaspokajania potrzeb ciała. Eksperyment, w którym uczestniczą, to swego rodzaju nieustająca psychoanaliza. Okazuje się jednak, że bohaterowie tylko zamieniają jedne maski na inne. Z wyjątkiem pewnej kobiety...
Film von Triera zrealizowany zgodnie z założeniami „Dogmy" (czyli jak najmniej sztuczności) to też eksperyment: dla jednych genialny, inni uważają, że von Trier po prostu robi z nas idiotów...
REŻ. LARS VON TRIER
1 TVP, 0.20

BILLIE HOLIDAY
Dokument. Miała jeden z najwspanialszych głosów i wyjątkowo skomplikowane życie. Billie Holiday jako 11-latka została zgwałcona, mając lat 14, zarabiała w burdelu i śpiewała w nocnych klubach. Cztery lata później nagrała płytę. Osiągnęła sukces i wszystko zaprzepaściła. – Heroina, alkohol, trawka, mężczyźni, kobiety. Była niezwykle żądna wrażeń – wspomina jeden z jej przyjaciół. Ale inny dodaje: – Nie sądzę, żeby miała smutne życie. Żyła tak, jak jej się podobało!
REŻ. DAVID F. TURNBULL
CANAL+, 22.30

WTOREK

PLUTON
Wojenny. Młody żołnierz rzucony w tryby wietnamskiej rzezi wbrew własnej woli i świadomości przechodzi żołnierską edukację i uczy się zabijać. Z chęci przetrwania, ze strachu, z obowiązku, z poczucia sprawiedliwości. Stone genialnie zanalizował reguły, którymi rządzi się wojna.
REŻ. OLIVER STONE
POLSAT, 21.15

MY, DZIECI Z DWORCA ZOO
Dramat. Ekranizacja głośnej książki, której autorką jest była narkomanka. Berliński dworzec Zoo to miejsce spotkań kilkunastoletnich ofiar nałogu i dorosłych, którzy wykorzystują ich chorobę.
REŻ. ULRICH EDEL
2 TVP, 22.40

ŚRODA

SCHYŁEK LATA
Obyczajowy. Trzy siostry utrzymują się wzajemnie w przekonaniu, że prowadzą udane, szczęśliwe życie. Ale podczas dnia, który spędzą na przygotowaniach do rodzinnej uroczystości, wyjdą na jaw skrywane przez nie mroczne tajemnice.
Wietnamski reżyser zrealizował bardzo zmysłowy film, którego niebywała uroda, wizualna bujność skrywają w sobie zapowiedź zniszczenia i rozpadu. Ów dekadencki klimat współtworzy starannie dobrana muzyka – m.in. Velvet Underground i Lou Reeda.
REŻ. ANH HUNG TRAN
CANAL+, 21.00

KRUK
Horror. Pomyśleć, że od takich produkcji zaczynał karierę Jack Nicholson. „Kruk" to kultowy dziś film klasy B, bardzo swobodna (by nie powiedzieć swawolna) adaptacja opowiadania Edgara A. Poego. Fani uwielbiają „Kruka" za fatalną reżyserię, dziwaczne efekty specjalne i okropny dowcip. Bo to bardzo zabawny horror, który w pełni zasłużył na miano doskonałego na Halloween dla całej rodziny.
REŻ. ROGER CORMAN
ALE KINO!, 18.25

DZIKA LOKATORKA
Komedia wyreżyserowana przez człowieka, który wymyślił Świnkę Piggy. Czy może istnieć lepsza rekomendacja? Bohaterem filmu jest architekt, który porzucony przez narzeczoną spędza noc z przypadkowo poznaną kelnerką. Jeśli architekta zagrał Steve Martin, a kelnerkę Goldie Hawn, łatwo się domyślić, że na jednej nocy się nie skończy...
REŻ. FRANK OZ
POLSAT, 21.15

PRZEKRÓJ
Założył w roku 1945 w Krakowie Redaktor MARIAN EILE

ADRES REDAKCJI:
UL. WIEJSKA 12A, V P., 00-490 WARSZAWA,
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 25 25,
FAKS (0-PREFIKS-22) 584 25 21
E-MAIL:
redakcja.przekroj@edipresse.pl
REDAKTOR NACZELNY – WYDAWCA:
Piotr Najsztub
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO:
Jacek Kowalczyk, Bogna Świątkowska
DYREKTORZY ARTYSTYCZNI:
Elżbieta i Bogdan Zochowscy
ASYSTENTKA REDAKTORÓW NACZELNYCH:
Anna Romotowska
SEKRETARZE REDAKCJI:
Marcin Baran, Magda Gędziorowska, Maria Świetlik (zastępca)
KULTURA:
Manana Chyb (szef), Marcel Andino Velez, Paweł Dunin-Wąsowicz, Tadeusz Nyczek, Małgorzata Sadowska, Andrzej Saramonowicz, Marcin Sendecki, Justyna Sobolewska
WYDARZENIA:
Wawrzyniec Smoczyński (szef), Małgorzata Fiejdasz, Filip Łobodziński, Jakub Mielnik, Magda Papuzińska, Maks Suski, Michał Wójcik, Aleksandra Zawłocka
NAUKA:
Jan Stradowski (szef), Olga Woźniak
ROZRYWKA:
Paweł Sito (szef), Marcin Pieszczyk
PRACOWNIA GRAFICZNA:
Piotr Gidlewski (szef), Maria Klich, Małgorzata Laska, Dominika Raczkowska, Dominika Szczechowicz, Krzysztof Zakrzewski
PAN OD RYSUNKÓW:
Jacek Ziemiński
FOTOEDYCJA:
Anna Majewska (szef), Marcin Kędryna, Ewa Morgunow, Marek Szczepański, Bogdan Krężel (fotograf)
KOREKTA:
Lucyna Dyczkowska (szef), Tatiana Hardej, Dariusz Janiszewski
ARCHIWUM:
Wanda Lacrampe (szef), Dominika Bok
PRODUKCJA:
Agencja Poligraf – Maciej Kowalski
REDAKTOR TECHNICZNY:
Alan Jawor
SEKRETARIAT:
Iwona Chmielewska
EDIPRESSE POLSKA
WYDAWCA:
EDIPRESSE POLSKA S.A.
UL. WIEJSKA 19, 00-480 WARSZAWA,
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 22 00,
FAKS (0-PREFIKS-22) 584 22 01
PREZES WYDAWNICTWA:
Zbigniew Napierała
WICEPREZES:
Krystyna Kaszuba
WICEPREZES-DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY:
Ewa Redel
DYREKTOR FINANSÓW:
Paweł Satkowski
DYREKTOR WYDAWNICZY:
Ewa Niezbecka
DYREKTOR MARKETINGU:
Izabela Bochenek
DYREKTOR DS. ROZWOJU I KONTAKTÓW MIĘDZYNARODOWYCH:
Agnieszka Smit
DYREKTOR PUBLIC RELATIONS:
Katarzyna Bem
DYREKTOR TYGODNIKA „PRZEKRÓJ":
Michał Broniatowski
DZIAŁ DYSTRYBUCJI:
Grzegorz Barej – dyrektor
DZIAŁ PROMOCJI:
Marcin Fedisz (kierownik)
BIURO REKLAMY:
Andrzej Matuszczyk – dyrektor, Bartek Kluczny, Adriana Olczak, Marzena Kiedacz (Kraków)
Warszawa, ul. Wiejska 19,
tel. (0-prefiks-22) 584 22 95, 584 22 96
faks (0-prefiks-22) 584 22 98
DRUK:
WINKOWSKI SP. Z O.O. – RADZYMIN
PAPIER: OKŁADKA – LUMIART 90 G, ŚRODEK – STELLA PRESS 60 G;
PRODUCENT – STORA ENSO
PRENUMERATA: U WYDAWCY
Izabela Dębska, Agnieszka Bogdańska
TEL. (0-PREFIKS-22) 584 22 29 LUB 584 22 30
FAKS (0-PREFIKS-22) 584 22 32
PRZEZ POCZTĘ
PRZEDPŁATY PRZYJMUJĄ URZĘDY POCZTOWE NA TERENIE CAŁEGO KRAJU
PRZEZ RUCH SA
INFORMACJA TEL. (0-PREFIKS-22) 532 87 31, FAKS (0-PREFIKS-22) 532 87 32

ARTYKUŁÓW NIEZAMÓWIONYCH NIE ZWRACAMY. REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ZMIAN I SKRÓTÓW W NADESŁANYCH ARTYKUŁACH I LISTACH.

Dziennik z krainy

PAZŁOTKA

DOROTA MASŁOWSKA

FOT. BOGDAN KRĘŻEL

Nie ma o czym myśleć

Przez zasłony dobiega niedziela, zimna, błękitna, porżnięta szkłem. Niedziela parująca z ust, nie ma liści, są same gałęzie, są same druty, linie wysokiego napięcia oblepione ptakami, figurkami z czarnej, zamarzniętej porcelany, małym, czarnym, powieszonym do góry nogami praniem. Niedziela czysta i chropowata jak świeżo uprana pościel, świeżo uprany kołnierzyk, umyta i wytarta ze smug szklanka. Jesteśmy ciepli, brudni i śpimy tak, jak się położyliśmy, w spodniach, w butach, w śmieciach, puszkach, kieliszkach, skórkach po pomarańczach. Posypani rudym piaskiem, żeby się po sobie nie ślizgać, żeby się na sobie nie przewrócić. Pod wielkim kaloryferem, którego nie da się zakręcić i który oddycha prosto na nas mętnym, żółtym gorącem. Jak przymocowane pod sufitem, zdeformowane i tępe słońce, na którego sterczących żebrach zwykliśmy suszyć spodnie i skarpetki. Na parę godzin zamknęłam oczy i pod moją nieobecność coś się działo, głośno i wyraźnie przemówiło jakieś radio dające zwykle niemrawy i gasnący sygnał, jakieś nieznane dzieci brały udział w licznych wypadkach na drogach, umierały w zbyt płytkich rzekach. Kiedy budzę się, to jakbym nareszcie trafiła na własny adres i numer telefonu w jakimś bezgranicznym, chorobliwym, źle oświetlonym mieście. Kluję się ze snu, jeszcze trochę skażona, przestraszona, że tu za mną wejdą, wybiją szyby w oknach, zabiorą i uciekną, że znajdę ziemię na dnie kieszeni.

Jest niedziela, jestem zrobiona z bibułki, leżę w łóżku chorowita i delikatna jak ozdoba choinkowa, jak wycinanka z serwetki, jak gotowane mięso z kurczaka i jestem gotowa w każdej chwili zgnieść się, jestem gotowa w każdej chwili umrzeć na zapalenie duszy, na przegrzanie, na czarne choroby tropikalne, umrzeć na tabletki, na ulotki od tabletek. Te wszystkie rzeczy, których nie dowiedziałam się z książek, o których nie było w ćwiczeniach i podręcznikach, ekierkach i piórnikach, blokach rysunkowych i kredkach świecowych i których muszę uczyć się na żywo, szybko, coraz szybciej. Jestem postacią z serialu dla dzieci i młodzieży, której krew leci najwyżej z łokci, gwałtownie występującą w dekoracjach przeznaczonych tylko dla widzów dorosłych.

Na szyi Krzysia jest blizna od noża, równa, różowa i podwójna jak jeden z tych naszyjników, które Blake kupował Crystal na mnożące się rocznice ślubu. Są jeszcze wzdłuż twarzy, biegną przez dłonie, razem z innymi niezobowiązującymi liniami, bo wybił szybę rękami. Siedzi przede mną, Mickey Knox w bluzie z napisem „Perła" na piersiach, przyniósł mi wielkiego, niebieskiego kwiata w papierze, wstawił do butelki po winie i uśmiecha się, blizny, brunatne, wypukłe rzeki płynące przez jego twarz zmieniają bieg i płyną wtedy w inną stronę. Człowieka to bym nie zabił chyba. Zabiłbyś – mówię. Nie, bym nie zabił chyba. Zabiłbyś – mówię, zobacz, ty masz za mało strachu, ty się za mało boisz. No, to bym może go zabił, ale czasem jest mi przykro, jak się w stoczni pobili, pocięli nożami, to mi było przykro z nich dwóch. Albo z żebraczek jest mi przykro, jak chodzą wte i wewte, płakać mi się chce.

Rozgniata orzechy w rękach i wygrzebujemy je nożem z łupin, są suche i małe jak martwe dzieci.

Co wy, wy macie depresję? Jebnięci jesteście, a nie macie depresję. Jecie tabletki, nie jedzcie tych tabletek, to przez te tabletki jesteście smutni. Pomyślcie sobie o czymś miłym. Kochajcie coś, trzeba kochać coś. O co wy jesteście smutni, wy cały czas myślicie. Za dużo myślicie, nie ma o czym myśleć. Trzeba żyć.

CD. W NASTĘPNYM NUMERZE

Daję słowo

JERZY BRALCZYK

Oczywiście

Z „**oczywiście**" **oczywiście** sprawa jest szczególna. Kiedy tak mówię, zakładam, że wiesz i mnie rozumiesz. I że się **oczywiście** zgadzasz. I że nie masz pretensji, że mówię rzeczy **oczywiste** – nie możesz **oczywiście** mieć, bo Cię przecież uprzedzam, że to **oczywiście oczywiste**. **Oczywiście** Ty to wszystko wiesz („**oczywiście**" to też **oczywiście** komplement).

„To było **oczywiście** przypadkiem" – mówię. Nie myśl, że specjalnie, zresztą i tak byś wcale nie pomyślał, **oczywiście**, ale wolę to **oczywiście** powiedzieć, bo jak nie powiem, to **oczywiście** będzie potem, że nie powiedziałem. A **oczywiście** powinienem, **oczywiście** tylko na wszelki wypadek, ale zawsze. Dobrze się upewnić. „**Oczywiście**" upewnia.

To jedno ze słów, które wypowiadam najczęściej. Sam się pewnie tak upewniam. Tak często mówię „**oczywiście**", że już nie słyszę, kiedy mówię. I **oczywiście**, kiedy nie mówię.

Z entuzjazmem lub rewerencją przytakuję: „**Oczywiście** tak!" i zgadzam się: „Ależ **oczywiście**, bardzo proszę!". Nie ma wątpliwości. Nie może być. Ty je czasem masz i pytasz: „Zrobiłeś to?". A ja odpowiadam: „**Oczywiście**!". Cóż za pytanie. „**Oczywiście** zrobiłem!". Lub zaprzeczam, często z oburzeniem: „**Oczywiście**, że nie!". Za kogo Ty mnie masz?

Inaczej być nie mogło i nie może. Trzeba się było tego spodziewać. Stało się. **Oczywiście** tak właśnie się stało. **Oczywiście** się spóźniłeś. Jak zwykle. Nie można na Ciebie liczyć. A ja **oczywiście** zaspałem. Tego tylko brakowało. Częściej takie **oczywistości** są przykre niż pomyślne. Mówię tak, gdy spostrzegam, że zapomniałem o rozsądnym, pesymistycznym widzeniu świata i myślałem, że jest lepiej, niż jest. **Oczywiście** nie jest. To **oczywiście** nie wszystko o „**oczywiście**". Ale już coś.

RYS. JAROSŁAW JURGA

Dziennik z placu

INWALIDÓW

ZBIGNIEW MENTZEL

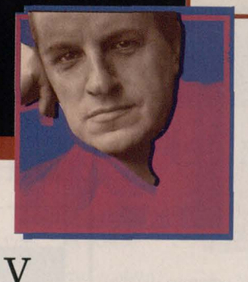

FOT. MAREK SZCZEPAŃSKI

Ostatni pług wojewody

Spośród wszystkich kilkudziesięciu świąt Nowego Roku w moim życiu najbardziej niezwykły, najlepiej pamiętany jest bez wątpienia Nowy Rok 1980.

W wigilię tamtego święta, w sylwestra 1979, „zima stulecia" panująca nad kontynentem zaczęła dawać się we znaki Europie Wschodniej. Gęsty śnieg padał w Warszawie od samego rana i już pod wieczór komunikacja miejska została całkowicie sparaliżowana. Mieszkałem na prawym brzegu Wisły; żeby dotrzeć do centrum, gdzie umówiłem się ze znajomymi, trzeba było sforsować rzekę. Brnąłem po śniegu z Saskiej Kępy, mijając po drodze przegubowe autobusy tkwiące nieruchomo w zaspach. Most Poniatowskiego z zamgloną wieżyczką na rogatce wyglądał jak skocznia narciarska w Garmisch-Partenkirchen. I rzeczywiście, byłem w połowie mostu, gdy wyprzedziło mnie dwóch narciarzy w czerwonych kombinezonach. Obuczeni plecakami sunęli równym krokiem w stronę Komitetu Centralnego; przez moment widziałem ich rozradowane twarze.

W kawiarni Bajka na Nowym Świecie czekali na mnie Antoni Libera i „Szpot", Janusz Szpotański, obaj w wyśmienitych humorach. Kelnerka włączyła radio, nadawano wiadomości, spiker mówił z przejęciem o katastrofalnych opadach śniegu w Szkocji. „Edynburg odcięty od świata" – oznajmił grobowym głosem i wszyscy w kawiarni wybuchnęli śmiechem. Wzmocnieni gorącą herbatą i albańskim koniakiem, powtarzając co chwila to surrealistyczne „Edynburg odcięty od świata", poszliśmy na ulicę Długą do mieszkania Joli i Marka Nowakowskich. Punktualnie o ósmej Edward Gierek wygłaszać zaczął w telewizji orędzie noworoczne, ale gdy tylko, swoim charakterystycznym gestem, uniósł znad kartki głowę i zamrugał powiekami, ekran zgasł. W całej dzielnicy wyłączono prąd. Przyjęliśmy ten znak z ogromnym entuzjazmem, jakby Proroctwo Ezechiela, przypomniane pół roku wcześniej przez Papieża, miało za chwilę spełnić się na naszych oczach. Czy kończył się komunizm? Było tak, jak powiedział później Andrzej Kijowski, „ludzie, ziemia, maszyny razem stanęły dęba i wydawało się, żaden bat, nawet największy, nic już na to nie pomoże".

Co jeszcze pamiętam z tamtej apokalipsy Nowego Roku 1980? Toasty o północy w mieszkaniu wybitnego malarza Henryka Stażewskiego, jego pomalowane w kubistyczne wzory kapcie, taniec dwóch znanych mecenasów i wybitnego prozaika, któremu pewien dyplomata przywiózł z Paryża gumową maskę Leonida Breżniewa; pasowała jak ulał... Niezwykła to była noc, niezwykła... A potem, już nad ranem, szalona jazda z placu Dzierżyńskiego na Żoliborz. Jechaliśmy z Antonim Liberą, zabrani życzliwie przez kierowcę pługa Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania. Pług był zepsuty, nie nadawał się do odśnieżania, ale jeździł straceńczo z wysoko uniesioną płozą, ostatni pług wojewody... Kierowca skwapliwie przyjąwszy od nas poczęstunek, pił szampana z butelki, trzymając kierownicę jedną ręką.

„Panowie – mówił i patrzył na nas z wielką serdecznością. – Panowie, niedługo wszystko to rozleci się w piździec!".

Rozumieliśmy, o co mu chodzi. Jeśli komunizm naprawdę skończył się w Polsce 4 czerwca 1989 roku, dziewięć lat wcześniej, tamten Nowy Rok był z pewnością czymś znacznie więcej niż początkiem końca.

CD. W NASTĘPNYM NUMERZE

MACIEJOWSKI *ĆWIERĆ STRONY GRATIS*

©MARCIN MACIEJOWSKI

ROZSTANIE

RODZINA OBŁYCH

DZIWNE WRAŻENIE

Pan Obły idzie ulicą. Ma nieprzyjemne wrażenie, że wszyscy mijani przez niego ludzie przyglądają mu się z przesadną uwagą. Po powrocie do domu zwierza się żonie.

– Tak ci się tylko wydaje – uspokaja go pani Obła.

Pan Obły przegląda się w lustrze, ale nie widzi w swoim odbiciu nic osobliwego. Wychodzi na balkon, żeby odetchnąć. Z bloku naprzeciwko dziesiątki par oczu obserwują każdy jego ruch.

RYS. PAULUS MADUR

WNĘTRZE KOMINA

Pan Obły udaje się z synem do kina na film sensacyjny dla młodzieży.

W kulminacyjnej scenie filmu główny bohater powoli zagląda do wnętrza komina. Syn Obły nie wytrzymuje napięcia i zamyka oczy. Gdy je otwiera, jest już po filmie. Na ekranie przesuwają się napisy.

– Co było w środku? – pyta syn.

Pan Obły nie odpowiada. Żałuje, że nie zamknął oczu.

PATRYK PAJĄK

WINNY

BIEŃCZYK

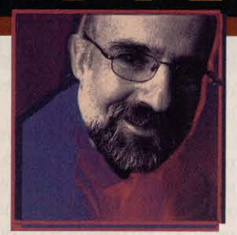

MAREK BIEŃCZYK

Wróżenie z ceł

Spróbujmy wywróżyć, co przydarzy się w naszym winiarskim światku w ciągu najbliższych lat, a nawet miesięcy

Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju, ale może da się być prorokiem we własnej Europie? Albowiem czeka nas zaiste, o ty, kochana cząsteczko (najsłodszy ułamku, najmilsza drobinko) ludu polskiego, która miłujesz wino, wiele zmian i niejeden konsument poczuje ulgę, i niejeden importer zapłacze.

Kiedy w maju 2004 roku runą bariery celne, wszyscy moi znajomi i inni ludzie rozsądni wsiądą do aut i ruszą do ościennych, lecz już swojskich, krajów, by kupić zapas wina na cały rok. Od chwili gdy Dania i Szwecja wlazły do Europy, można tam wwieźć jednorazowo sto litrów wina. Tysiąc lat polskiej historii dowodzi co prawda, że nie będzie od razu tak pięknie, że coś tam się ograniczy, abyśmy nie zapomnieli o ironii dziejów i przy okazji o nowych łapówkach dla celników, lecz w końcu jak wszyscy, to wszyscy, Polska też. Dlatego, miłośniku wina, bez względu na sympatie polityczne, miłość czy niechęć do wieży Eiffla i Bramy Brandenburskiej pobiegniesz na referendum i powiesz „tak" dla taniego *chianti* i dla *bordeaux* za półdarmo. Inaczej Partia Wina ci nie przebaczy, wykreśli cię i utopi w spirytusie albo wrzuci do polskiego kotła z bigosem.

Kiedy w maju 2004 roku runą cła, ceny win w Polsce – surrealne jak zegary na płótnach Salvadora Dalego – spadną o 25–30 procent. Lecz i to będzie nam, najmilsza drobinko, za mało. Biada tym importerom grubasom, którzy zrzucą zbyt mało, oraz tym, co nie zlikwidują łańcucha pośredników, tego nadmiaru wyciągniętych rączek, po których butelki turlają się do Polski. Jeśli nie dostosują cen polskich do niemieckich czy litewskich, będą pili do lustra i czkali ze smutku. Przewiduję, że od początku roku 2004 zaczną się ogromne wyprzedaże, gdyż w maju nikt świadomy nie będzie kupował butelek po starych, rzeźnickich cenach.

I widzę też przyszłość ogromną dla małych importerów kupujących wina bezpośrednio od winiarzy, wedle własnego gustu. I dla tych sklepów, które będą na własną rękę sprowadzały wybrane wina, zamiast pobierać z hurtowni stałe zestawy przysyłane przez wielkich dystrybutorów. Będzie ciekawiej także w restauracjach, z których każda ma co prawda własny przepis na tiramisu, lecz wina serwuje te same co wszystkie inne.

Kiedy w maju 2004 roku wszystko się zmieni, będzie taniej i lepiej również w supermarketach, które wciskają narodowi wymiotne ciecze i inne uryny. Ostatnio odbyła się w redakcji miesięcznika „Wino" degustacja 21 win węgierskich do 20 złotych. Jedno z nich było porządne, dwa można było od biedy wziąć do ust, resztę powinno się wlać na czczo do słoiczków i zanieść do analizy. A przecież na Węgrzech robi się już wiele przyzwoitych, niedrogich win. Pija już je cała Europa i pić będziemy my. Jak wszyscy, to wszyscy, Polska też. A na razie trzymaj się, kochana cząsteczko, płucz kieliszki, chrap zdrowo w śnie zimowym. Oby do (nie tej, następnej) wiosny! ■

Seria bardzo dobrych win obiadowych ze słynnej posiadłości langwedockiej Mas de Daumas Gassac – Moulin de Gassac. 27 złotych w składzie wina przy restauracji Zielony Młyn w Koszalinie. Te i inne tanie wina sprowadza bezpośrednio od producenta dwuosobowa firma rodzinna

KRZYŻÓWKA nr 2

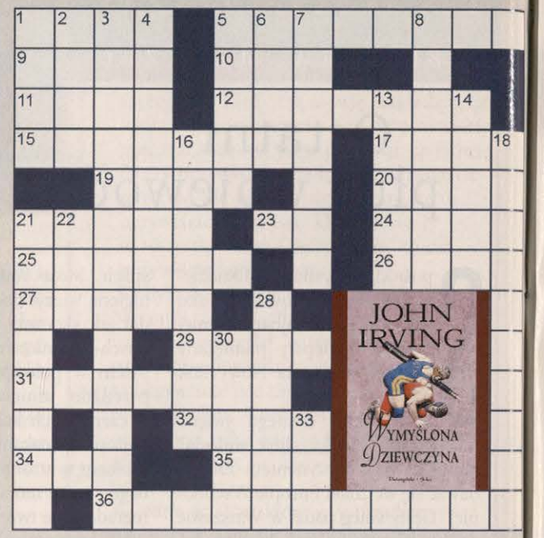

POZIOMO:
1. rozumna sąsiadka
5. partyjna koleżanka Rencistów
9. jądrowa planeta
10. wciskany w Publicznej
11. część długu w kracie
12. pcha mimo woli
15. wymyślił mówienie do czaszki na scenie
17. księżniczka tam i z powrotem
19. jak bonie dydy
20. główna rura w murach
21. misja Rywina
23. mnożone przez drzwi
24. Wujek Dobra
25. u żurawia na łańcuchu
26. lotnik Breughla
27. klej do bocianów
29. nieświeża komórka
31. Kalisz z Warszawy
32. z jej d... trąba
34. izba na górze
35. od Wiktorii do Aleksandrii
36. kad i dwie abry

PIONOWO:
1. do obierania
2. przed U2
3. fanka Marksa, Lenina i Lwa Rywina
4. dusicielka
5. kupa amatorów w wyniku wyborów
6. Morris nad kolanka
7. azbestowa strzecha
8. glina pod przykrywką
13. tam Gorki „Matkę"
14. jak nie da, to elektroda
16. goni kotów w przedszkolu
18. nierządnik (polit.)
21. ćwiartka na czas
22. coroczny do urzędu kwit
28. ranny nieprzyjaciel
30. weselna broń masowego rażenia
33. dziewczynka w sali

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI nr 50

Poziomo:
1. gwizd 4. cadyk 7. freon 8. parki 9. nora 11. trup 14. panegiryk 19. mazda 20. Orgon 21. Rasmussen 22. rumak 23. Tonga 24. orka 26. eter 27. szlam 30. Argos 33. ewenement 35. beret 36. argot 37. raskolnik 42. takt 44. plan 45. rólka 46. zadra 47. kasta 48. sarna

Pionowo:
1. gafa 2. Irena 3. Danae 4. Capri 5. derby 6. kwit 9. Namur 10. Razem 12. REGON 13. Panna 14. parkometr 15. Nos 16. gruz 17. ruszt 18. kontratak 25. Kleks 27. sabat 28. liryk 29. Veto 31. Gogol 32. szton 34. eon 38. atlas 39. klapa 40. lizus 41. indor 43. trik 44. papa

Za poprawne rozwiązanie **krzyżówki nr 48** nagrody wylosowali: Jan Mach, Rzeszów; Jolanta Madyńska-Kaszuba, Zielona Góra; Andrzej Nachtlicht, Bogatynia; Kazimierz Roman, Gorlice; Maria Zawirska, Końskie. **Gratulujemy!**

KULINARNE

PIÓRO

POLSKI

Kuchnia muzułmańska

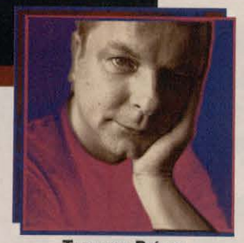

TADEUSZ PIÓRO

Jak nie opaść z sił pośród karnawałowych szaleństw i trzaskających mrozów

Po spacerze w mroźny, słoneczny dzień lub w przerwie między tańcami warto skosztować tradycyjnej potrawy muzułmanów z północy Indii, czyli baraniny w mroczno-erotycznym sosie z migdałów i wyuzdanych przypraw. Zależnie od nastroju i aprowizacji przyrządzać ją można z baraniej łopatki lub wołowiny „na gulasz". Sprzedawana pod taką nazwą zbieranina przypadkowych ścinków z różnych części wołu stanowi pewne ryzyko, lecz doświadczony konsument na pierwszy rzut oka dojrzy, czy proponuje się mu melanż odpadów, czy też obiecującą, nawet byczą intrygę. Kilogram baraniny lub wołowiny pokrojony w trzycentymetrową kostkę nasyci sześcioro spacerowiczów lub ośmioro rozochoconych tancerzy.

Najpierw trzeba mięso podsmażyć w gorącym oleju, w którym przez kilka sekund nadymały się dwie suszone papryczki chili, zaś sześć strączków kardamonu, 12 goździków i kilkanaście ziaren czarnego pieprzu podskakiwało obok nich w radosnym podnieceniu. Mięso podsmażamy partiami, bo całe się na raz nie zmieści; wybierając daną partię z patelni łyżką cedzakową, należy zadbać o to, by nadęte papryczki i ich towarzysze pozostali w gorącym oleju i swym aromatem przenikali kolejne partie baranie, ewentualnie wołowe. Kiedy całe mięso zostanie zrumienione, zdejmujemy patelnię z ognia i na innej, małej, najlepiej żeliwnej o grubym denku, podpiekamy zmielone przyprawy: łyżkę kminu rzymskiego, dwie łyżki zmielonej kolendry i garść zblanszowanych i posiekanych dość grubo migdałów, na niedużym ogniu, przez kilka minut, aż sczernieją. Przekładamy je do robota kuchennego, dodajemy kilka posiekanych ząbków czosnku i kawałek imbiru na pół kciuka, też posiekany, a następnie – i to jest najbardziej podniecające – wyjmujemy z patelni po mięsie papryczki, kardamon, goździki i pieprz i wkładamy do robota. (Zamiast robota można użyć moździerza, jeśli ma się instrument o właściwych gabarytach). Teraz jeszcze szczypta kurkumy i dwie szczypty gałki muszkatołowej i możemy tłuc (w moździerzu) lub rozdrabniać (w robocie, z dodatkiem paru łyżek wody). Otrzymamy ciemną, gęstą maź, która kojarzy mi się z protoplazmą z filmów *science fiction*, choć nie wiem dlaczego, bo filmy nie pachną.

Jeśli na rozgrzanej znów patelni po mięsie nie ma już oleju, dolewamy ze dwie łyżki i smażymy w nim dwie posiekane cebule na niewąskim ogniu, mieszając i to, co do dna przywarło, łyżką drewnianą luzując. Kiedy cebula się zrumieni, zmniejszamy ogień i dodajemy maź. Wołamy kucharczyka, który będzie za nas mieszał i dodawał po łyżeczce trzy łyżki jogurtu przez pięć minut, być może w całym naszym życiu najbardziej aromatycznych. Po tych pięciu minutach kuchcik może iść precz. Dodajemy pół puszki posiekanych pomidorów. Podsmażamy je, dodajemy dwie szklanki wody, doprowadzamy do wrzenia i przez kwadrans pod przykryciem na małym ogniu dusimy tę zapowiedź przyszłych rozkoszy.

Potem już tylko dodajemy mięso i solimy. Dusimy godzinę lub dwie, mieszając od czasu do czasu. Ryż dobry do tego, jako i jogurt rozbełtany, zaprawiony posiekaną natką kolendry – a dla odważnych kawałkiem imbiru utartym w moździerzu z świeżą, ostrą papryczką – i posypany szczyptą kminu, najlepiej świeżo zmielonego w błyszczącym młynku do przypraw. ■

FOT. MAREK SZCZEPAŃSKI (2)

JOLKA nr 2

OKREŚLENIA PODANO W INNYM SZYKU NIŻ KOLEJNOŚĆ WYRAZÓW W DIAGRAMIE. PO WYPEŁNIENIU DIAGRAMU NALEŻY ROZSZYFROWAĆ NASTĘPUJĄCE HASŁO:

A10 – D7 – B3 – J14 / L2 – G3 – A14 / K6 / C1 – H9 – D12 – H5 – K10 / H1 – H13 – E11 – A4 – M12 – M6 – G15 – F8 / I5 – E4 – J3 – B11 / B10 – B1 – L4 – L11.

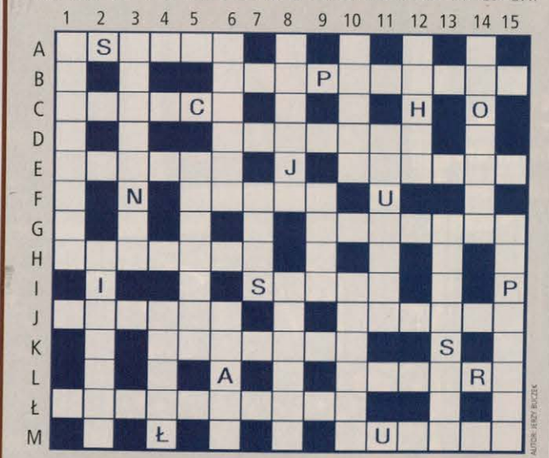

Rzędami: opuszka, Sumer, Walt, kataklizm, opryszek, Cheops, słodycze, zaczyn, Anglik, wyzwisko, talerz, Bachleda, otrzęsiny, izba, zołza, skwarek.

Kolumnami: zdobycz, płachta, chochoł, smakosz, pływalnia, kalesony, doba, wzory, wiata, wamp, zastrzyk, stryjenka, golaska, meczbol, igranie, rozkrok.

Za poprawne rozwiązanie jolki nr 48 nagrody wylosowali: Franciszek Bywalec, Katowice; Leon Hyb, Warszawa; Izabela Kowalska-Wieczorek, Toruń; Paweł Mosiński, Kochcice; Maria Staniszewska, Gniew. **Gratulujemy!**

WYRAZY 10-LITEROWE:
- farewell, warkoczyki! • wkład krogulca w dworskie menu

WYRAZY 8-LITEROWE:
- z nocami zatopionymi w jeziorach
- spektakularne zejście kineskopu
- swojsko pobrzmiewa w ekosystemie
- z krezusem w szranki staje

WYRAZY 7-LITEROWE:
- lawa na majówce
- ukłon w stronę Richtera
- amerykańska ikona z Hoboken
- rozprawiają w pareczkach
- inwestycyjna liczba
- najgorszy budzik
- jaskinia fotografika
- głowy przed weselem

WYRAZY 6-LITEROWE:
- wyprowadzana przez boksera
- samotny rarytas
- hałas migawki
- gula nie Zulu • bez anosmii do niego nie podchodź • faktografia grzechu • włości uśmiechu • przyczyna, dla której porażka nam nie w smak • na Trynidadzie mają go nie tylko na szosach, lecz także w jeziorze • king Bruce Lee karate • blada twarz niekoniecznie na Dzikim Zachodzie • Itaka Trąbalskiego

WYRAZY 5-LITEROWE:
- górna granica przepaści • jego dorobek zawiera „Przygody Tomka Sawyera" • wytyczna wahadła
- najpożywniejsza z papek • kolor, który w Egipcie mógłby uchodzić za... akt strzelisty • naczynie oprzytomnienia

WYRAZY 4-LITEROWE:
- Zulu Gula • o mur

ROZWIĄZANIE JOLKI nr 50: TEN PIĘKNY CZAS, GDY KWITŁY BZY W PENSYLWANII (z piosenki Mariana Hemara).

Pomiędzy Czytelników, którzy do niedzieli 19 stycznia (decyduje data stempla pocztowego) nadeślą poprawne rozwiązanie jolki lub krzyżówki, rozlosujemy 10 egzemplarzy książki „Wymyślona dziewczyna" Johna Irvinga (Prószyński i S-ka).

Nasz adres: „Przekrój", ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa, z dopiskiem Jolka 2 lub Krzyżówka 2.

WYMYŚLIŁ I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI

w sprzedaży od 16 stycznia

DOM&WNĘTRZE

NR 2(89)/2003 LUTY NR INDEKSU 35693X CENA 8,90 zł (w tym 7% VAT)

TAJEMNICE ORIENTALNYCH WNĘTRZ
10 aranżacji na japońskich motywach

temat numeru
STRYCHY
betonowe poddasze przebojowej yuppie
pomysłowe zabudowy skosów
najnowsze okna połaciowe

GIORGIO ARMANI
w swoim kaktusowym ogrodzie

PRZESZKLONA ŁAZIENKA
teraz najmodniejsza

dodatek specjalny
PRZEGLĄD MEBLI
Z POLSKICH SKLEPÓW

DOM&WNĘTRZE
SALON i JADALNIA
102 WZORY MEBLI
fotele
kanapy
krzesła
stoły
stoliki
szezlongi
WSZYSTKO Z POLSKICH SKLEPÓW

NADESŁANE

KARTY NA STÓŁ
Dodatek do „Gazety Wyborczej" z 27 listopada „Karty Płatnicze i Kredytowe" donosi: **„Karty mikroprocesorowe nazywane są często »nteligentnymi«. Nie bez powodu".**
Powód na pewno musi być, tylko jak go wymówić?
(Nadesłała Bożena Maj z Łodzi)

ROZSĄDNA FURIA
„Nowa Trybuna Opolska" z 28 sierpnia pociesza wszystkie Wodniki: **„Twoja porywczość utrudnia porozumienie. Panuje nad sobą".**
W takim razie wszystko gra!
(Nadesłał Zdzisław Wojnowski z Opola)

KINOTEATRZYK P. JURKA

„K-19"

Z RECENZJI:

„(...) Wszyscy pamiętamy znakomity film »K-2«, którego akcja działa się w Himalajach. Była to opowieść nie tylko o zmaganiach człowieka z dzikim żywiołem przyrody, lecz także, a może nawet przede wszystkim, o prawdziwej męskiej przyjaźni.

Tymczasem sceneria »K-19« to klaustrofobiczne wnętrza rosyjskiej nuklearnej łodzi podwodnej! Zupełnie inne emocje... inna poetyka...

(...) Przyznam, że jakoś umknęły mi poprzednie części cyklu. Zdaje się, że polski dystrybutor potraktował go dość wybiórczo...".

Rys. Michael Maslin / New Yorker

– Pan Winsler wprawdzie wyszedł, ale może pan dopić jego kawę.

Z GŁOWY...

Obecnie uznaje się za dewiację nazywanie mniej powszechnych zachowań dewiacjami.

...KRZYSZTOFA BILICY

NADESŁANE

PIŁKA NOŻNA

Remis Arki

Piłkarze Arki Prokom Gdynia w czasie pierwszego w tym sezonie wyjazdu nie wrócą z pustymi rękoma. Po niezwykle zaciętym meczu zremisowali w Piotrkowie z tamtejszą Piotrcovią 2:1 (1:1)
Bramki: Piotrcovia - Valente Fabiano (24), Jacek Kubicki (51); Arka - Marcin Józefowicz (8), Mariusz Woroniecki (90). Żółte kartki: Kubicki (Piotrcovia), Grzegorz Wódkiewicz, Jacek Cieśla (Arka). Widzów: 2500.

NA ŻĄDŁANIE
„Nasze Pomorze" w numerze październikowym alarmuje: **„Prezydent Miasta Gdańska Paweł Adamowicz uniemożliwił pod żądłami obecnej ustawy przekształcenie prawa użytkowania wieczystego we własność".**
Czyżby ustawę opracowała Pszczółka Maja?
(Nadesłał Hubert Pobłocki z Gdańska)

MYŚL!

Bigamia polega na tym, że ma się o jedną żonę za dużo. Monogamia też.

(Gogol)

HUMOR ZESZYTÓW

We fraszce „Na nabożną" poeta opisuje panią, która chodzi do kościoła, a jak przyjdzie co do czego, to spod ukrycia pojawia się diabeł.

●

Robinson nazwał go Piętaszkiem, gdyż miał śmieszne pięty.

●

Skawiński tułał się po świecie i nigdzie nie mógł się usadowić.

●

Przez jego zaniedbany obowiązek rozbił się statek.

●

Niektórzy spędzili Boże Narodzenie w kościele.

●

Emilia Korczyńska była osobą bogatą na ciele, ale ubogą na duchu.

●

Choć rzadko żyły z chłopami – Orzeszkowa i Konopnicka współczuły ich doli.

DO-RE-MI-SU
Co prawda do przerwy remis nie był pewien, no, ale gdy gdynianie się sprężyli...
(Z „Dziennika Bałtyckiego" z 11 sierpnia nadesłał Wojciech Pohl z Gdyni)

Jan Kamyczek

ALEKSANDRA. „Oglądam w TV powitanie w stolicy zagranicznej delegacji i złość mnie bierze, kiedy widzę wręczanie wiązanek łodygami do góry. Od kiedy taka moda, zresztą nagminna? Owszem, wiązankę niosę łodygami do góry, ale wręczam odwrotnie, eksponując kwiecie, a nie wiecheć łodyg. A może jestem przewrażliwiona?".

– Też widać jestem przewrażliwiony, bo od lat walczę o wręczanie kwiatów w pozycji dla nich naturalnej (zawsze mówię, że metoda do góry nogami nieodparcie przypomina mi wręczanie ubitego zająca). Na razie efekt mojej kampanii jest dość mizerny.

Andrzej Poniedzielski

TAKŻE WIELCY TRZEJ KRÓLOWIE

Przybieżeli do Betlejem
w Dzień Narodzin, co się zowie,
oprócz różnych okolicznych
także Wielcy Trzej Królowie.

I przynieśli dary wielkie,
i się czuło od nich pono wiew dostatku,
to nie czuło się w tych darach darowizny
i nie czuło się ucieczki od podatku.

I tak stali w tej stajence
zagubionej pośród ziemi nazareckiej
obok siebie: Król, pastuszek, król, osiołek,
baran, pastuch, znowu król...
– a pośrodku matka z dzieckiem.

Historycznie i dziejowo
było jeszcze bardzo wcześnie
i szalała wokół Herodowa akcja,
to ujęcie, w tej stajence –
piękne było, wzruszające,
baran, król, pastuszek, król...
– no normalnie DEMOKRACJA.

RÓWNOŚĆ,
WOLNOŚĆ,
WSPÓŁISTNIENIE,
czyli LOVE,
czyli IS,
czyli THE BEST...
...taaak...
...zapomnieli się widocznie na tę chwilę...

zapomnieli
KIM jest KTO
...i KTO KIM jest.

RYS. JAROSŁAW JURGA

FILUTEK

RYS. ZBIGNIEW LENGREN

ROZMAITOŚCI